

ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

ZBIORU OGÓLNEGO TOM XXXX.

ROK X.

TOM IV. — ZESZYT I.

Październik.

WARSZAWA.

Druk K. Kowalewskiego, Królewska N. 29.

1885.

SPIS RZECZY.

Druk ukończono 3 Października 1885 r.

DZIURDZIOWIE.

POWIEŚĆ.

VI.

Zima nadeszła wczesna i ostra. W ostatnich dniach listopada, mróz ściął już ziemię w twarde bruzdy i śnieg przysypał ją białym pyłem. Wieczorne niebo usiane było mnóstwem gwiazd, kiedy drogą wiodącą z najbliższego miasteczka do Suchéj Doliny szli ku wiosce dwaj chłopi. Obaj byli nie wysokiego wzrostu, ale jeden szczególniéj mógł się nazwać zupełnie nizkim; w kożuchach baranich, czapkach i skrzypiących butach, szli oni to powolnym i trochę chwiejnym, to znowu prędkim i zamaszystym krokiem, bardzo głośno ze sobą rozmawiając i zawzięcie rozmachując rękami. Nie byli zupełnie trzeźwi. Grube ich głosy rozchodziły się daleko a wtórował im głośny także i nierówny tentent ich stąpań. Ze słów, które wyraźnie i donośnie brzmiały w cichéj i mroźnéj przestrzeni, wnieść było można, że wracali z miasteczka, gdzie obadwaj stawali przed sądem pokoju.

— *Mirowy każe* (Sędzia pokoju mówi) *sztraf* za *heto* drzewo zapłacisz... mówił jeden, a drugi, nie słuchając towarzysza, jednocześnie prawił·

— Dług święta rzecz, *każe*, zapłacić *nużno*. .

— Drzewo, *każe*, ściął w pańskim lesie, sześć sztuk ściął, *każe*, za każdę sztukę po rublu sztrafu zapłacisz...

— A kiedy długu nie zapłacisz, *każe*, ziemię *opiszą*, ta, sprzedadzą... Nie sprzedadzą, mówię, bo jeszcze nie wykupiona, znaczy, od rządu nie wykupiona...

Teraz drugi zaczynał.

— A ja do *mirowego zjazdu*... do Chackiela poszedł i kazał jemu prośbę do *mirowego zjazdu* pisać... Pisz, mówię, *hapelacju*, żebym ja tego sztrafu nie zapłacił...

Pierwszy swoje dalej prawił.

— Ja do starszyny!.. A co z tego będzie?.. u żyda zadłużył się i u innych ludzi zadłużył się i teraz oni na mnie do sądu podają, a sąd płacić każe, a ziemia nie wykupiona, znaczy, od rządu nie wykupiona i przedać jéj nie można... Żyd niedowiarek, podła jego dusza, pyta się zaraz: a *wiele* za napisanie dasz? *Zołotouku* dam, mówię, *piszy*! A on mnie w oczy patrząc śmieje się.. Rubla dasz! mówi. Nie dam, mówię, dalibóg nie dam... dwa złote dam... A on: rubla dasz... I obiecał, dalibóg obiecał rubla... *Kab jeho czorci*...

Ten zaś, któremu o zaciągnięte długi szło, zataczając się nieco, prawił.

— Dowiedział się ja u starszyny, oj dowiedział się... Kab jeho... Ziemi nie opiszę, mówi, bo nie wolno, bo jeszcze nie wykupiona, ale gospodarstwo za dług opiszę, *taj* sprzedam *publiczno*, znaczy, sprzedam, w jednych koszulach zostaniecie... na co było długi robić?

Nagle, stanęli obaj i twarzą w twarz patrzéć na siebie zaczęli.

— Jakób! rzekł jeden.

— Szymon! odpowiedział drugi.

I obadwa razem wydali z gardła pytające tony.

— Ha?

— Żeby to człowiek był bogaty!

— *Ale*!

— Toby długów nie robił!

— Ale!

— Dziewięć dusz w chacie...

— U mnie trzynaście... taj jeszcze i dwoje w kołyskach...

— Ziemia taka kiepska, że choć płacz...

— A *świeronek* (śpichrzyk) to już ze wszystkiém zawalił się... myślę ja sobie, zkąd tu drzewa wziąć... ot i pojechał nocką do lasu... to i co? Nie dla jednego Pan Bóg las zasiał, dla wszystkich zasiał...

— Ziemię przyjdzie *żydu* w arendę za dług puścić... choć *potajemno* a samemu w parobki do jakiego dworu nająć się... Oj, *horkaja* dola przyszła mnie i *ditkom* moim...

— Oj, *horkaja* dola przyszła mnie na stare lata moje...

Obaj rękawami kożuchów po oczach sobie powiedli i głośno westchnąwszy, dalej, obok siebie iść zaczęli. Znajdowali się w téj chwili blizko krzyża, wznoszącego się nad rozstajnemi drogami. Naprzeciw nich, żółto błyszczały dwa oświetlone okna karczmy, dalej sciemniały ściany stodół i obór a w pewnéj od nich odległości, samotne w polu i pośród suchych szkieletów drzew, szarzało domostwo kowala. Przy świetle gwiazd, można było rozpoznać zamkniętą dziś i milczącą kuźnię, śniegiem ubieloną strzechę chaty i dwa złotawe

blade, bo przez zamarznięte szyby przedzierające się odblaski palącego się w niéj ognia.

Jeden z chłopów przechodzących pod krzyżem, w kierunku tego domostwa rękę wyciągnął.

— Szymon! rzekł.

— Nu?

— Ot tam to *hroszy* dużo!

— Gdzie to?

— A u kowalichy.

— Aha! potwierdził Szymon, *musić bohaty* ludzie, bo po pańsku sobie żyją...

— Czemu im nie żyć, *koli czort* wiedźmie pomaga...

— Pomaga czy nie pomaga, a taki im dobrze kiedy *hrosze* mają, zauważył Szymon, a po chwili myślenia machnął ręką i zamruczał: To i co z tego? Pies kudłaty, jemu ciepło; chłop bogaty, jemu dobrze... kowalu i żonce jego dobrze, a mnie od tego nie lżéj...

— Jeszcze i ciężéj na cudze dobro patrzéć. kiedy człowiekowi samemu na świecie gorzko...

— Ale!

W tém, Jakób Szyszko stanął jak w ziemię wryty i z ręką wyciągniętą ku domostwu kowala przyciszonym, zdławionym prawie głosem wymówił.

— *Baczył*? Szymon, *baczył*? (widziałeś?).

Szymon stanął także i nic wymówić nie mogąc, usta tylko szeroko roztworzył. Zjawiskiem, które obu chłopów tak bardzo uderzyło, była spadająca gwiazda. Oderwała się ona niby od ciemnego sklepienia i złoty wężyk zakreśliwszy w powietrzu, nad samą chatą kowala zniknęła. Na tle przejrzystéj nocy, błysk ten strzelił chwilową lecz świetną światłością. Jakób powtórzył pytanie.

— *Baczył* ty?

— Czemu nie *baczył*? *baczył*, zaszeptał Szymon; o nich my mówili, i na ichże chatę gwiazda spadła...

Jakób głową wstrząsał i głośny, szyderski śmiech wychodził z wązkiéj, staréj jego piersi.

— Oj, dureń ty dureń! mówił, to ty myślisz, że to gwiazda spadła...

— Ale!

— A to, ot, *czort* był, co przez komin wiedźmie hrosze niósł!

— Nie może być? krzyknął prawie Szymon i rękę do czoła niosąc, żegnać się zaczął.

— A czy ty tego nigdy nie słyszał?

— Słyszał to, słyszał, że tak na świecie bywa, ale widziéć, nie widział...

— No to teraz zobaczył... W imię Ojca i Syna i Ducha świętego. .

— Amen, jednogłośnie dokończyli obaj, a Szymon raz jeszcze wydał z gardła przeciągły dźwięk zadziwienia. Potém, szedł już przed siebie pewniejszym, równiejszym krokiem, jakby mu dym wódki, którą w miasteczku wypił, z głowy uleciał. Głęboko nad czémś rozmyślał, potém, ozwał się.

— Jakób!

— Ha!

— Wiesz ty co? Jużbym ja i *czortouskiemi hroszami* nie pogardził, żeby tylko z biédy wyleźć. Żeby gospodarstwa nie opisywali i nie sprzedawali...

— Jak *wiedajesz*... jak *znajesz*... obojętnie odparł Jakób.

— Możeby kowalicha i pożyczyła... wahającym się głosem zaczął znowu Szymon.

— Jak *wiedajesz*... jak *znajesz*... ale kiepsko będzie...

— Czemu kiepsko?..

— Ot tak! chrześcijańską duszę zaprzedawać nie godzi się...

— I to prawda...

— Ty tego nie rób, palec do góry wznosząc, nauczał Jakób, nie godzi się... Księdzu na spowiedzi powiedziéć trzeba, że takie pokuszenie miał...

Szymon rozmyślał znowu, ale po chwili z nagłą determinacyą głowę podniósł.

— A szedł ty do pańskiego lasu drzewo kraść, kiedy świronek budować zapotrzebował, ha?

— Oj ty! durniu! krzyknął Jakób, jak ty takie rzeczy porównywać możesz? Las boski jest i Pan Bóg jego dla wszystkich posiał, a wiedźmy *hrosze* czartowskie i ona sama jest nieprzyjaciółka boska i ludzka...

— To co! opierał się Szymon, taki tobie mirowy sztraf zapłacić kazał, a ty mnie od durniów nie wyzywaj... Słyszysz? Prawa nie masz! Sam dureń, a jeszcze do tego i złodziéj!

Zaczynali już kłócić się, ale w tém oblała ich światłość wychodząca z okien karczmy, przed którą przechodzili. Z wnętrza karczmy dolatywał gwar rozmów i rzępolenie skrzypiec. Stanęli obaj jak w ziemię wryci.

— Zajdziem, rzekł Szymon.

— Zajdziem, zgodził się Jakób.

— Na minutkę.

— Na minutkę, poweselić się...

Karczemną izbę dość obszerną, nizką, z podłogą glinianą i aż czarnym od brudu połapem, jaskrawo oświetlały trzaski smolne, wetknięte w szczeliny pieca, od góry do dołu zawieszonego wysychającą po praniu odzieżą arendarza i jego rodziny. Na długim i wązkim stole paliła się, krzywo w wydrężonéj brukwi tkwiąca, łojówka i stało kilka cynowych czarek, jakiemi zazwyczaj chłopi w karczmach wódkę pijają. Pili z nich przed chwilą ci gospodarze poważni i stateczni, którzy z obu stron stołu na ławach siedząc, toczyli pomiędzy sobą gwarliwą ale poważną, stateczną rozmowę. Dostatnie kożuchy ich zaopatrzone w szerokie kołnierze z czarnych lub siwych baranów, ciężkie lecz całe i aż do kolan wysokie obuwie, wyrazy ich twarzy, spokojne lub uśmiechami rozjaśnione, objawiały, że byli to najdostatniejsi i najlepiéj prowadzący się mieszkańcy Suchéj Doliny. Przyszli tu oni nie dla hulania ani z hultajstwa, ale dla tego naprzód, aby w długi zimowy wieczór rozweselić się trochę w *kompanii*, a potém i dla tego, aby o rzeczach tyczących się interesów wsi trochę naradzić się i porozmawiać. Kazali sobie zrazu podać wódki, pili ją z cynowych czarek, uprzejmie do sąsiadów przemawiając: na zdrowie! na szczęście! Poczém czarki na środek stołu odsunęli i więcéj już ich nie dotykali. Po kruczku wypili i dosyć! Gdyby to była jakaś wesoła okazya: chrzciny, wesele, dobicie jakiego targu lub coś podobnego, piliby pewnie daleko więcéj. Ale bez okazyi, nie zwykli byli upijać się, szanowali w sobie dostojność gospodarzy zamożnych i prowadzących się uczciwie, ojców rodzin i byłych lub teraźniejszych urzędników gminy.

Po samym środku grona tego, zasiadał Piotr Dziurdzia; obok niego, z łokciami daleko na stół wysuniętemi rozpierał się Maksym Budrak, daléj obsiadali ławę stary Łobuda i dwaj dojrzali, dawno już ożenieni synowie jego, a za kilkoma jeszcze innymi, w samym kącie izby, tam gdzie najmniéj dochodziło światło, siedział Stepan. Zawsze miał on pociąg do przestawania z najpoważniejszymi i najuczciwszymi mieszkańcami wsi, do współudziału w rozprawach o rzeczach publicznych, do odegrywania we wsi roli czynnéj i wpływowéj. Ambitny i śmiały, pragnął coś znaczyć, czemś przewodzić a choć mu już lat 40 wkrótce minąć miało, nie mógł nigdy pożądanego celu tego doścignąć. Ponurość i popędliwość jego odstraszały odeń ludzi, ujmowały mu publicznego szacunku niepospolicie już złe pożycie z żoną i brak liczniejszéj rodziny. Miał wprawdzie jedno dziecię, ale takie, że za bezdzietnego uchodził, a bezdzietność chłopa, to naprzód niebłogosławieństwo boskie, a potém, blizka i nieunikniona jego ruina. Inaczéj wcale poglądają ludzie na taką chatę, w któréj

rosną i dorastają silni parobcy i pracowite dziéwki, niżeli na taką, w któréj dwoje samotnych ludzi, jak ta para ponurych kretów ziemię kopie, bez radości na teraz, bez widoków na przyszłość. W takiéj chacie, ani chrzcin, ani wesel, ani głośnego igrania chłopców, ani dźwięcznego śpiewania dziewcząt. Ludzie do niéj nie zachodzą nigdy i nigdy w niéj do zastawionych bożemi dary stołów nie zasiadają. Żeby tam nie wiedziéć jaki dostatek był, to wprost, okazyi żadnéj nigdy niema, więc i szacunek ludzki i przyjaźń ludzka nie mają tam kiedy przybyć, objawić się i wzrosnąć. A jeżeli jeszcze w chacie takiéj wieczne pomiędzy małżeństwem kłótnie, krzyki i bijatyki, Panu Bogu na obrazę, ludziom na zgorszenie i śmiech? Wtedy już, chłopie bezdzietny i beznadziejny, na ruinę gospodarstwa i pośmiewisko ludzkie wystawiony, siedź chmurny i milczący, pomiędzy weselącymi się i rozprawiającymi ludźmi, tak jak w ciemnym kącie siedzi Stepan Dziurdzia, złość i zgryzotę swoją przeżuwając. Ile razy odezwał się, tyle razy spostrzegał wyraźnie, że nikt go słuchać nie chciał. Rozprawiano jednak o rzeczy, na któréj on znał się lepiéj niż ktokolwiek inny: o gruntach i łąkach, do których wieś cała pretensyę rościła i o które dotychczasowemu ich posiadaczowi proces wytoczyć zamierzała. Proces miał być kosztownym, koszta rozkładały się na wszystkich mieszkańców wsi, w stosunku do części przez każdego posiadanéj w procesie; arytmetyczne takie ćwiczenia najbiegléj Stepan dokonywać umiał, najlepiéj zresztą znał owe grunta i łąki, ale obywano się bez jego pomocy i rady, słowa jego głuszono, kiedy innych przekrzyczeć usiłował, łokciami go trącano na znak, aby umilkł. Młody Łobuda kłótni wszczynać nie lubiący, a lękając się, aby go do niéj złość Stepana nie wyzwała, odsunął się odeń o łokieć, to samo uczynił Anton Budrak, brat Maksyma, obecny starosta wsi. Osamotnionym ujrzał się i sponiewieranym. Zaklął z cicha, usunął się pod samą ścianę, na arendarza krzyknął, aby mu całą kwartę wódki podał i pił ją milcząc i roziskrzonemi oczami w cieniu jak wilk połyskiwał. Inaczéj wcale działo się z Piotrem Dziurdzią. Ten przez lat sześć urząd starosty sprawiał, wiedział więc dobrze, co chłop który posiadał i w jakiéj mierze do wspólnych kosztów przyczyniać się był powinien. Anton Budrak, który świeżo starostą został, radził się go o to i owo, inni słuchając, potakująco głowami kiwali. Z rękami splecionemi na kolanach, z długiemi włosy, których płowe i siwiejące kosmyki opadły na czarny, barani kołnierz kożucha, z bladawą swą i ciemną twarzą, ożywioną teraz czarką mocnego napoju i prowadzoną rozmową, Piotr rozpowiadał szeroko i długo, a słowa jego ciekły mu z ust rozważne i przewlekłe, niby leniwy i z cicha toczący się potok. Przypominał, kiedy i jak owe grunta

i łąki od Suchéj Doliny odpadły i co o tém opowiadali ojcowie, rozważał jakie korzyści zwrót ich przyniósłby wiosce i wyliczając je, aż wzdychał, tak mu się one ponętnemi wydawały. Pomimo jednak tego, dosyć żywego pożądania rzeczy ziemskich, o niebieskich nie zapominał. Podnosił czasem w górę wskazujący palec i zdanie swe kończył słowami.

— *Wsieńko* to, w mocy Bożéj. Kiedy Pan Bóg zechce to nam tę łaskę swoją da, a kiedy nie zechce to nie da i cierp człowiecze, bo taka już wola pańska....

Innym razem mówił:

— Boskiéj siły, jak *toj kazau*, nie przemożesz. *Czortouskuju siłu* krzyżem świętym przemożesz, a boskiéj niczém nie przemożesz... Jak Pan Bóg najwyższy zechce, tak będzie.

Słowa te wywoływały zawsze westchnienie słuchaczy, co nie przeszkadzało im jednak, z żywem i nawet namiętném zajęciem daléj o interesach ziemskich rozprawiać. Piotr wzdychał także, ale szare, głęboko pod gęstemi brwiami osadzone oczy jego, błyskały czasem rozweseleniem takiém, jakie ukazywało się w nich bardzo rzadko. Rozweselały się one w ten sposób zawsze, ilekroć wypadkiem czy umyślnie spojrzał w tę stronę karczemnéj izby, w któréj bawiła się i weseliła nieliczna garstka młodzieży. Było tam kilku dorosłych chłopców i z pięć dziewczyn, którzy otaczali siedzącego w kącie muzykanta, wołając nań o muzykę, a gdy grać już zaczął, tańce rozpoczynali i nagle je przerywali dla swawoli jakiejś lub gonitwy, od których z podłogi wznosił się tuman kurzawy i rozlatywały się na wsze strony ciemne dymy, kłębami buchające z rozpłomienionych smolniaków. Było tam w téj zabawie pełno grubych wykrzyków męskich i piskliwych jęków niewieścich, rubasznych śmiechów, żartobliwych kłótni, tupotu nóg, brzęczenia i piszczenia skrzypiec. Białe koszule i sine spódnice dziewcząt migotały w kurzawie i dymie, wśród szarych lub błękitnych ubiorów męskich. W gromadce téj nielicznéj, ale bawiącéj się wybornie, rej głośny i wesoły wiódł Klemens. Przed sześciu tygodniami wstał on z ciężkiéj choroby, któréj już i znaku na nim nie było. W czasie chorowania swego, nieskończoną ilość razy trzymał był w rękach zapaloną gromnicę, wypił nieskończoną ilość ziół, które mu z całéj wioski przynosiły baby, odbył przedśmiertną spowiedź i utracił kwartę krwi, którą wytoczył zeń z miasteczka przez Piotra przywieziony felczer. Stara Ewanelia przez cały ten czas nad samą głową jego na poduszce leżała; ojciec w kościele trzy msze na jego intencyę zakupił. Nakoniec, wyzdrowiał, wstał i po tygodniach paru wyglądał już tak, jakby mu nigdy nic nie było. Odtąd Piotr o chorobie i wy-

zdrowieniu syna lubił szeroko i długo rozprawiać. Opowiadał, że sprawiła ją dyabelska siła, którą przezwyciężyła siła boska. O pierwszéj mówiąc, pięście ściskał i z obrzydzeniem spluwał, a błysk gniewu i nienawiści przemykał mu w źrenicach. Dla drugiéj gorącą wdzięczność i cześć widać uczuwał, bo gdy ją wspominał, głowę skłaniał, a oczy mimowoli prawie w górę wznosił. Teraz Klemens w zabawie i swawoli rej wodził, a w którąkolwiek stronę izby okiem rzuciwszy, wszędzie zobaczyć go było można w parze z ładną Nastką Budrakówną, córką Maksyma. To stojąc przed muzykantem i o muzykę wołając, do tańca wpół ją obejmował, to w gonitwie jakiejś na ławę ją z takim rozmachem obalał, że aż krzyczała z bólu, niby rozgniewana w kąt odchodziła i plecami zwracała się do izby, a on stojąc za nią przepraszał ją i do drugiéj gonitwy wyzywał, pociesznie twarz jakby w płaczu przekrzywiając, a grubym śmiechem na całą izbę chichocząc... Piotr na tę zabawę syna, po przez głowy siedzących naprzeciw niego sąsiadów z przyjemnością spoglądał i robiły mu one nawet wyraźne w rozmowie roztargnienie. Usta wtedy rozwierał i śmiał się cichym, piersiowym śmiechem. Lubował się widokiem pary, którą składali Klemens z Budrakówną. Dziewczyna miała z zamożnéj ojcowskiéj chaty wnieść z sobą w chatę męża zwiększenie wszelkiego dostatku, a oprócz tego łagodną była, pracowitą, prowadzącą się przystojnie i przez Agatę bardzo lubioną. Jeżeli więc Klemens z nią się ożeni, oprócz wszystkiego innego, zgoda świekry z synową zapewnioną będzie. Piotrowi oddawna związek ten kleił się w głowie, aż tu, ni z tego ni z owego, wykryły się te jakieś umizgi Klemensa z Franką, z tą krępą, niepozorną, ubogą wnuczką jednego z najpośledniejszych mieszkańców wsi, w dodatku złodzieja. Gdy tylko Klemens dźwignął się był z choroby, Piotr go zapytał:

— Czy ty z tą Franką z myślami jakiemi zaczynał, czy tak sobie?

Chłopiec zawstydził się bardzo, twarz od ojca ręką zasłonił i odpowiedział:

— Tak sobie!

— A żenić się z nią nie myślałeś?

— Niechaj czort żeni się z nią, nie ja — brzmiała już chmurna odpowiedź.

— Nu, a Nastki Budrakówny chcesz? — indygacyę swą daléj prowadził ojciec.

Chłopiec dłonią usta zakrył i parsknął śmiechem.

— Czemu nie, baćku? -- zawołał.

Aż mu oczy zaświeciły z radości. Nastka była ładną dziewczyną, ale o posagu i o dostatniéj wyprawie jéj także pomyślał. Swatów do chaty Budraka wnet po przejściu adwentu wysłać umyślili.

Teraz, po środku izby, młodzież wziąwszy się za ręce, utworzyła koło, w które na żarty i ku rozśmieszeniu wszystkich, wkręciła się jakaś stara przysadzista baba, z pochwyconą u arendarza małą poduszeczką w rękach. Przy piskliwéj, lecz skocznéj muzyce skrzypiec, koło tancerzy, z wielkim tupotem nóg okręcało się dokoła téj baby, która jedną rękę na kłębie opierając się, a w drugiéj poduszeczkę wysoko podnosząc, a w kółko téż skacząc, z pociesznemi minami śpiewała:

Paduszeczki, paduszeczki, a wsie puchowyje,
Mołodzieńki, mołodzieńki, sawsiem mołodyje...

Tu wybuchnęły ogromne śmiechy, tak słowa piosnki źle stosowały się do przysadzistéj, pomarszczonéj, choć silnéj jeszcze i uciesznéj baby. Ona śpiewała daléj:

Koho lublu, koho lublu,
Toho pacełuju;
Paduszeczku puchawuju
Tomu podaruju.

Wraz z ostatnim wyrazem śpiewki, poduszeczkę na Jasiuka Dziurdzię rzuciła i wpół go objąwszy, chciała się z nim wedle prawideł tańca tego, kilka razy okręcić. Ale on za wstyd to sobie poczytał, że go tak niepowabna tancerka faworami swemi obdarzała, pięścią babę odepchnął i z gapiowatą miną a rozgniewanemi oczami jak słup na środku izby pozostał. Kilka poważnych gospodyń, na ławie pod ścianą gwarzących, aż kładło się ze śmiechu; gospodarze nawet rozmowę o interesie przerwali i z uśmiechami na twarzach, szumnéj zabawie młodzieży przypatrywać się zaczęli.

Koło taneczne utworzyło się znowu, tylko że w jego środku stanęła tym razem, gwałtem przez inne dziewki tam popchnięta Nastka Budrakówna. Skrzypce wciąż przygrywały, a wysmukła dziewczyna, z grubą kosą na plecach i piersią zawieszoną szklannemi paciorkami, poduszeczkę do góry wzniosła, i nie skacząc tak, jak tanecznica uprzednia, lecz okręcając się powoli i z wdziękiem, śród tententu stóp, donośnym głosem zaśpiewała:

Paduszeczki, paduszeczki,
A wsie puchowyje...
Mołodzieńki, mołodzieńki,
Sawsiem mołodyje...

Tu całe taneczne koło piosnkę podjęło i wzbijającemu się nad inne głosowi dziewczyny, chórem wtórzyć zaczęło:

Koho lublu, koho lublu,
Toho pacełuju;
Paduszeczku puchawuju
Tomu podaruju...

Rzucona ręką dziewczyny poduszeczka w kraciastéj nawleczce, z taką siłą Klemensa Dziurdzię w twarz uderzyła, że aż spąsowiał cały, a złotawe i gęste włosy rozwiały mu się nad głową. Zarazem obu rękami Nastka zwiesiła mu się na ramionach, on wpół ją objął i kręcili się potém wkółko tak długo, że już i prawidła tańca takiego długiego kręcenia się bynajmniéj nie wymagały. Ale parobkowi rozognionemu zabawą i u piersi jego dyszącą piersią Nastki i tego było za mało. Krzyknął na muzykanta, aby do *kruciela* przygrywać zaczął, co gdy on uczynił, puścił się z dziewczyną swoją w ten taniec szybki i zawrotny, prawie na jednéin miejscu odbywany, a przerywany przechadzką we dwoje do koła izby. Złote włosy parobka rozwiewały się nad jego głową, kosa dziewczyny z czerwoną wstążeczką u końca latała w powietrzu, na szyi jéj brzęczały szklanne paciórki i przeświecające z za nich pozłacane krzyżyki i medaliki. A gdy umęczeni zawrotném okręcaniem się na jedném miejscu, obchodzili do koła izbę, on podnosił wysoko twarz rozpaloną i z błękitnych oczu rzucał snopy wesołych blasków; ona, ramię mu za plecami trzymając, w jednéj ręce ściskała sinę jego kapotę, drugą fartuszkiem pot z twarzy ocierała. W ten sposób dwa, trzy lub więcéj razy, okrążali izbę powoli, miarowym krokiem, od czasu do czasu nogami przytupując, on do młodego dębu, ona do białokoréj brzozy podobna! Wszyscy gospodarze zwrócili się już teraz twarzami ku izbie i na tańczącą parę spoglądali. Piotr Dziurdzia pół czarki wódki jeszcze do ust niosąc, śmiał się swym cichym, piersiowym, poważnym śmiechem; Maksym Budrak, niedbale niby na córkę patrząc, radośnie oczami błyskał. Mimowoli pewno dwaj sąsiedzi na siebie spojrzeli, porozumieli się wzrokiem i kiwnęli do siebie głowami.

— *Kab* tylko wola bozka była... wymówił Piotr.

— Czemu nie ma być woli bozkiéj?—odpowiedział Budrak.

Budrakowa, która pomiędzy gospodyniami pod ścianą siedziała i wprzódy już wychyliła była czarkę wódki, łzawiła się i z rozczuleniem do sąsiadek mówiła:

— Już ja tego Klemensa, jak Boga kocham, na równi z synami rodzonieńkiemi lubię....

W téj właśnie chwili weszli do karczmy Jakób Szyszko i Szymon Dziurdzia. Nikt na nich uwagi żadnéj nie zwrócił. Już z saméj odzieży, którą na sobie mieli, poznać było można, że w gromadce ludzkiéj. śród któréj żyli, najpośledniejsze zajmowali miejsce.

Kożuchy ich były stare, bez kołnierzów, aż lśniące od brudu i zniszczenia, obuwie podarte i od wielu znać już lat, do zimowych tylko wycieczek w mrozy i śniegi używane, czapki nawet spłaszczone i z podartém w strzępy baraniem oszyciem. A cóż dopiero postawy ich i twarze! Stary Jakób trzymał się wprawdzie prosto i zawsze uroczystą jakby przybierał postawę, ale nizki był, chudy, a małemi błyszczącemi oczami patrzący na świat z pod brwi jakoś, przebiegle i razem nieufnie, z przebiegłym, nieszczerym uśmiechem na starych, zwiędłych ustach. Co do Szymona, tego krok ociężały był i jakby nieśmiały, cera wyżółkła, oczy zaczerwienione i wiecznie mokre, a na całéj twarzy miał wyraz zbiédzenia, gdy był trzeźwym, a zuchwałéj przekory, gdy tylko wódka zaszumiała mu w głowie. Teraz trochę tylko był podpiłym, więc nikogo nie zaczepiając, chyłkiem prawie i nieśmiało przeszedł karczemną izbę i wraz z Jakóbem wszedł przez wązkie drzwiczki do drugiéj. daleko mniejszéj izby, będącéj mieszkaniem arendarza i jego rodziny. Tam słychać było, jak głośno i zapalczywie rozmawiali obaj z żydem, wzajem sobie przerywając, popychając się łokciami i co chwilę zrywając się do kłótni z gospodarzem miejsca tego, który głośno i zapalczywie także u obydwóch, szczególniéj jednak u Szymona, dopominał się o pieniężne swe należności. Nie przeszkodziło mu to dać im po parę czarek wódki. Szymon swoje wychyliwszy, płakać zaczął i na gorzką dolę swoją i swoich dziatek wyrzekać, potém jeszcze o jedną czarkę na arendarza zawołał, a gdy ten dać jéj na kredyt już nie chciał, głośno i okropnie przeklinając go, nad plecami i przed twarzą ściśniętemi pięściami mu groził. Żyd ustąpił i dał mu jeszcze wódki, pilnie czarkę każdą krédą na drzwiach zapisując. Szymon wypił, mokre jego oczy rozweseliły się i błysnęły, czapkę aż po oczy na głowę nasunął i zamaszystym, choć razem i niepewnym krokiem z karczmy wyszedł. Przed karczmą, pod gwiaździstem niebem stanął i coś do siebie mrucząc, namyślać się zdawał. Z wielkiém wytężeniem oczu patrzał w stronę, w któréj zdaleka szarzało samotne w polu domostwo kowala i nagle, puścił się ścieżką, pod ścianami stodół ku niemu wiodącą. Szedł to prędko i raźnie, to znowu powoli i ze spuszczoną głową, ciągle do siebie coś niezrozumiałego mrucząc. Parę razy zatoczył się i rękami opierał o płoty ogrodów, przed kuźnią stanął i namyślał się znowu. Zdjęła go trwoga jakaś, bo rękę do czoła i piersi podniósł. Przeżegnał się i jeszcze kilkanaście kroków postąpił. Gdyby był trzeźwym, z połowy drogi wróciłby niezawodnie, alboby i całkiem w tamtą stronę nie szedł, ale wódka dodawała mu odwagi a ujmowała rozmysłu. Rękę na klamce drzwi położył i raz jeszcze przeżegnawszy się, do chaty kowala wszedł. Kowala w do-

mu nie było; Aksena w ten długi wieczór zimowy ciepłem pieca rozgrzana, usnęła na swym sienniku. Nad siwą jéj głową sterczała prząśnica ze złotawą kądzielą, tylko co upuszczone wrzeciono na szorstkiéj nitce zwisało z pieca, pod ramionami jéj nakształt skrzydeł roztwartemi, skurczone, jak zziębłe ptaszyny, spały dwie małe, rumiane prawnuczki. Izba napełniona była półzmrokiem i ciszą, palący się w piecu ogień krzesał błędne światełka w szybach okien, na których mróz wyrzeźbił sploty kryształowych i lśniących liści. Przed ogniem, na stołku siedząc, Pietrusia doglądała gotującéj się strawy i zarazem odzież rodziny naprawiała. U stóp jéj leżało kilka dziecinnych koszulek; na kolanach trzymała sukienny spencer męża, zszywając i przymocowując zdobiące go taśmy zielone. Kilka ubiegłych miesięcy, zmieniło nieco wyraz jéj twarzy, wązkiemu czołu odebrało jego dawną jasną pogodę, a w zarys ust wlało cichy lecz rzewny smutek. Świeżą jednak była jak wprzódy i jak wprzódy z rumieńców jéj twarzy i kształtów kibici, biły młodość i siła. W twardem suknie grubą igłę zatapiając i wysoko podnosząc rękę z długą nitką, półgłosem, na przewlekłą nutę śpiewała chłopską, posępną balladę:

Matka syna z cicha nauczaje:
„Czemu ty synku żonki nie karajesz?...“
„Oj maju, maju nahajku małuju,
I budu karaci żonku maładuju.“
Z wieczora kamora krykom zazwiniała,
A z połnoczy pościel hromko hawaryła,
A świtajuczy Hanulka nie żyła...

Tu śpiewaczka umilkła na chwilę, igłę nawlekła, w ogień szaremi oczami popatrzyła i znowu nad szyciem schylona, daléj przewlekłą nutę zawiodła:

„Oj maci, maci padnica u chacie,
Poradzi ciepier hdzie żonku chawaci?“
„Zawiezi Hanulu u czystoje pole,
Skażut ludzie szto Hanula pszenicu pole,
A sam skaczi na torh do Janowa...“
W Janowie braty Hanuli pochadzajuć
I u szwagra siestry swajej pytajuć:
„Hdzie Hanulu siestru naszu padzieu?“
Pryjechau do domu. „Sługi najmilejsze,
Padajcie konie mnie najworoniejsze,
Pajedu ja do Hanuli w pole.
Padajcie mnie skrypku hromku,
Zahraju ja swaju dolu horku...
Bodaj ty matko....

Z przeciągłem skrzypnięciem otworzyły się drzwi izby, Pietrusia śpiew swój przerwała i głowę odwróciwszy, zobaczyła wchodzą-

cego Szymona. Znała go dobrze i nie zdziwiła się, że tu przyszedł. Może z interesem do męża jéj przyszedł. Uprzejmie skinęła głową.

— Dobry wieczór, Szymonie. Jak się macie?

Nie odpowiedział nic, tylko uczyniwszy kilka chwiejnych kroków, wprost przed nią stanął i z otworzonemi ustami wpatrywać się w nią zaczął. W bladych jego oczach tak mięszały się z sobą wyrazy ciekawości i trwogi, dzikiego pożądania i pijanego rozczulenia, że wyglądał z tém trochę strasznie i trochę téż śmiesznie. Z otwartych ust jego, w samą twarz kobiety zionęła woń wódki. Ręce w rękawy kożucha wsunął i z pomięszaniem trwożliwości i zuchwalstwa zaczął.

— Pietrusia, ja do ciebie z prośbą...

— A czego chcecie? — zapytała.

— *Kab* ty mnie *hroszy* pożyczyła... Do *mirowego* dziś na sądy chodził... Długi, *każe*, zapłacić trzeba... Ziemię sprzedadzą, *każe*.... Nie sprzedadzą, mówię, bo nie wykupiona, od rządu znaczy nie wykupiona. A on, *kab* jemu nogi *pokruciło*, długi popłacić, *każe*... ja do starszyny...

Tak prawił przez długie minut kilka, po wiele razy jedno i to samo powtarzając, ona słuchała go cierpliwie, szyciem swém zajęta, nakoniec podniosła głowę i zapytała:

— To i cóż ja tobie, Szymonku, poradzić mogę?

— *Hroszy* pożycz, przystępując bliżéj — powtórzył chłop.

— Niema, dalibóg niema, a zkąd u mnie *hrosze* mogłyby być. Wszyscy wiedzą, że do mężowskiéj chaty w jednéj spódnicy, *taj* w podartym kaftanie przyszłam... i *on* nie ma, pobożę się, że nie ma. Dostatek w chacie, chwała Bogu, jest, ale *hroszy* niema... My jeszcze *młode* oboje... kiedyż nam było *hrosze* zbierać?

— Kłamiesz!—zawarczał chłop, *hroszy ty majesz pod dostatkiem*, tyle *majesz*, ile ich twoja dusza zażąda.

I burkliwy ton na proszący zmieniając, dodał:

— Pożycz, Pietrusia, zlituj się, pożycz... co tobie szkodzi? jak ty *pryjacielu* swemu powiesz, żeby tobie więcéj przyniósł, to zaraz i przyniesie...

Oczy kobiety ze zdumieniem utkwiły w twarzy chłopa, którą wódka i wzruszenie, zabarwiać zaczęły ceglastym rumieńcem.

— Czy ty *sfiksowałsia*? (zwaryował) — przemówiła... Jakiż to mój przyjaciel taki, coby mnie hrosze według żądania nosił?

Szymon do czoła rękę podniósł, jakby przeżegnać się zamierzał zarazem, głosem zniżonym od trwogi, z głupowatą miną wymówił:

— A czort-że? ha? albo to on tobie hroszy nie nosi, ha?

Na te słowa kobieta jak oparzona ze stołka się zerwała, oczy jéj otworzyły się szeroko, ręce gestem obronnym przed siebie wyciągnęła.

— Co ty wygadujesz? — krzyknęła — człowieku, upamiętaj się i Boga w sercu miéj...

— A *taki* nosi... przystępując bliżéj jeszcze i oczu z niéj nie spuszczając, nalegał chłop. Ona śpiesznie i bardzo głośno mówiła.

— Ja w kościele ochrzczona! Mnie codzień na noc krzyżem świętym żegnali! ja grzechem śmiertelnym nijakim duszy swojéj nie zgubiła.

— A taki nosi! — tuż przed nią już stojąc powtórzył chłop,— ja sam dziś widział, jak on, ognisty taki, przez komin do twojéj chaty wlatywał...

Tym razem, w szeroko otwartych oczach kobiety, błysnęło przerażenie.

— Kłamiesz! — krzyknęła i czuć było, że pragnęła namiętnie, aby zaprzeczył zaraz temu, co powiedział. — Kłamiesz! powiedz, że skłamał!

— Dalibóg, widział...

Pięścią uderzył się w pierś i znowu zaczął:

— Pożycz, Pietrusia, zmiłuj się, pożycz... Już ja i na czortowskie hrosze zgadzam się, byle z téj gorzkiéj biédy wyleźć... daj choć czortowskich... Następował na nią, popychał ją sobą ku ścianie, ziejącą wonią wódki twarz swą do saméj twarzy jéj przysuwał.

— Ja do ciebie, jak do matki... Pietrusia, choć ty wiedźma, ale ja do ciebie jak do matki... ratuj... niech już i na mnie ten wielki grzech spadnie... podzielim się z tobą i hroszami i grzechem... Ja do ciebie jak do matki i opiekunki... choć ty wiedźma, ale ja do ciebie jak do téj opiekunki...

Gniew, przestrach, wstręt do pijanego tego człowieka, który nałogiem swym żonę i dzieci w nędzy pogrążał, a nad jéj dachem latających dyabłów spostrzegał, ogarnęły Pietrusię i obudziły w niéj całą niepospolitę jéj siłę. Z iskrzącemi się oczami, nogą w podłogę uderzyła i krzyknęła:—Won! zarazem chłopa za kożuch pochwyciła i drzwi otworzywszy, do ciemnéj sieni go wypchnęła. Nie było to rzeczą zbyt trudną. Chłop bardzo słabo trzymał się na nogach. W ciemnéj sieni zatoczył się aż do drzwi podwórzowych i ztamtąd jeszcze zawołał:

— Nie dasz? *taki* nie dasz hroszy?

Ale żona kowala na żelazną zasuwkę drzwi sieni zamknęła. Chłop pod zamarzłe okno podszedł i tam to wykrzykiwał, to mruczał.

— Ja do ciebie... wiedźmo ty... jak do matki... daj hroszy... *zlitujsia*... choć i czortowskich daj... Nie dasz? taki nie dasz? Pietrusia! słyszysz? *Mirowy* każe, długi popłacić trzeba... ja do starszyny.... Starszyna każe, ziemi nie sprzedam, ale gospodarstwo sprzedam... w jednych koszulach zostaniecie... oj, horkaja dola moja i dziatek moich. Pietrusia, słyszysz? daj hroszy... co tobie szkodzi? Przyjaciel twój nanosi tobie znów wiele zażądasz... Nie dasz? taki nie dasz? No, to poczekajże, dam ja tobie, zgubiona dusza twoja... niewierna... nieprzyjacielu boskiemu zaprzedana... popamiętasz!

Poszedł ścieżką ku karczmie i wsi, a idąc zwolna i chwiejnie, pięście ściskał, w powietrzu niemi miotał i wciąż z wykrzykami gniewnemi, to z posępném mruczeniem do siebie, mówił:

— Nie dała! *taki* nie dała! zgubiona dusza jéj... Panu Bogu niewierna... nieprzyjacielu bozkiemu zaprzedana... dam ja jéj... popamięta...

Od paru już miesięcy Pietrusia do wsi nie chodziła. Strach ją przejmował, gdy myślała o spotkaniu się z ludźmi i babka parę razy powtórzyła jéj zlecenie, aby cicheńka była, jak rybka na dnie wody. Jednak, w tydzień przeszło po owych szczególnych odwiedzinach Szymona, wypadła jéj potrzeba konieczna do Łobudów pójść. Szło o *talki*, które dla Łobudowéj uprzędła Aksena, a które koniecznie odnieść wypadało, aby dłuższém ich zatrzymywaniem wyrzutów lub i posądzeń nie ściągnąć. O zmroku, gdy kowal pracował, w kuźni Pietrusia do babki rzekła:

— Pójdę, babulo, dziś już koniecznie do Łobudów pójdę.

Stara przemilczała chwilę, jakby jéj to postanowienie wnuczki do smaku nie przypadało, potém jednak odrzekła:

— Idź, kiedy już trzeba... tylko tam ludziom nie nasuwaj się na oczy... za gumnami przejdź.

— Za gumnami przejdę—powtórzyła Pietrusia.

Siermiężkę i trzewiki włożyła, chustkę na głowę zawiązała i poszła. Aksena z dziećmi na piecu pozostawszy, w zupełnéj prawie ciemności bajkę o smoku opowiadać zaczęła. Była to bajka długa i straszna, po któréj nastąpiła inna, tak śmieszna, że dwoje starszych aż zachodziło się od śmiechu i najmniejsza, Halenka, śmiała się także, choć jeszcze dobrze zrozumiéć jéj nie mogła. Malutki Adamek zaskwierczał w kołysce, Aksena Stasiukowi rozkazała, aby z pieca zlazł i brata kołysał. Dziecko zsunęło się z pieca, wgramoliło się na tapczan, przy którym stała kołyska i wkrótce po ciemnéj izbie, miarowy tentent biegunów, zawtórował chropowatemu głosowi baby, opowiadającéj trzecią już bajkę. Wtém, pod oknami i w sieniach dał się słyszéć tentent szybko biegnących stóp, drzwi otworzyły się

z trzaskiem i otwartemi snać pozostały, bo do izby wionął strumień mroźnego powietrza, zarazem, śród ciemności rozległ się krzyk głuchy, rozpaczą czy trwogą zdławiony.

— Jezu! ratujcie! ja nieszczęśliwa! biją już! kijami biją! Boże mój miłosierny.

Był to głos Pietrusi, która widać całém ciałem osunęła się na podłogę, bo pośrodku izby coś mocno stuknęło. Jednocześnie Aksena, która na kilka sekund oniemiała, trzęsącym się głosem przemówiła.—A tobież co Pietrusia? a tobież co? Niech Pan Bóg zmiłuje się nad nami! co tobie?

Krzykiem i stukiem przestraszona, trzyletnia Halenka wrzasnęła płaczem, ciszéj nieco zawtórował jéj Adamek. Przez wrzaskliwy płacz dzieci przebił się głos ślepéj baby, donośny, nakazujący.

— Nie *fiksujsia* (nie waryuj) Pietrusia. Światło zapal. Dzieci po ciemku płaczą.

Ciężko, ze zdławionemi jękami kobieta podniosła się z ziemi, a gdy światło rozniecała i palące się łuczywo w szczelinę pieca wsuwała, ręce jéj trzęsły się jak w febrze. Przy drżącym blasku powstającego ognia, twarz jéj z wyrazistością rzeźby wystąpiła na szare tło izby, blada jak płótno, z czołem ściągniętém w kilka fałd grubych, z oczami buchającemi płomieniem. Chustka spadła z jéj głowy, splątane włosy okryły szyję i jeżyły się nad czołem, dwie tylko łzy świeciły na jéj rzęsach, ale głębokie łkania wstrząsały ustami i piersią. Światło zapaliwszy, obu rękami schwyciła się za głowę i jak nieprzytomna po izbie biegać zaczęła. To z szeroko rozwartemi oczami i rękami nad głową po środku izby stawała, to twarzą rzucała się na stół albo ławę, to do pieca przypadała i ku babce błagalnym jakby gestem, obie ręce wyciągała wysoko. Przytém mówiła ciągle, tak jak się mówi w gorączce, prędko, bezładnie, z nagłemi krzykami, to znowu ze zniżeniem głosu aż do szeptu. W ten sposób opowiadała rzecz, któréj słuchając, Aksena na swym sienniku prostowała się jak struna, żółtemi szczękami coraz prędzéj poruszała a kościanemi rękami bezwiednie może szukała głów małych wnuczek, które milczące już, przelękłe, same się pod te ręce i do jéj piersi przysunęły. Opowiadała, że do Łobudów zaszła szczęśliwie, *talki* oddała, wszystkim pokłoniła się pięknie, ale w rozmowę się nie wdając, zaraz nazad tą samą drogą poszła. Na téj drodze czatowali na nią ludzie, którzy snać już wiedzieli, że ona tamtędy, od Łobudów wracając, iść będzie. Czatowali na nią za płotem ogrodu, za nizkim płotem, przy którym, gdy przechodziła, ktoś ją kijem w plecy uderzył raz i drugi, a tak mocno, że aż na ziemię upadła. Ten, kto uderzał, był Szymon Dziurdzia, bo go dobrze choć w zmroku poznała,

ale za Szymonowemi plecami rozległ się śmiech Stepana a Paraska, Szymonowa żonka, cościś o pieniądzach i kupnéj spódnicy zagadała, i Rozalka przeklinała i wiedźmą ją nazywała i jeszcze ze dwoje ludzi śmiało się i gadało, ale ona już nie wié kim byli, bo zerwała się z ziemi i co sił daléj pobiegła. A oni przez płot na ścieżkę przeleźli i ku karczmie sobie poszli, nie uciekając, pomału, jakby nic. Bili! kijami już bić zaczęli! co ona pocznie? Za co to na nią przyszło?

Płakała teraz rzewnemi łzami, ręce łamała, widać było, że trwoga straszna mąciła jéj rozum i odbierała wolę. Na piecu zaszemrał szept staréj.

— Parobku Prokopku... oj, parobku Prokopku... czemu ja sobie teraz gadanie i łzy matki twéj Prokopichy, znów przypomniała?

Białe oczy pośród żółtéj twarzy szerzéj rozwarła i tym samym co wprzódy nakazującym głosem przemówiła.

— Klęknij i pacierz głośno mów...

Rozkazywała tak, jak gdyby wnuczka jéj malutką jeszcze dziewczynką była, a ona słuchała téż jej jak dziecko. Wn uklękła.

— Nie tak—przemówiła stara—nie tak. Halenkę z pieca zsadź, Adamka na ręce weź, starszych do siebie zawołaj.. ogarnij dzieci rękami i Najwyższemu Bogu je pokazuj... Pacierz mów i dzieci Bogu pokazuj... Ty matka... niech Bóg najwyższy lituje się nad dziećmi...

Z sennem niemowlęciem na jedném ramieniu a drugiém ogarniając małego chłopca i dwie mniejsze odeń dziewczynki, młoda kobieta klęczała pośrodku izby, a słowa modlitwy, ze zmąconéj pamięci jéj uciekały i na drżące usta nie przychodziły. Ślepa baba chropowatym swym i trzęsącym się głosem zaczęła.

— Ojcze nasz, któryś jest w niebiesiach, *świaćsia* imię twoje, *pryjdź* królestwo twoje, *budź* wola twoja...

Wtórował jéj słaby zrazu, potém coraz wyraźniejszy głos młodéj kobiety. Jednogłośnie, żarliwie wymówiły *Amen*, poczém stara wyrzekła:

— Nu, wstań! może Pan Bóg Najwyższy posłyszał...

Ciszéj dodała:

— I dzieci zobaczył...

Chwilowa cisza zapanowała w izbie.. Pietrusia niemowlę do kołyski kładła, starsze dzieci skupiły się w kącie izby, tak szczelnie jedno do drugiego przytulone, jak przestraszona trzodka owiec.

— Gdzie Michałek? — zapytała Aksena.

— W kuźni.

— Nie wié, co tobie *przytrapiło* się...

— A nie wié...

Parę miesięcy temu, z żalem swym i strachem, tak jak z radością i weselem, biegłaby wprost do męża, przedewszystkiém i bez namysłu biegłaby do niego. Ale teraz! o! z innėm on już sercem dla niéj niż dawniéj... Nie można już jéj ze wszystkiém do niego biedz. Wiara jéj w jego lubienie przepadała, codzień więcéj przepadała, a tam gdzie była jéj słodycz, robiło się tak gorzko, jakby ją naprzykład przysypał ktoś garścią piekącéj gorczycy.

— Chodź do mnie, *ditia*, pogadamy...

Od kołyski odeszła, na tapczanik wskoczyła, a ztamtąd łatwo już jéj było na brzegu pieca usiąść. Siedziały naprzeciw siebie; białe oczy ślepéj baby zdawały się z wytężeniem wpatrywać we wzburzoną i spłakaną twarz młodéj kobiety. Po dość długim namyśle, Aksena zaczęła.

— Pietrusia! toż to jutro wielkie święto.

— Ale, babulo.

— Toż to Niepokalane poczęcie Przenajświętszéj Maryi Panny, wielki fest w kościele i wielki targ w miasteczku.

— Ale, babulo.

— W kościele odpust święty a na targu będzie *narodu* chmura. I z Suchéj Doliny gospodarze pojadą do kościoła i na targ.

Znowu dość długo milczała, myśli swe i plany jakieś, zdając się żółtemi szczękami przeżuwać.

— Posłuchaj — rzekła — już tobie niema innego ratunku, tylko do Pana Boga udać się i u niego o świadectwo przed ludźmi poprosić. Niechaj o tobie Pan Bóg zaświadczy, żeś nijakim grzechem śmiertelnym duszy nie zgubiła. Do kościoła idź, przed Panem Jezusem krzyżem leż, spowiadaj się i komunię przenajświętszą przyjm... Słyszysz?

— Słyszę, babulo. Dobrze, babulo, zrobię jak doradzacie.

— Ale. Jak wyspowiadasz się a od księdza komunię przenajświętszą przyjmiesz i sama pocieszysz się i ludziom wszystkim pokażesz, że nieprzyjaciółką boską nie jesteś. Niechaj zobaczą, że do Pana Boga krzyżem leżąc modlisz się i że tobie ksiądz komunii przenajświętszéj nie odmówił. Kiedy to zobaczą, poznają że ty nie taka jak oni wymyślili i że śmiertelnego grzechu, ani żadnego ważnego przestępstwa na tobie przed Panem Bogiem niema. Pan Bóg najwyższy sam tobie dobre świadectwo wyda...

— Dobrze, babulo, dobrze — znacznie uspokojona powtórzyła Pietrusia i zmęczoną głowę na kolana babki pochylając, kościaną rękę jéj pocałowała. Ona tą ręką zaczęła ją po włosach gładzić. Milczały obie. Potém młoda kobieta ozwała się znowu.

— Franki poproszę, aby chaty i dzieci dopilnowała i strawę zwarzyła, a sama o świtaniu do miasteczka pójdę.

— Może i Michałek pójdzie?

— Pewno nie pójdzie. Do dworu tego pójść jemu trzeba, z którego tę dużą robotę ma wziąć.

— Dobrze byłoby, żeby poszedł. Razem by pomodlili się i wyspowiadali, żeby dawniejsze dobro wróciło...

Znowu milczały, w myślach pogrążone. Dzieci w kącie szeptać pomiędzy sobą zaczęły i z głośném chrupaniem jeść surową brukiew, którą Stasiuk gdzieś w sieni zarzuconą znalazł. I nikt nie zwrócił uwagi na męzkie kroki, które ozwały się za drzwiami. Kowal do izby wszedł, a Pietrusia, wtedy dopiero głowę z nad kolan babki podniosła. Na twarzy Michałka nie malowała się już uprzednia wesołość bez troski, ni cienia. Niezadowolenie i niepokój przyćmiewały blask jego czarnych oczu, wargi pod czarnym wąsem nieco wydęte objawiały skłonność do wyrzutów i gniewu. Dzieci, które rzuciły się ku niemu po głowach pogłaskał i obejrzawszy się po izbie, zdziwionym głosem zawołał.

— A toż co? toż to wieczerzy jeszcze i *zawodu* (zaczętku) nie ma!

Istotnie, smolniak tylko rzucał na izbę skąpe i chwiejne światło; w czarnym, głębokim otworze pieca, ognia nie było.

— O, Jezu! z pieca zeskakując krzyknęła Pietrusia, toż to ja dziś o wieczerzy zapomniałam, na śmierć zapomniałam!

I z takim pośpiechem, że aż ręce jéj drżały poczęła og ń rozniecać i w garnki nalewać wodę. Pierwszy to raz w życiu zdarzyło się jéj o domowych zajęciach zapomnieć a przyczyny zapomnienia tego mężowi powiedzieć nie mogła. On téż o nią nie zapytywał. Usiadł na ławie i rzekł tylko.

— Już chwała Bogu o jedzeniu dla męża zapominasz, a dzieci surową brukiew z twojéj łaski gryzą... jakby im żebrak jaki był ojcem.

Wziął na kolana Stasiuka, brukiew mu z rąk odebrał i w kąt izby ją cisnął. Wymówka, którą uczynił żonie ostrą nie była, ale kobieta wolałaby może aby się rozgniewał, a potém znowu przyjaźnie do niéj zagadał. Ale on już do niéj nie przemówił więcéj i tylko do dzieci odzywał się czasem. Śpieszyła z wieczerzą, krupy do garnka sypała, jaj trochę przyniosła i urządzać zaczęła jajecznicę ze słoniną, aby módz jak najprędzéj cokolwiek mężowi podać. Aksena, do męża wnuczki, kilka razy zagadywała: a co dziś w kuźni robił? a kogo widział? A czy jutro na fest pojedzie? On zbywał ją zawsze parę słowy, w których ani niegrzeczności ani też życzliwości nie było. Jeżeli co mówił, to ot tak, byle zbyć, z roztargnieniem i mrukliwie. Pie-

trusia, zapalając lampkę, urządzając a potém i podając wieczerzę, ruszała się żwawo, pośpiesznie, a jednak wyglądała jak nieżywa. Z ust ani pary nie wypuszczała, chód jéj był cichy i lękliwy; przed mężem stając powieki spuszczała. Widać było, że gdy on na nią patrzał, drętwiała cala z bojaźni. Wiedziała przecież dobrze, że bić jéj, ani nawet łajać nie będzie. Czegóż więc lękała się? Może spójrzenia jego, które gdy na nią patrzał, stawało się dziwnie przenikliwém, czasem rozgniewaném, a czasem tak smutném, że dostrzegłszy je, płacz powstrzymywać musiała. Coś pomiędzy niemi murem stanęło. Ona dobrze wiedziała, co to było. Jako rzemieślnik bardzo przez ludzi używany, Michałek ciągle z ludźmi się widywał i bywał wszędzie, gdzie oni bywali, i słyszał wszystko, co oni mówili. Ciekawy i rozmówny, tyle zawsze o wszystkiém wiadomości posiadał, że niektórzy śmiejąc się mawiali o nim, iż słyszy jak trawa rośnie. Słyszał więc témbardziéj to, co tyczyło się jego żony i domu. Raz w bójkę, a kilka razy w srogą kłótnię wprowadziły go te gadaniny ludzkie o Pietrusi. Potém już kłócić się przestał i głuchego udawał, ale, co działo się w jego sercu, to zdradzały wyraziste rysy jego twarzy i wypowiadały wyraziste także, skrytości nie nauczone oczy. Miał wiele ambicyi; przez nią to głównie tak gorliwie pracował, chatę swą przyozdabiał i wszelkim dostatkiem napełniał, o oddaniu kiedyś Stasiuka do szkoły, marzył. A tu, spotykał go wielki wstyd! Przytém, kto wie, jakie tam jeszcze przypomnienia i powątpiewania po myśli jego błądziły? Wierzyć, nie wierzył w prawdę tego, co ludzie o żonie jego gadali; przecież, patrzał na nią tak, jakby ją wzrokiem na wskróś przeniknąć pragnął, a zbliżenia z nią, jakby instynktem jakimś od niéj odpychany, unikał. Czasem przecież, tkliwość jakaś podnosiła się mu z serca do gardła i oczu, a wtedy stawał się taki smutny, jakby z ojcowskiego pogrzebu powracał. Nigdy jednak okazać tego nie chcąc, stosownie do pory w któréj się to zdarzało, albo z domu wychodził, albo co najprędzéj spać się kładł. Teraz, Pietrusia, jajecznicę na stole postawiwszy, stanęła na przeciw niego i ze spuszczonemi powiekami czekała, aby jéj sobie na talerz nabrał, resztę chcąc dzieciom i babce rozdać. On, cynową łyżką w misce napełnionéj jajecznicę pogrążając, utkwił w niéj wzrok przenikliwy i razem trochę żałośny.

— Oj, Pietrusia! Pietrusia, kiwając głową, zaczął, co tobie stało się? do czego ty teraz podobna? Włosy masz takie rozczochrane, jak żebyś z kim biła się, a oczy spuchnięte od płaczu. Czego płakałaś? ha?

Nic nie odpowiadając, odwróciła się prędko i stanęła przy ogniu, plecami do niego zwrócona. To milczenie, którém odpowia

dała na serdeczniejsze pytanie jego, obraziło go widocznie, bo gdy mu chleba pod ręką zabrakło, podniesionym i grubym głosem krzyknął...

— Chleba daj! słyszysz? Czego tam stoisz z opuszczonemi rękami, jak pani jaka!

A gdy oddała mu żądaną usługę, krzyknął znowu.

— Dzieciom daj jeść! Nie żebraki one, żeby przez czort wie jaką matkę, do północy głodne być musiały.

Była to już obelga i najboleśniejsza, bo macierzyńskiemu sercu jéj zadana, a ona i na to nie odpowiedziała nic. Jedzenie babce i dzieciom rozdała, naczynia od wieczerzy wymyła i na półce poustawiała, stół starła, smolniak i lampę zgasiła i na tapczaniku usiadłszy, nad kołyską schylona, Adamka który obudził się piersią swą nakarmiła. Ogień w piecu palił się jeszcze trochę i w izbie panowało ruchome pół światło. Aksena, na swym sienniku nieruchomo u wierzchołka pieca leżała. Spała czy niespała, ale milcząca i nieruchoma leżała. Dzieci natychmiast po wieczerzy usnęły. Michałek spać nie szedł. Przy wieczerzy jadł dużo, potém, na stole rozparty papirosy jeden po drugim palił, parę razy nawet zagwizdał coś sobie pod wąsem. Na pozór więc, nie dolegało mu nic. Jednak do snu zabierać się ani myślał. Papierosy wciąż palił i z czołem na dłoni opartém dumał. Pietrusia kołyskę poruszać i niemowlęciu do snu nucić zaczęła. Nie śpiewała, ale nuciła półgłosem, na nutę monotonną, przewlekłą, która w głębokiéj ciszy i chwiejném półświetle, płynęła i kołysała się jak smutna, nieśmiała fala. Niemowlę usnęło, kobieta wstała z tapczana i bosemi nogami, cicho do męża podeszła. Cicho też przemówiła.

— Michałek!

— Ha? głowę z nad dłoni podnosząc i na nią patrząc zapytał.

— Ja chcę jutro o świtaniu do miasteczka iść...

— Czego?

— Do kościoła na odpust. Frankę poproszę, aby chaty i dzieci popilnowała.

Patrzał na nią ciągle, ale wyrazu oczu jego w zmroku widzieć nie mogła.

— Czemuż to tobie tak do kościoła zachciało się? zapytał.

Po chwilowém milczeniu odpowiedziała.

— Wyspowiadam się i komunię przenajświętszą przyjmę. Niech mnie sam Pan Bóg najwyższy przed ludźmi dobre świadectwo wyda...

Łkania powstrzymała i łzy, które gradem stoczyły się na policzki, fartuchem otarła.

— Znów płaczesz, zauważył Michałek, ot płaksiwa ty teraz zrobiła się... ze wszystkiém nie taka jak była...

— Nie taka, powtórzyła kobieta, a po chwili nieśmiało dodała. I ty nie taki jak był...

— A nie taki, potwierdził mąż.

W krótkich tych słowach, któremi wspólnie zeznawali przed sobą zepsucie się szczęścia dawnego, brzmiała głęboka żałość. On wciąż przyglądał się jéj bacznie.

— Taki doprawdy wyspowiadasz się jutro i komunię przenajświętszą przyjmiesz?

— A jakże, odpowiedziała i zrobiła ruch do odejścia. Ale on na nią zawołał.

— Pietrusia.

— A co?

— Siadaj przy mnie, pogadamy.

Zdziwiona i nieśmiała usiadła przy nim na brzegu ławy. On mówić zaczął.

— Posłuchaj, Pietrusia. Czy to my już zawsze tak z sobą będziem żyć, jak te nieme stworzenia... Tego tylko brakuje, żebyśmy zaczęli takie zgorszenie i taki śmiech ludziom robić, jak nie przymierzając Stepan Dziurdzia i jego żonka... Tak nie można, Pietrusia. Tak nie trzeba. Ty matka dzieci i ja ciebie szanować muszę...

Słuchała go tak chciwie, jakby każde słowo jego wyrokiem dla niéj być miało, a gdy umilkł ręce na fartuchu rozłożyła i szepnęła.

— To i cóż ja zrobię, kiedy ty Michałku lubić mnie przestał...

Wymówiwszy to, widocznie na odpowiedź, z przyśpieszonym oddechem czekała. Ale kowal nie odpowiedział nic. Sapnął głośno, westchnął, kawałek niedopalonego papierosa na środek izby rzucił i znowu głowę ręką podparłszy milczał. Wtedy ona, nie doczekawszy się zaprzeczenia słów, które wymówiła, ze stłumionym jękiem osunęła się na ziemię i namiętnym szeptem mówić zaczęła.

— Michałku, lubku, już ja dawno widzę, że ty mnie lubić przestał, że ja tobie zrobiłam się niemiła, że ja tobie jestem ot tak, jak ten ciężki wór na plecach, albo ten kamień, żeby go do nogi przywiązać... Niema twojéj wesołości! niema twego gadania! niema twego śmiechu! Żałośny ty czasem taki, że kiedy na ciebie patrzę, wolałabym już pod ziemią leżéć... Żałuję ja ciebie więcéj jak życia własnego i nie chcę, żebyś ty przezemnie marnie przepadał... kiedy ty mnie nie lubisz, to pójdę ja sobie z chaty, od ciebie, w szeroki świat pójdę, gdzie oczy poniosą... Babuli tylko do śmierci dopatrzysz... nie dużo już jéj na tym świecie przebywać zostało i jedne dziecko

wziąć mnie pozwolisz... na pamiątkę, oj, na pamiątkę jedyną! Jak babula ze mną kiedyś po świecie chodziła, taj na nas dwie pracowała, tak i ja z dzieciątkiem swojém chodzić będę, taj na oboje nas zapracuję... A jak zajdę gdzie daleko, het daleko, aż na skraj świata, to i wieść o mnie na zawsze przepadnie, ludzie pomyślą, że już między żywemi mnie niema, a tobie wolno będzie wziąć sobie żonkę inną i gospodynię inną i wszystko sobie według woli robić... Lubku, Michałku, pójdę ja sobie od ciebie, pójdę ja sobie z chaty od ciebie, na skraj świata pójdę, z jedném dzieciątkiem swojém... kiedy ty mnie już nie chcesz... oj pójdę...

Mówiąc to kolana jego obejmowała i czoło ku nim schylając, usta do nich pocałunkami przykładała. Ale gdy czasem głowę podniosła, to na jéj twarzy, pomimo nieznurtowanego żalu, tyle malowało się szczerości i siły, że zdawać się mogło, że ot, zaraz, zaraz zerwie się z ziemi, dziecko którekolwiek w ramiona pochwyci i z chaty wybiegnie... Nie zerwała się jednak z ziemi sama, lecz podniosły ją i na ławie posadziły dwa męzkie ramiona. Ramię jéj, jak w kleszczach, w ogromném ręku swém ściskając i widocznie zmuszając się do śmiechu, kowal mówić zaczął.

— Co ty pleciesz? co ty wygadujesz? Ej, jaka durna czysta waryatka! Z chaty ona pójdzie! na skraj świata pójdzie! Albo to ja puściłbym ciebie z chaty! Ot prędzéj rozstałbym się z tém życiem...

W mgnieniu oka u szyi jego uwisła.

— To ja tobie widać nie bardzo niemiła...

— Ty mnie tak samo miła jak wprzódy..

Przy padającéj na nich smudze bladego światła, w twarze sobie zbliska popatrzali. Ona zobaczyła że to, co powiedział prawdą było i oczy jéj oschły z łez, zaświeciły, stały się znowu takie wesołe, szczere i wymowne jak dawniéj.

— Oj ty, ty pleciuho! czy ty myślisz, że ja łotr jaki albo rozbójnik, żebym tak już od razu wszystkiego zapomniał i serce odmienił? Czy ty u cudzych ludzi horując i ludzkie pośmiewisko znosząc sześć lat, na mnie nie czekała i dla mnie bogatym gospodarzem nie wzgardziła?

— Ale, szepnęła kobieta.

— Czy ja ciebie zbrudzoną wziął albo jakkolwiek upośledzoną? Czysta ty była i bez plamy nijakiéj, jak ta szklanka w krynicznéj wodzie wymyta, hoża ty była i wesoleńka, jak ten ptak pod niebem latający...

— Ale...

— Siedem latek ja z tobą żył i aż póki na nas nieszczęśliwe czasy nie przyszły, jednego smutnego dnia nie przeżył, złości na twojéj twarzy nie widział, złego słowa od ciebie nie słyszał...

— Ale...

— Dziatek ty mnie czworo urodziła i z pilnością hodowała, gospodarstwa strzegła i rąk nie zakładała, dostatku wszelkiego przymnażając...

— Ale...

— Nu to widzisz! dla czegóżbym ja ciebie lubić przestał? Oj, ty głupia! z chaty odemnie iść chciała... a ja by za tobą poszedł, dogonił i wtedy by już wybił... dalibóg, wtedy, wtedy to już byłby tobie *szabasz*! wybiłbym, nazad zawrócił i w chacie posadził. Siedź babo, kiedy ci dobrze! Ot!

Wraz z ostatnim wyrazem rozległ się po izbie głośny pocałunek. W same usta ją pocałował, w pół objął i zapytał.

— Nu, teraz mów, czego dziś tak płakała, że aż oczy zapuchły? Czy znowu ci kto co przykrego zrobił? ha?

Upewniona, że lubi on ją tak jak i dawniéj, z oczami błyszczącemi od szczęścia, chwilę jeszcze wzbraniała się ze zwierzeniem. Ale stare przyzwyczajenie mówienia mu wszystkiego przemogło, ręką twarz ze wstydu zakrywając, ale już nie płacząc, opowiedziała mu swoją straszną, dzisiejszą krzywdę. Michał z ławy się zerwał i pięścią w stół grzmotnął.

— Zabiję! krzyknął, na śmierć łajdaków tych zabiję! Czego oni do ciebie przyczepili się, łotry te, chamy...

Chamami chłopów nazywał, jakby sam nie był chłopem. Istotnie, miał siebie za coś już nieco wyższego nad sferę, do któréj z urodzenia należał. Pietrusia przyczepiła mu się do ramion, błagając aby nikogo nie bił i nawet nie zaczepiał. Z żyłą na czole nabrzmiałą i błyskawicami w oczach siadł na ławie, sapał, papirosa z porywczemi gestami rąk zapalał. Potém, kłęby dymu z ust wypuszczając, sarkał jeszcze.

— Durne chamy! żeby w takie głupstwa wierzyć! ja nie wierzę... dalibóg, nie wierzę, żeby na świecie jakie wiedźmy były... Czasem i mnie przechodziło przez głowę, że to może być prawda... zwyczajnie... pomiędzy głupiemi i najmędrszy człowiek czasem zgłupieje... Ale *taki* wiem dobrze i rozumiem, że to wszystko bajki. Ciemny *naród* i koniec! To swoją drogą a bieda swoją drogą! I wstyd, wstyd mnie jak pijakowi albo oberwańcowi jakiemu bić się z chłopami po karczmach i drogach a i nic to nie pomoże... Durniom głupoty ich z głów nie powybijasz, żebyś nie wiem jak bił... Co tu robić?

— Jutro przed wszystkimi wyspowiadam się i komunię przenajświętszą przyjmę, szepnęła Pietrusia.

Michał ręką machnął.

— Co to pomoże? jeden zobaczy, a drugi na odpuście w ścisku, i nie zobaczy. Kto był ze złą wolą dla ciebie i z zawiścią, ten tak i pozostanie. Zmarnujesz się w dokuczaniu ludzkiém, a jeszcze kiedykolwiek znów cię tak skrzywdzą, jak ot dziś... Niech Pan Bóg broni...

Ręką sobie mocno twarz całą przetarł a potém nad głową włosy rozrzucać zaczął.

— Chyba zabrać się, chatę i gospodarstwo rzucić i w świat iść... zamruczał.

— Chatę i gospodarstwo rzucić! krzyknęła Pietrusia.

— To cóż! cóż to ważnego? odpowiedział.

Jednak, oczami, które wilgocią zaszły, dokoła izby wodził. Miłą mu była ta chata jego, ciepła, dostatnia, wystrojona we wszystko, co do niéj przez tyle czasu, jak ptak do gniazda przynosił! Miłym téż był ten poojcowski ziemi kawał, na którym po długiéj żołnierskiéj tułaczce, z radością w duszy osiadł! Po długiéj chwili milczenia, szyję żony objął i zaczął.

— Żeby mnie tutaj źle było żyć, poszłaby ty za mną gdzieindziéj?

— A jakże! krzyknęła Pietrusia.

— No, to kiedy tobie tutaj źle, ja z tobą pójdę gdzieindziéj. Ziemię w arendę oddam, tak jak wtedy kiedy do wojska szedłem a z rzemiosłem mojém cały świat choćby obejdę, a chleba ani nam, ani dziatkom naszym nie zabraknie... W miasteczku gdzie osiądę i kuć będę, a ciebie krzywdzić nie dam i jeszcze broń Boże, bić...

Kobieta pochyliła się i ręce jego całować zaczęła.

— Jaki ty dobry, oj, jaki ty dobry... lepszego już chyba na całym świecie niema... Ja w twojéj twarzy zobaczyłam i w twojéj mowie posłyszałam i w całym tobie rozpoznałam, że ty taki dobry... Dla tegoż ja ciebie tak i polubiłam, na zawsze, aż do śmierci, że mnie już nigdy żaden człowiek inny miłym nie był i że bez twego lubienia mnie tak jak bez tego słońca grzejącego i bez téj wody pojącéj...

Wyprostował pochyloną jej kibić i objął ją ramionami.

— Idź jutro do miasteczka, mszy świętéj wysłuchaj, spowiadaj się a po nabożeństwie do mojéj siostry Hanuli, co tam za mężem, za felczerem jest, zajdź i rozpytaj się u niéj, czy dobrzeby mnie było w miasteczku osiąść... Znaczy, z rzemiosłem moim osiąść... czy tam kowala potrzebują... a jeżeli tam nie potrzebują, to ja sobie może zgodzę się w tym dworze, do którego jutro o robotę umawiać się

pójdę. Wielki dwór i wielki majątek... zawsze kowal tam był a teraz niema, może mnie zechcą. Chciałbym ja z tobą na odpust pojechać, ale do tego dworu trzeba... To idź ty już sobie jutro w swoję drogę, a ja pójdę w swoję, a potém nie bawiąc, babulę i dzieci na wóz zabierzem i *hajda*, w drogę! Ot tobie i droga zamierzana. Pójdziesz ty w świat, lepszego szczęścia u ludzi szukać, tylko nie sama jedna, ale ze mną, z babulą i ze wszystkiemi dziećmi, i z moją pracą także, z któréj wszędzie dobry kawałek chleba wyniknie...

— Dziękuję, Michałku, oj dziękuję tobie za wszystką twoją dobroć..... Żebym tak mogła, to zdaje się, całabym przemieniła się w dziękowanie....

(*D. n.*) *Eliza Orzeszkowa.*

ZE STOSUNKÓW EKONOMICZNYCH

W KRAJACH POLSKICH.

Szkic stosunków włościańskich w Księstwie Poznańskiém.

Części Polski, zupełnie niemal jednolite pod względem ustroju i położenia ekonomicznego w chwili przejścia pod obce panowanie, dziś po niespełna stu latach już zupełnie odmienny przedstawiają widok. Każda z nich, wszedłszy do składu innego organizmu państwowego, oddalała się coraz bardziéj od dawnego wspólnego typu. I dziś którąkolwiekbądź stronę gospodarstwa społecznego wzięlibyśmy pod uwagę, we wszystkich dopatrzymy różnic głęboko sięgających. Przodujące innym częściom pod względem postępu techniki i uprawy w zakresie rolnictwa, Poznańskie ustępuje Królestwu co do stopnia rozwoju wielkiego przemysłu fabrycznego. W obu kierunkach najmniéj postąpiła Galicya. Jeśli od strony zewnętrznéj gospodarstwa zechcemy przejść do zbadania stanu ekonomicznego ludności — to i w tym zakresie różnice okażą się znaczne. Walka „kulturowa" i ciężka konkurencya na polu ekonomiczném z bardziéj od nas wyćwiczonymi w tym względzie Niemcami — w prowincyach pruskich; zaś lichwa, wyzysk ludności wiejskiéj przez żydów, ciężar podatków — w Galicyi, nader ujemnie oddziałały na stan ekonomiczny ludu w tych krajach. To téż tysiące włościan polskich ciągną ztamtąd za morze szukać szczęścia i lepszéj doli na obczyźnie, a upadek ekonomiczny osłabia w nich uczucia rodzinne, i przywiązanie do gleby ojczystéj. Królestwo, wolne dotąd od plagi wychodźtwa, rozwija za to w swym ustroju inne, niemniéj groźne na przyszłość właściwości.

Liczne i złożone przyczyny—charakteru zarówno politycznego jak i ekonomicznego — składały się na utworzenie różnic wyżéj wzmiankowanych. Jeżeli jednak skierujemy uwagę naszę głównie

na położenie obecne ludu wiejskiego w tych trzech dzielnicach — to przedewszystkiém za najważniejszą przyczynę różnic w tym zakresie uznać wypadnie odmienny ustrój agrarny odnośnych krain.

W dziejach rozwoju ekonomicznego Galicyi, Królestwa i prowincyi, znajdujących się pod panowaniem pruskiém, faktem dla ludu wiejskiego najbardziéj doniosłym w bieżącém stuleciu była reforma stosunków włościańskich, w tym czasie we wszystkich trzech państwach dokonana. W różnych zaś sposobach przeprowadzenia téj reformy—tkwi główne źródło różnic, jakie dziś znajdujemy.

Z tego względu poznanie stanu obecnego włościan w zestawieniu z historyą rozwoju prawodawstwa agrarnego, obowiązującego dzisiaj w każdéj z trzech dzielnic, — stać się może tłem niezmiernie ciekawego studyum z dziedziny ekonomii porównawczéj. Uwidoczni nam ono olbrzymi wpływ, jaki wywiera ten lub ów kierunek polityki ekonomicznéj państwa na gospodarstwo narodowe, i pozwoli zarazem wykazać drogą doświadczalną istotną wartość różnych środków téj polityki; jeżeli zaś z rezultatów wyrokować będziemy o znaczeniu dokonanych reform — to porównawcze zbadanie dostarczyć może cennych wskazówek do wydania sądu o jedném z najzawilszych pytań współczesnéj nauki ekonomicznéj, a mianowicie o tak zwanéj kwestyi agrarnéj.

Ciekawe z punktu widzenia teoryi i nauki, badanie stosunków rolnych w krajach polskich dla nas jeszcze większéj wagi nabiera. Warstwy rolnicze — włościanie i szlachta — to rdzeń społeczeństwa naszego. Wszędzie w dzielnicach polskich rolnictwo zatrudnia około 80% ludności ogólnéj. To téż powiedziéć możemy, że losy społeczeństwa naszego zawisły przedewszystkiém od stanu obecnego i warunków rozwoju na przyszłość klas rolnych.

Co więcéj, do dziś dnia w znacznéj części kraju jedynie klasy rolnicze narodowość naszę przedstawiają. Ma to miejsce już nie tylko w prowincyach takich, jak Szląsk, lub Prusy wschodnie, w których inteligencya zdawna już swe cechy narodowościowe zatraciła,— lecz to samo dziś już widzimy w Poznańskiém, w Prusach zachodnich, a wreszcie i w innych częściach, w których obce pochodzeniem mieszczaństwo łatwiéj niż jakakolwiek inna warstwa wpływom wynaradawiającym uledz może. Nieliczne, nawpół żydowskie, lub niemieckie mieszczaństwo to siłą społeczną u nas nie jest i zapewne nie prędko jeszcze nią się stanie.

Słowem, interesy klasy rolniczéj i wszelkie kwestye, bytu jéj dotyczące, posiadają u nas znaczenie i doniosłość większą niż u któregokolwiek innego narodu. Odnośnie zaś do krajów wielkopolskich, wystawionych na silny nacisk germanizmu, śmiało twierdzić można,

iż losy narodowości naszéj bezpośrednio tam zawisły od utrzymania się ludu przy ziemi, od jego siły i odporności ekonomicznéj. Niema też może narodu, któryby więcéj od nas potrzebował zachowywać w pamięci słowa, jakie niegdyś Roscher do Niemców stosował: „Pielęgnujmy troskliwie—pisał on—stan kmiecy, skarb i podstawę naszéj przyszłości narodowéj. Utrzymanie i zachowanie włościaństwa, choć trudne, jest jednak o wiele łatwiejszém, niż odbudowywanie go w razie upadku. Lud wiejski - to korzeń drzewa narodowego. Kwiat, liście, gałęzie, pień nawet zginąć mogą, bo dopóki korzenie są zdrowe, drzewo zawsze odrośnie nanowo. Lecz gdzie korzeń jest uszkodzony, tam cała roślina niechybnie do upadku *chylić się musi*....“

Wykonanie roboty, któréj plan naszkicowaliśmy wyżéj, wymaga przedewszystkiém skrzętnego zbierania materyałów dotyczących każdéj z poszczególnych kwestyi w niéj poruszonych, a więc malujących stan obecny i rozwój w ostatniém stuleciu stosunków włościańskich w Królestwie, Galicyi, Poznańskiém, Prusach i Szląsku. W tém właśnie leży główna trudność téj pracy.

Jak trudno o materyały u nas, o tém wié każdy, ktokolwiek pracował nad badaniem zagadnień naszego życia ekonomicznego. Brak ważnych danych statystycznych, mała wiarogodność tych nawet, jakie posiadamy; wreszcie niedostępność wielu źródeł urzędowych, które wypadkowo tylko do rąk szerszéj publiczności dostać się mogą—oto są przeszkody, z którymi nie łatwo dać sobie radę.

Z tych przyczyn najtrudniejszém jest badanie stosunków ekonomicznych Królestwa. To też jedyną tu drogą i najwłaściwszą w takim stanie rzeczy jest może ta, którą u nas z powodzeniem uprawia w swych studyach ekonomicznych p. Julian Łapicki,—mianowicie, droga monografii i opracowań poszczególnych okolic, znanych bezpośrednio badaczowi i co do których osobiście wszelkie dane zbierać może. Oczywiście jednak tą drogą niepodobna dojść do utworzenia całkowitego obrazu kraju.

Odnośnie do Galicyi, potrzebie o któréj mówimy, czyni poniekąd zadość krajowe biuro statystyczne. Jego publikacye, wychodzące już od lat kilkunastu pod tytułem zbiorowym „Wiadomości statystycznych o stosunkach krajowych“, redagowane przez Tadeusza Pilata, zawierają wiele cennych materyałów do badań ekonomicznych.

Wreszcie, dla prowincyj pod panowaniem pruskiém, obfite materyały znajdują się w wydawnictwach urzędowych statystyki państwowéj, wzorowo uorganizowanéj. Prócz tego grono uczonych

i ludzi dobréj woli, stanowiące znany w Niemczech *„Verein für Socialpolitik“*, drogą usiłowań prywatnych dopełnia i wzbogaca materyał urzędowy. Właśnie w ostatnich czasach ukazało się na widok publiczny kilka prac tego rodzaju, w których znajdujemy między innemi wiele danych, dotyczących prowincyi polskich państwa niemieckiego—ks. Poznańskiego, Prus wschodnich i zachodnich, oraz Szląska. To właśnie było najbliższą przyczyną, iż te części kraju przed innemi opracować mogliśmy. W szkicu niniejszym chcemy zapoznać czytelników w ogólnym zarysie z rezultatem tych badań. Nim jednak przystąpimy do rzeczy pozwolimy sobie jeszcze uczynić we wstępie jednę uwagę teoretycznéj treści.

Dwa pytania główne nasuwają się zwykle przy badaniu każdego zjawiska z dziedziny ekonomicznéj: jedno dotyczy formy jego, drugie zaś zajmuje się określeniem jego stosunku do potrzeb i interesów społeczeństwa.

W wypadku pierwszym chodzi więcéj o stronę zewnętrzną, techniczno-ekonomiczną, zjawiska, a wzgląd na ogólne prawidło wszelkiéj działalności gospodarczéj — o największéj wytwórczości przy najmniejszym nakładzie — stanowi najwyższe kryteryum sądu w tym razie. Kryteryum to byłoby dostateczném zawsze i wszędzie, gdyby nie to, iż skutkiem indywidualizacyi w dziedzinie gospodarstwa społecznego i — w następstwie tego— skutkiem częstéj sprzeczności pomiędzy interesem jednostki a dobrem ogółu, postęp wytwórczości nie zawsze i nie koniecznie jest oznaką wzrastającego dobrobytu większości narodu. Dla tego téż potrzeba dopełnić ogólne kryteryum nauki i nie zamykać sądu w granicach techniki ekonomicznéj. Stanie się temu zadość, gdy w badaniu mieć będziemy na widoku wzgląd na stopień dobrobytu lub pomyślności, jaki dana forma ekonomiczna zapewnia lub umożliwia ogółowi ludności. Mówiąc językiem ekonomii, w pierwszym wypadku chodzi wyłącznie o sumę bogactw, tu zaś przybywa wzgląd na taki ich podział i przeznaczenie, które odpowiadają najbardziéj pojęciom o sprawiedliwości społecznéj.

Odnośnie do pytania, którém zamierzamy się zająć, uwzględnienie obu stron tu zaznaczonych jest ważném i koniecznem. Każdą formę organizacyi stosunków rolnych oceniać można, albo ze względu na stopień jéj wytwórczości gospodarczéj, albo téż ze względu na jéj wpływ na położenie ludności pracującéj. Że ustrój pożądany w jednym kierunku nie jest nim zawsze w drugim, na to historya rozwoju stosunków rolnych w Europie wiele dowodów dostarczyć może. Zbyt często niestety zapominano o człowieku wobec interesów technicznych kultury rolnéj i w znacznéj części wypadków po-

stęp téj ostatniéj okupywanym bywał upośledzeniem ludności wywłaszczaniem ludu, wypieraniem swobodnych kmieci z ich ojczystych siedzib, ogólném zmniejszeniem dobrobytu niższych klas rolniczych. I u nas, w Polsce, powstanie i silny następny rozwój gospodarstw folwarcznych przysporzył bez wątpienia bogactw narodowi, przyśpieszył postęp rolnictwa krajowego; lecz zarazem stał się przyczyną ubóstwa i zależności włościan, których zepchnął na ostatni szczebel hierarchii społecznéj.

Aż do ostatnich czasów, zarówno w ekonomii teoretycznéj jak i w prawodawstwie agrarném państw europejskich, kwestyę rolną traktowano zbyt jednostronnie, z wyłącznego punktu widzenia wydajności gospodarczéj. Wynikało to w części z teoryi o harmonii interesów jednostki i społeczeństwa, którą wyznawano powszechnie aż do czasu reakcyi naukowéj przeciw szkole manchesterskiéj; w części zaś było to po prostu skutkiem przewagi politycznéj warstw uprzywilejowanych, które z pobudek klasowych starały się zawsze nadawać prawodawstwu kierunek dla siebie pożądany. Idee o absolutnéj i nieograniczonéj wolności w używaniu i nadużywaniu własności rolnéj („*jus utendi et abutendi*“), o zniesieniu wszelkich przeszkód do swobodnéj cyrkulacyi gruntów i t. d. stały się podstawą nowych stosunków rolnych. Zgubne skutki tego systemu dzisiaj występują mniéj lub więcéj dotkliwie w całéj Europie.

W Anglii klasa włościańska zniszczoną została do szczętu, a na jéj miejsce powstał proletaryat rolny, przerzucany z miejsca na miejsce, niby inwentarz roboczy, stosownie do potrzeb gospodarczych téj, lub innéj okolicy. W Niemczech ocalała tylko najprzedniejsza i najzamożniejsza część włościaństwa — kosztem wyzucia i wywłaszczenia pozostałéj większości.

Chociaż zaś w swoim czasie te zgubne dla ludu skutki nowych zasad usprawiedliwiali ekonomiści potrzebą kultury, lub interesem bogactwa krajowego, dziś jednak społeczeństwa europejskie pokutować muszą za błędy, lub gwałty w przeszłości dokonane. Kwestya agrarna—nie rozwiązana, lecz tylko odroczona—powstaje w nich na nowo w groźniejszéj jeszcze postaci.

Widzimy więc z poprzedniego, jakim powinien być pogląd na sprawy ekonomiczne, obejmujący w sobie względy natury techniczné i zarazem odpowiadający ideałom etyki społecznéj. Zgodnie za tém z jego wymaganiami w zamierzoném badaniu stosunków agrarnych obok kwestyi o produkcyjności gospodarczéj, o wysokości czystego dochodu, stanie uprawy i t. d., postawimy pytania ogromnéj doniosłości społecznéj o podziale własności ziemskiéj, o stosunku ludności posiadającéj ziemię do bezrolnéj i pracy samodzielnéj do

pracy najemnéj. Te ostatnie bowiem nadewszystko dają możność sądu o położeniu ekonomiczném ludności wiejskiéj.

Jeszcze jedno zastrzeżenie tu uczynić musimy. Czerpiąc dane i materyały z rozmaitych dzieł i autorów, trafialiśmy często na niezgodność niektórych cyfr zasadniczych, widoczne omyłki w obliczeniach, sumowaniu, ustanawianiu stosunków i t. d. Nie mając zaś wszystkich potrzebnych źródeł pod ręką, nie byliśmy zawsze w stanie sprawdzić i sprostować tych błędów. Przeszły więc one i do naszéj pracy, o czém czytelnika z góry uprzedzić winniśmy. Ścisłość wywodów na tém bez wątpienia traci, lecz ogólny ich charakter pozostaje niezmiennym.

Stosunki włościańskie w Księstwie Poznańskiém.

Wielkie księstwo Poznańskie — dawne województwa Poznańskie, Gnieźnieńskie, części Kaliskiego i Inowrocławskiego — przeszły pod panowanie pruskie przy drugim rozbiorze kraju w roku 1792. W latach 1807—1815 wchodziły w skład księstwa Warszawskiego, po upadku którego znowu do Prus wcielone zostały.

W granicach zakreślonych traktatem wiedeńskim 1815 r. obejmuje księstwo przestrzeń 532,04 mil □ czyli 28951,53 kil. □, podzieloną na dwa obwody:

Poznański . . .	17503,24 kil. □
Bydgoski . . .	11448,29 „

Największa długość z północy na południe wynosi mil 33 (od wsi Dzidno pod Sompolnem, do Wodziczna pod Kępnem), a największa szerokość ze wschodu na zachód—mil 28 (od wsi Oszty pod Skwierzyną, do Chlewińska za Inowrocławiem).

W ustroju ekonomicznym księstwa stosunki przekazane tradycyą dziejową Rzeczypospolitéj przetrwały aż do roku 1823. Reformy podjęte za czasów księstwa Warszawskiego przeszły bez śladu, już to z powodu burzliwéj chwili, nie nadającéj się do przeprowadzania jakichkolwiekbądź zmian zasadniczych, już to skutkiem krótkiego żywota państewka tego. Dopiero edyktem królewskim z dnia 8 kwietnia 1823 roku rozciągnięto na księstwo Poznańskie moc przepisów wydanych poprzednio w państwie pruskiém w kwestyi regulacyi stosunków włościańskich, głównie zaś z niektórymi modyfikacyami prawo z roku 1811. Szeregiem zaś późniejszych rozporządzeń prawodawczych i administracyjnych dokonano zupełnéj reformy stosunków agrarnych.

W następstwie tego dziś więc znajdujemy w układzie rolnym Księstwa typowy ustrój liberalny, nowożytny, oczyszczony od wszelkich więzów feudalizmu średniowiecznego, pańszczyzny i daremszczyzn, z zasadą własności indywidualnéj i nieograniczonéj, zastosowaną w całéj pełni,— ustrój wolny od wszelkich wspólnot gromadzkich, służebności i serwitutów, z prawem podzielności i swobodnego rozporządzania własnością nieruchomą.

Zasada równości wszystkich w obliczu prawa leży w osnowie prawodawstwa, a zasada wolnéj konkurencyi w osnowie ustroju ekonomicznego.

Cyfry następujące przedstawią nam w szczegółach obecne ukształtowanie stosunków rolnych księstwa.

Przestrzeń ogólna Poznańskiego, wynosząca 12.110.316 morgów (1) (3.027.579 hektarów), dzieli się na następujące kategorye pod względem jakości gruntów i ich uprawy, oraz rodzaju zbóż zasiewanych:

gruntów ornych . . .	1.781.792	hektarów
łąk	235.472	„
pastwisk	138.129	„
lasów.	585.054	„
razem	2.740.447	hektarów,

reszta więc jest pod zabudowaniami, osadami, lub téż przedstawia nieużytki, wydmy, bagna, moczary i t. d.

W porównaniu z państwem pruskiém i innymi krajami polskiemi stosunki są następujące:

	W stosunku do przestrzeni ogólnéj stanowią:				
	grunta orne	lasy	pastwiska	łąki	nieużytki
w królestwie pruskiém .	52,2	25,8	11,6	10,4	?
w ks. poznańskiém . . .	61,5	20,2	4,7	8,1	3,5
w Galicyi	48,3	25,8	9,1	11,3	3,5
w królestwie polskiém. .	50,2	22,5	5,0	5,1	3,9

Przestrzeń uprawna księstwa poznańskiego dzieli się pomiędzy rozmaite gatunki zbóż zasiewanych, jak następuje:

(1) Z rozmaitych i niezgodnych ze sobą cyfr (u różnych autorów wahania pomiędzy liczbą 10.976.226 a 12.110.326 morgów) przyjmujemy podaną u Meitzen'a w dziele p. t. „Der Boden u. die Landwirthschaftlichen Verhältnisse des Preussischen Staates nach dem Gebietsumfange r. 1866“ i w „Zeitschrift des Preus. Statist. Bureau“ (Janson. Statystyka porównawcza. Tom II).

a) rośliny pokarmowe zajmują	1.061.263 hekt.	— czyli	38,4%
w tém: pszenica . . .	89.205	— 8,5%	
żyto	514.765	—48,6	
jęczmień . . .	78.024	— 7,3	
gryka	14.390	— 1,3	
proso	4.280	— 0,4	
groch, fasola . .	97.678	— 9,2	
kukurydza . .	4.779	— 0,4	
inne	31.295	— 2,9	
kartofle. . . .	226.817	—21,5	
	1.061.263 hek.		
b) rośliny pastewne	838.726	. . . . . .	30,3
c) ugór	254.316	. . . . . .	9,2
d) rośliny przeznaczone do przeróbki w fabrykach (rzepak, buraki).	23.394	. . . . . .	1,0
e) ogrody	5.464	. . . . . .	0,5
f) lasy	585.054	. . . . . .	21,1
	2.768.220		100,0%

Przyjmując tę ostatnią cyfrę za podstawę obliczeń, wypadnie w Księstwie na 1 mieszkańca—1,73 hekt. ziemi uprawnéj, zaś na 1-go rolnika robotnika w sile wieku—hektarów 8,33.

Roli zajętéj pod uprawę roślin pokarmowych wypada w Księstwie na 1 mieszkańca 0,51; zaś w państwie pruskiém 0,36 hek. Tę stosunkowo dość wysoką cyfrę przypisać należy rozwiniętéj niezmiernie w Księstwie uprawie kartofli. Ponieważ jednak znaczna część zbioru téj rośliny używaną bywa na potrzeby inwentarza, lub na przeróbkę w gorzelniach — przestrzeń przeznaczona na potrzeby ludzkie jest więc nieco mniejszą od wyżéj podanéj. To samo powiedzieć potrzeba o ilości ogólnéj produktów rolnych, która również w Księstwie dość jest wysoką w porównaniu z cyfrą dla całego państwa i dla innych krajów, a to w części znowu z powodu znacznéj produkcyi kartofli i wskutek wyłącznie rolniczego charakteru Księstwa. Przekonywa nas o tém tablica następująca.

Wypada	*w ks. poznańskiém:* na 1 hektar	—	na 1 mieszk.		*w cesarstwie niemieckiém:* na 1 hektar	—	na 1 mieszk.
pszenicy	20,1	—	1,11	—	19,0	—	0,98
żyta	14,3	—	4,53	—	17,1	—	2,37
jęczmienia	21,2	—	1,02	—	23,9	—	0,87
gryki	12,2	—	0,10	—	17,6	—	0,10
grochu, fasoli i t. d. . .	14,7	—	0,56	—	14,5	—	0.16
kartofli	120,1	—	16,95	—	102,7	—	6,61

Wogóle zbóż wyrażając wszystko w pszenicy: **10,14** hek. — **5,12** hektolitrów. (*)

[Dane te czerpane są ze Sprawozdań cesar. biura statyst. za pięciolecie 1873—1877].

(*) W obliczeniu tém, opartém na stosunkowéj wartości pokarmowéj każdego rodzaju zboża, — przyczém podstawą jest tu stosunek białków w ziarnie do wagi całego

W każdym razie jednak, pomimo zastrzeżenia, jakie uczyniliśmy wyżéj, stosunek przestrzeni, znajdującéj się pod uprawą roślin pokarmowych, a także stosunek ogólnéj jéj wydajności do potrzeb mieszkańców, jest w Księstwie pomyślnym.

By się o tém przekonać, dość zestawić odpowiednie cyfry dotyczące innych krajów (1). I tak np. przestrzeni przeznaczonéj do uprawy roślin pokarmowych wypada na 1 mieszkańca:

w Węgrzech. . .	0,50 hektar.	w Belgii	0,20 hektar.
we Francyi północ.	0,46 „	w Anglii	0,14 „
w Saksonii . . .	0,42 „	w Irlandyi. . . .	0,11 „
we Francyi środk.	0,39 „	w Poznańskiém. .	0,51 „
na Szląsku . . .	0,37 „		

Następnie, wyrażonych w pszenicy hektolitrów zbóż rozmaitych wypada na 1-go mieszkańca:

w Poznańskiém	10,14	w Hiszpanii	3,8
w Saksonii.	8,16	w Austryi	3,6
w Danii	6,78	w Belgii.	3,48
na Szląsku	6,39	w Irlandyi	1,80
we Francyi północnéj . .	4,81	w Norwegii	1,40
we Włoszech	5,0	w Szwajcaryi	1,30
w Węgrzech	4,0		

Trudno jest ściśle oznaczyć przeciętną ilość zbóż rozmaitych potrzebną do konsumcyi jednostki w ciągu roku. Niektóre obliczenia, dokonywane na wielkich masach ludności — przyczém więc znoszą się różnice indywidualne płci, wieku, stopnia zamożności i t. d.—dostarczyły pewnych wskazówek w tym względzie. Obliczenia podobne dały następujące rezultaty.

Na 1 mieszkańca wynosiła konsumcya roczna zbóż wyrażona w pszenicy:

w Portugalii . .	177 kilogr.	— czyli	2,3	hektolitry
we Francyi. . .	210 „	— „	2,8	„
w Szwajcaryi . .	224 „	— „	3,0	„
w Prusach . . .	228 „	— „	3,0	„

i tę to cyfrę (2,3 — 3,0 hektolitry) zwykle przyjmują jako normę w obliczeniach (2).

---

ziarna, — przyjęto wielkość tę dla pszenicy za 100. Dla innych zbóż będzie wtedy: dla żyta 80,3, dla kartofli 202, jęczmienia 56,2, grochu 193, gryki 45,7.

(1) Janson. Wykład statystyki porównawczéj. T. II, str. 251 i 393.

(2) Ob. Janson l. c.

Widzimy więc z cyfr powyższych, że zarówno ze względu na obszar roli przeznaczony na użytek ludzi, jak i co do ogólnéj sumy produkcyi rolnéj, terytoryum księstwa poznańskiego jest więcéj niż dostatecznem dla wyżywienia ludności swojéj. Czy ją wyżywia w istocie—to już całkiem inne pytanie, na które statystyka odpowiedzi bezpośredniéj nie daje. Wiemy jednak o tém, iż znaczna część produkcyi miejscowéj, bez względu na potrzeby producentów, wywożoną bywa na zewnątrz; ludność zaś zmuszona jest przez to do zadawalniania się pokarmem gorszym, mniéj odpowiednim dla organizmu ludzkiego, czego dowód mamy w tak obszernie prowadzonéj przez lud poznański uprawie kartofli. Przyczynę tego poznamy, gdy rozpatrzymy podział własności ziemskiéj w Księstwie. Nowy to dowód, iż w stosunkach ekonomicznych współczesnych stopień zamożności ludności danego kraju nie da się określić, jeżeli brać będziemy pod uwagę samą tylko sumę jego produkcyi. Rozstrzyga o tém przedewszystkiém inny czynnik, a mianowicie sposób podziału dóbr wytworzonych pomiędzy różne kategorye wytwórców.

Przechodzimy więc do zbadania stosunków *podziału własności ziemskiéj* w Poznańskiém i oznaczenia *liczby posiadających ziemię w stosunku do ogółu mieszkańców*.

Trzy są główne w Poznańskiém kategorye właścicieli:

A) skarb i instytucye publiczne posiadają morgów 1.284.976 (321.244 hekt.)—10,6%.

B) wielka własność prywatna 5.222.840 (1.305.710 hekt.)—43,1%

C) mała własność 5.602.500 (1.400.625 hekt.)—46,3%

Do pierwszéj kategoryi należą:

1)	dobra korony i członków domu królewskiego, stanowiące w ogólnéj przestrzeni Księstwa		0,05%
2)	własność państwa:	domeny	1,16
		lasy	5,49
		inne kategorye	0,08
3)	własność miast		0,50
4)	„	wsi korporacyjnych	0,34
5)	„	kościołów	1,80
6)	„	szkół i uniwersytetów	0,28
7)	„	fideikomisów i majoratów	0,90
			10,6%

[W państwie pruskiém cała kategorya powyższa stanowi 22,24% ogólnéj przestrzeni].

Pozostaje więc w Księstwie w posiadaniu osób prywatnych i w swobodnym obiegu—89,4% przestrzeni ogólnéj.

Według innych danych, własność włościańska w Księstwie *w stosunku do ogólnéj ilości ziemi uprawnéj* stanowi tylko 40% (1), a mianowicie 4.266.941 morgów na 10.976.226 morgów przestrzeni ogólnéj.

Ogólna przestrzeń ziemi znajdującéj się w ręku ludu jest stosunkowo mniejszą w Poznańskiem, niż w innych prowincyach państwa pruskiego. Nie mówiąc już o prowincyach zachodnich—nadreńskich i Westfalii—, w których własność wielka stanowi zaledwie 22 i 16% przestrzeni ogólnéj, nawet w porównaniu z prowincyami wschodniemi Poznańskie ostatnie zajmuje miejsce—z jedynym wyjątkiem Pomeranii, gdzie własność wielka stanowi 58% obszaru ogólnego.

Tak w gminach wiejskich znajdowało się:

w Saksonii	65,1%	gruntów
w Prusach	58,5	"
w Brandeburgii	47,1	"
na Szląsku	47,0	"
w Poznańskiém	40,0	"
na Pomorzu	34,0	"

W 6-ciu prowincyach wschodnich przeciętnie—47%, czyli dla dorównania cyfrze przeciętnéj, obszar gruntów włościańskich Księstwa potrzebaby powiększyć o 1.200.000 morgów. (Nathusius. l. c.).

Te stosunki podziału własności ziemskiéj przedstawią się nam w świetle jeszcze mniéj korzystném, gdy rozpatrzymy szczegółowo rozmaite kategorye własności rolnéj pod względem obszaru.

W Księstwie panuje w tym względzie rozmaitość niezmierna. Różnice pomiędzy uposażeniem gruntowem włościan są tu ogromne. Obok zamożnych kmieci, zbliżających się już pod wielu względami do stanu właścicieli posiadłości szlacheckich, spotykamy znaczną ilość właścicieli małorolnych, graniczących niemal ze stanem proletaryatu rolnego. Położenie to jest skutkiem pruskiéj reformy włościańskiéj, dokonanéj bez uwzględnienia potrzeb ogromnéj większości ludności rolnéj.

W statystyce urzędowéj pruskiéj przyjęto za podstawę klasyfikacyi następujące normy:

1. Własność przechodząca 600 morgów magdeburskich (150 hektarów) zaliczaną bywa do własności wielkiéj; daje ona właścicielowi możność wyręczania się w zarządzie ludźmi najemnymi. Ze względu na wysokość dochodów, już od téj granicy poczynając, właściciel sposobem życia i ogólną stopą zamożności może być zaliczony do

(1) Artykuł v. Nathusius'a w zbiorowém wydawnictwie Verein'u für Socialpolitik p. t. „Bäuerliche Zustände in Deutschland.“ Tom III. Str. 7. „Die Bäuerlichen Verhältnisse in der Provinz Posen.“

tak zw. „Gutsbesitzer". Jest to więc nasza własność „szlachecka" lub wielka.

2. Obszary od 300 do 600 morgów stanowią rodzaj własności średniéj; są to małe dobra, utrzymujące służbę folwarczną, a nawet wydzierżawiane przez właścicieli.

3. Następującą kategoryę stanowią już właściwe posiadłości włościańskie, od 300 do 30 morgów, jako minimum. Są to gospodarstwa sprzężajne, wymagające dla uprawy co najmniéj pary wołów lub koni, wystarczające na utrzymanie przeciętnéj rodziny kmiecéj i zatrudniające całkowicie jéj siły.

4. Posiadłości mniejsze od 30 morgów magdeb.—już nie są dostateczne dla utrzymania rodziny włościanina. Taki właściciel musi szukać zarobków postronnych; nie jest w stanie utrzymać własnego inwentarza. Im mniejsze jest uposażenie, tém bardziéj traci kmieć swą samodzielność gospodarczą i charakter wyłącznie rolniczy swego zatrudnienia; po przejściu pewnéj granicy, już rola staje się tylko dodatkiem, uzupełniającym zarobki uboczne, pochodzące z najmu na gospodarstwach większych, lub w zakładach przemysłowych. Cała klasa właścicieli posiadających mniéj niż 5 morgów (1,26 hektarów) należy do téj ostatniéj kategoryi.

Stosunki liczbowe powyższych klas ludności rolnéj w księstwie poznańskiem przedstawia nam tablica następująca:

Własność:	Ilość posiadłości w stosunku do ich liczby ogólnéj.	Ilość ogólna hektarów w stosun. do całéj przestrzeni.	Przeciętna wielkość posiadłości w hektarach.
mniejsza od 5 morgów . . .	23,16%	0,58%	0,61
„ od 5 do 30 morg. .	30,85	5,16	4,08
„ od 30 —300 „ . .	42,48	32,54	18,76
„ od 300 —600 „ . .	1,01	4,39	105,81
większa od 600	2,05	57,33	563,60

Przytaczamy dla porównania cyfry, dotyczące tych samych stosunków:

W państwie pruskiem:

niżéj od 5 morgów	51,33%	2,38%
„ od 5 — 30 morg. . .	28,83	8,99
„ od 30 —300 „ . . .	18,29	38,32
„ od 300 —600 „ . . .	0,70	6,45
wyżéj od 600	0,85	43,86

Wreszcie w prowincyach zachodnich rozmaite kategorye własności rolnéj w stosunku do przestrzeni ogólnéj stanowią:

własność niżéj od 5 morgów . . .	64,3	7,5%
„ „ od 5 — 30 mor. . .	26,3	21,9
„ „ od 36 —300 „ . . .	8,9	42,2
„ „ od 300—600 „ . . .	0,3	7,4
wyżéj od 606 morgów	0,2	21,0
		100,0%

W porównaniu z innymi krajami polskiemi stosunki są następujące:

	wielka własność	mała własność na 1000
w królestwie polskiem	386	485
w Galicyi	413	548
w Poznańskiém	435	467 (1)

Z cyfr powyższych można powziąć dokładne pojęcie o stosunkach rolnych w Poznańskiém. Okazuje się z nich mianowicie, że:

1) *Czwarta część* (23,16%) właścicieli wprost zaliczoną być może do stanu proletaryatu: cała ilość ziemi pozostającéj w ich ręku stanowi *jedną dwóchsetną* przestrzeni ogólnéj, a przeciętna wielkość posiadłości wynosi 0,6 hektara;—w tym stanie rzeczy rola jest już tylko podrzędnym dodatkiem w gospodarstwie zarobkowém właściciela.

2) Daléj, *trzecia część* liczby ogólnéj właścicieli (30,85%) uposażoną jest niedostatecznie; przeciętna posiadłość téj kategoryi wynosi 4,01 hektara (16,04 m. m.), co nie wystarcza na potrzeby rodziny włościańskiéj i nie zatrudnia całkowicie jéj sił roboczych. I ta klasa właścicieli rolnych musi także uciekać się do ubocznych źródeł zarobkowania dla utrzymania swego bytu. Wśród ludu w Poznańskiém najbardziéj rozpowszechnioną formą tego zarobkowania jest najem furmanek: zwożą chłopi drzewo z lasów rządowych, materyały budowlane, węgiel, torf do miast i fabryk. Daléj dopomagają sobie przemysłem domowym, który jednak w Księstwie mało jest rowiniętym (jedyny, powszechniéj znany, jest przemysł drzewny: wyrób gontów, desek, klepek do beczek; inne rodzaje przemysłu służą głównie na zaspokojenie potrzeb domowych, jak np. tkactwo i płóciennictwo).

Obie kategorye powyższe wynoszą razem więcéj niż połowę ogólnéj ilości właścicieli (54%), a w ich posiadaniu pozostaje dwudziesta część ziemi (5,74%). Są to tak zwane *gospodarstwa niesprzężajne*, których ilość absolutna w Księstwie wynosiła w r. 1880—44.470, a obszar ich własności 138.150 hektarów (522.642 m.).

3) Następującą kategoryą stanowią gospodarstwa włościańskie *sprzężajne*, tj.—jak widzieliśmy—te, które dla uprawy wymagają utrzymania pary wołów, lub koni, wystarczają na utrzymanie rodziny i zatrudniają całkowicie jéj siły robocze. Jako minimum dla typu

(1) R. Buczyński. Nasza własność ziemska. Bibl. W. 82, IX.

tego przyjęto uważać w Prusach—30 morgów magd. czyli 7,5 hektarów. Ilość gospodarstw tych wynosi 42,48% sumy ogólnéj, a obszar całkowity—32,54% przestrzeni Księstwa. W liczbach absolutnych było gospodarstw sprzężajnych w Poznańskiém w roku 1880—39.389, a obszar ich ziemi wynosił—3.292.992 morgi. Przeciętna wielkość posiadłości—80 morgów.

4) Kategorya następująca,—od 300 do 600 mórg,—jest nieliczną i mało znaczącą, tak co do ilości posiadłości jak i pod względem obszaru (1,01 i 4,39%).

5) Wreszcie prawie trzy piąte (57,3%) przestrzeni ogólnéj znajduje się w ręku właścicieli dóbr szlacheckich, którzy stanowią pięćdziesiątą część (2,05%) ogólnéj liczby właścicieli. Liczba majątków wielkich w r. 1875 wynosiła 1823, a przeciętna wielkość posiadłości 570 hektarów; (przeciętna ta w państwie wynosi 316 h.).

Stosunek własności włościańskiéj w Księstwie do wielkości dóbr szlacheckich ma się jak 1:57.

6) Odnośnie do własności wielkiéj posiadamy oprócz tego cyfry, wykazujące jéj podział pomiędzy Polaków i Niemców. Tak, w roku 1878 należało:

do Niemców	3.398.581 morgów
do Polaków	2.758.278 „

Ponieważ zaś w roku 1848 posiadali:

Polacy	3.792.764 morów
Niemcy	2.422.008 „

a więc w ciągu lat 30-tu własność niemiecka wzrosła o 37,5%, a polska zmniejszyła się o 40%.

W roku 1848 własność polska przewyższała niemiecką o 57%, dziś ta ostatnia przeważa o 21%. Od roku 1878 do 1881 przeszło jeszcze do rąk niemieckich 127,031 morgów; czyli że w r. 1881 posiadają:

Niemcy	3.525.612 morgów
Polacy.	2.631.247 „

co do ilości zaś posiadłości, Niemcy już w dwójnasób przewyższają Polaków (1).

Dane powyższe doprowadzają więc nas do następujących wniosków:

a) ogólne uposażenie gruntowe włościan w Księstwie jest nader szczupłém (2);

---

(1) L. Żychliński. Kroniki poznańskie w Bibl. Warsz. 1880—1884 r.

(2) Dla przykładu przytaczamy jeszcze z wyżéj wzmiankowanego dzieła Nathusius'a dane o podziale własności rolnéj w niektórych okolicach Księstwa. W powiecie Obornickim wśród posiadłości włościańskich jest mniejszych od 30 mor. . 1763

od 30—300 „ . 1274

„ 300—600 „ . 52.

b) w porównaniu z innemi prowincyami istnieje tam przewaga na korzyść własności wielkiéj (w prow. zach. ta ostatnia stanowi 21%, w Poznańskiém 57%);

c) byt większości włościan-właścicieli nie jest dostatecznie zabezpieczony posiadaną przez nich ziemią;

d) własność ziemska (przynajmniéj wielka) przechodzi stale z rąk polskich do niemieckich.

Przejdziemy teraz do drugiego pytania *o stosunku liczebnym ludności posiadającéj ziemię do ogółu rolników.*

Dla rostrzygnięcia téj kwestyi nie znajdujemy danych w statystyce urzędowéj pruskiéj. W przybliżeniu jednak dać nam może odpowiedź następujące obliczenie.

W roku 1880 z ogólnéj cyfry ludności Księstwa—1.669.029, ludność wiejska stanowiła—1.225.406.

W tym samym czasie było w Poznańskiem:

posiadłości włościańskich sprzężajnych. . . .	39.389
„ niesprzężajnych.	44.470
„ szlacheckich	ok. 2.000
Razem:	85.859,

która to cyfra wyraża w przybliżeniu liczbę rodzin posiadających ziemię. Przyjmując zaś przeciętnie po 4,5 osób na rodzinę, ogół ludności uposażonéj rolą wyniesie

	386.365
pozostanie więc na ludność bezrolną:	839.041
	1.225.406.

W odsetkach: ludność	posiadająca	31,5%
	bezrolna:	68,5%.

W powiecie Czarnkowskim obok 13 wielkich posiadłości, prawdziwych latifundiów, istnieją same tylko drobne osady włościańskie.

We wschodniéj części ptu Międzychodzkiego własność wielka obejmuje $^2/_3$ przestrzeni ogólnéj, mała zaś $^1/_3$.

W powiecie Inowrocławskim na ogólną przestrzeń 647.137 m. do włościan należy 190.355 (29%) w 3.637 posiadłościach, przeciętnie więc po 52 morgi.

W części powiatu Pleszewskiego znajduje się:

posiadłości obejmujących	od 1 do 20 mórg	217
	od 20 — 30 „	144
	od 30 — 40 „	59
	od 40 — 60 „	52
	wyżéj 60	27.

W ogóle w Księstwie wypada na milę kwadratową 82 posiadłości włościańskich, podczas gdy w państwie pruskiém liczą ich 75,23. Lecz za to ziemi włościańskiéj jest o 7% mniéj. Zkąd—dodaje Nathusius—wynika mało pocieszający wniosek, że Poznańskie „ma wielu drobnych, biednych gospodarzy“ (l. c. str. 7).

W stosunku zaś do całéj ludności Księstwa, ludność posiadająca rolę wyniesie—23,1%.

Obliczenie powyższe zgadza się z niektóremi cyframi, jakie odnośnie do téj kwestyi znajdujemy w statystyce urzędowéj. Tak według danych téjże, liczono w Prusach w 1859 roku:

właścicieli ziemskich		1.124.346	czyli	32,8%
czeladzi	1.053.967			
najemników dziennych	1.140.640			
dzierżawców	60.795	2.301.798	—	67,2%
oficyalistów	32.651			
gospodyń	13.745			

Według innych danych wypada w Prusach 1 właściciel ziemi na 12 mieszkańców i na 28 hektarów (we Francyi 1 na 5 i 7 h.) (1). W Poznańskiém z obliczenia powyższego wypada 1 właściciel na 19 mieszkańców. Stosunek ten jest prawdopodobnie bliskim rzeczywistości, ponieważ na cyfrę przeciętną dla państwa wpływają korzystnie prowincye zachodnie, w których zarówno ilość jak i stosunek właścicieli ziemskich do ogółu ludności są znacznie pomyślniejsze. W porównaniu z niemi księstwo poznańskie zajmuje pod tym względem pozycyę przeciwległą.

Do wyżéj wyłuszczonych wniosków o położeniu ludności rolnéj Księstwa przybywa nam tu nowy, jeszcze mniéj pocieszający od przytoczonych, ten mianowicie;

e) iż w Księstwie dwie trzecie ludności rolnéj żyją z najmu i zarobków na gospodarstwach cudzych, jako komornicy, zagrodnicy, parobcy, lub wreszcie najemnicy dzienni.

Przyczynę stanu tego poznamy niżéj przy rozpatrzeniu historyi reformy stosunków włościańskich w Księstwie. Ludność bezrolna w reformie téj została całkiem pominiętą i regulacya stosunków odbyła się wyłącznie pomiędzy właścicielami i włościanami, posiadającymi ziemię już przedtém. Co gorsza, reforma przyczyniła się nawet w znacznym stopniu do powiększenia ilości bezrolnych, bo właścicielom dozwoloném było pod najrozmaitszymi pozorami zmniejszać grunta włościańskie. Lecz o tém niżéj (2).

---

(1) W obszarach dworskich i gminach liczono w Prusach w r. 1864 1.525.901 właścicieli czyli około 8 milionów głów; stanowi to 32% ludności ogólnéj.

(2) Oto co pisał w téj kwestyi Tomasz Potocki przed 20-stu laty: „Mieszkańców w Księstwie jest 1.364.000. Od roku 1823 do 1840 przez lat 17 regulacya może być uważana za dopełnioną. Liczba gospodarzy uregulowanych od r. 1840 wynosi 23.750. Tyle więc jest familii, co własność dostały. Licząc po 4,5 głowy na rodzinę, wypadnie 106.875 głów, które zyskały na regulacyi. Lecz to tylko dwunasta część ludności. Odtrącając

Jeżeli teraz od rozpatrzenia stosunków rolnych istniejących obecnie w Księstwie przejdziemy do historyi ich rozwoju w ciągu ostatnich lat kilkudziesięciu, przekonamy się, że czynniki ujemne występowały z coraz większą siłą i że stan ogólny ludu pogarszał się coraz bardziéj,—zwłaszcza zaś od roku 1850, tj. od czasu ostatecznego utrwalenia nowych stosunków agrarnych, stworzonych przez reformę włościańską. Fakt ten powtarza się wszędzie we wszystkich objawach, które mogły uledz zmianie. Tak naprzykład:

1) Ilość gospodarstw sprzężajnych zmniejsza się stale od lat kilkudziesięciu, tak pod względem liczby, jak co do obszaru gruntów niemi objętych.

W roku 1823 liczono w Poznańskiem:

gospodarstw sprzężajnych . .	48.068	obszaru 3.441,810	morgów
W r. 1859 „ . . .	47.869	„ 3.391.379	„
„ 1880 „ . . .	39.389	„ 3.292.992.	„

Zmniejszenie więc w czasie od 1823 do 1880 stanowi 8.679 czyli 18% liczby ogólnéj, i co do powierzchni—148.918 mor. czyli 4,3%. Oprócz tego, widzimy z cyfr powyższych, iż zmniejszenie to poczęło się objawiać szczególnie od roku 1859. W latach 1823—59 ubyło gospodarstw 199 (właściwie w tym czasie ubyło gospodarstw 426, lecz natomiast przybywały nowe); zaś w latach 1859—1880 zmniejszenie wyniosło—8.480.

Zwłaszcza w okolicach czysto polskich występuje silnie ten ubytek gospodarstw zamożnych kmieci. W powiatach przeważnie niemieckich (Międzyrzeckim i Bydgoskim) ilość ich wzrosła nawet w ostatnich czasach. Lecz nap. w powiecie Pleszewskim liczba gospodarstw sprzężajnych spadła z 2.395 na 1.296, w Ostrzeszowskim z 2.316 na 1.191, we Wrzesińskim z 1.158 na 850 (1).

2) Jednocześnie i równolegle z ubytkiem gospodarstw sprzężajnych, wzrasta ilość niesprzężajnych i rośnie liczba proletaryatu bezrolnego.

Gospodarstw niesprzężajnych liczono w Księstwie:

w r. 1856—33.900, a obszar ich własności . . .	298.141	morgów
w r.. 1880—44.470	522.642	„

mieszkańców miast, szlachtę, żydów, fabrykantów, rękodzielników, pokaże się jeszcze, iż więcéj niż połowa, a nawet więcéj niż 2/3 ludności są przymuszone żyć jedynie niepewnym zarobkiem, a zatém wystawione są na wszelkie przygody głodu i nędzy. (Adam Krzyżtopór. O urządzeniu stosunków rolniczych w Polsce. Poznań, 1859. Str. 190—225. O stosunkach rolniczych w Prusach).

(1) Nathusius. l. c. str. 4

Przybyło więc gospodarstw 10,570 i ziemi w nich 224.201 morgów (1).

3) Zwiększenia obszaru własności wielkiéj w tym czasie oznaczyć nie możemy z powodu sprzeczności danych odnośnych. Wprawdzie w niektórych okolicach odbywa się skupowanie osad włościańskich przez sąsiednie dobra. Lecz proces ten—przed 20-stu, 30-stu laty znaczniejszy—dziś wyjątkowo tylko się zdarza. Tak w powiecie Inowrocławskim przestały istnieć cztery wioski wskutek sprzedaży gruntów sąsiednim dworom. Podobne wypadki zdarzały się również w powiatach Środzkim, Pleszewskim, Poznańskim, Obornickim. Dziś jednak częściéj kupują od włościan naszych Niemcy koloniści, niż sąsiedni obywatele—bo ceny dawane przez pierwszych są zwykle znacznie wyższe. We wzmiankowanéj już kilkakrotnie pracy Nathusiusa znajdujemy wiadomość, że obywatele ziemscy skupili od włościan do roku 1880—2832 osady włościańskie, powierzchni ogólnéj 178.233 mórg. Trudno jednak orzec z pewnością czy ogólny obszar własności wielkiéj w Księstwie dąży do powiększania się kosztem własności włościańskiéj. Przeciwnie, wszystko przypuszczać każe, iż proces ten, odbywający się na szeroką skalę przed i w chwili regulacyi, obecnie znacznie osłabł.

4) Natomiast nie ulega wątpliwości, iż ilość ludności bezrolnéj w tym czasie wzrosła. Według Meitzen'a liczono w roku 1858 żyjących z najmu robotników rolnych w Księstwie—766.142; w trzy lata późniéj (1861) cyfra ta podniesioną już była w wykazach statystycznych do 1.075.469.

---

(1) Porównywając tę ostatnią cyfrę z ubytkiem roli w gospodarstwach sprzężajnych (w latach 1859—1880 wynosił on 98.387 mórg), wypadłoby, iż ogólna własność włościańska w tym czasie jednak wzrosła. Jak już zauważyliśmy wyżéj, panuje w tym względzie dziwna niezgodność danych u rozmaitych autorów, z którą trudno dać sobie radę. Tak według danych, jakie przytacza prof. Simonenko, większa własność w tym samym czasie w Poznańskiém wzrosła. W inném miejscu spotykamy wysoką cyfrę wzrostu własności wielkiéj (w latach 1855—77 miał on wynosić 658.303 morg. magd. czyli w stosunku 12%). Sprzeczności te jednak pogodzić trudno. Przyczyną ich są zapewne jakieś omyłki w obliczeniach, których sprawdzić nie możemy, nie mając wszystkich źródeł pod ręką.

Najbardziéj wiarogodne dane co do stanu własności ziemskiéj w Poznańskiém w roku 1859 znajdujemy u Meitzen'a (Der Boden itd.). Oto główne z nich:

	Ilość posiadłości.	Ogólna wielkość posiadłości w hektar.	Ogólna wielkość posiadłości w %.	Przeciętna wielkość posiadłości w hekt.
dóbr rycerskich	1.501	1.287.149	48,2%	857,9 hek.
gospodarstw sprzężajnych . . .	48.008	861.587	32,3%	17,9
„ niesprzężajnych . .	34.084	76.543	2,9%	2,2

Wreszcie o wzroście proletaryatu świadczą dane innéj kategoryi. Tak nap. szczególnie ujemném zjawiskiem w życiu ekonomiczném Księstwa jest stosunkowo znaczna ilość mieszkańców jego przebywających w innych prowincyach państwa na zarobkach przemysłowych, lub w gospodarstwach folwarcznych. Z liczby urodzonych w Księstwie ludzi: 1.761.034, po za obrębem jego znajdowało się 1 grudnia 1880 roku 57.637 czyli 3,3%.

Jednocześnie wzrasta w Księstwie ilość osób uwolnionych z powodu ubóstwa od opłaty podatku klasowego; w roku 1830 liczono w Poznańskiém osób téj kategoryi—16.500.

w r. 1840	11.000
w r. 1860	23 500
w r. 1867	29.000 (Meitzen)

O upadku dobrobytu materyalnego mas ludności świadczy również wymownie statystyka kryminalna. Okazuje się z niéj mianowicie, iż w Księstwie liczba przestępstw rośnie, bo gdy w roku 1860 wypadało jedno przestępstwo na 2800 mieszkańców, w 1870 stosunek zmienił się na 1 : 2450 (1).

Wreszcie, nie rozpatrując w tém miejscu szczegółowo emigracyi do Ameryki wśród ludu naszego w Poznańskiém, powiemy tylko, iż nieznana przed rokiem 1850, od téj chwili rozwinęła się na wielką skalę. W latach 1851—71 wychodziło rocznie z Księstwa 1.200 osób, a w samym roku 1881 było już z Poznańskiego 16.978 wychodźców. Przytém w ogólnéj ilości emigrantów z Prus (106.090) Poznańskie dostarcza kontyngens największy (2).

5) Obok tych wszystkich faktów tak ujemnie świadczących o stanie ekonomicznym naszego ludu w Poznańskiém, tylko wyjątkowo zdarzają się wypadki dowodzące wzrostu zamożności w tym lub innym zakątku. Własność rolna w Księstwie znajduje się, jak wiemy, w swobodnym obiegu; łatwość jéj przechodzenia z rąk do rąk jest wielką,—mimo to jednak rzadko kiedy w tém ciągłém przekształcaniu się gospodarstw rolnych wyłaniają się nowe samodzielne gospodarstwa sprzężajne włościańskie. W Krotoszyńskiém np. z pięciu posiadłości obejmujących razem 40 hektarów i rosprzedanych w 24 kawałkach, w jednym tylko wypadku powstało gospodarstwo sprzężajne.

---

(1) Z „Jahrbuch für die amtliche Statistik des Preus. Staates.“ 1876.

(2) Patrz artykuł nasz p. t. „Kółka włościańskie i szkic stosunków ekonomicznych w krajach polskich pod panowaniem pruskim“ (Wędrowiec. 1885, NN. 15—19), gdzie kwestyi emigracyi polskiego ludu do Ameryki dotknęliśmy bliżéj.

Parcelacye wielkich posiadłości są w Księstwie rzadkie i nieznaczne. A jeszcze rzadziéj korzysta z nich włościanin polski. Tak np. rozparcelowane majątki w Inowrocławskiém, Czarnkowskiém, Obornickiém rozkupili wyłącznie koloniści niemieccy. Wzgląd na wysokie ceny przeważa tu najpatryotyczniejsze uczucia dawnych właścicieli.

Również wyjątkowo spotkać się daje w Księstwie wydzierżawianie przez włościan gruntów dworskich. Forma ta posiadania ludowego, która zdarzaćby się powinna częściéj, gdyby istotnie zamożność włościan rosła,—bardzo nieznaczne znajduje zastosowanie (w pow. Obornickim dzierżawią włościanie 950 hektarów, płacąc po 30 marek za hektar czynszu rocznego). Częściéj spotykają się dzierżawy łąk, których włościanie pozbawieni zostali prawie zupełnie skutkiem dobrowolnéj zamiany serwitutów dworskich; to téż ceny dzierżawne dochodzą tu do znacznych rozmiarów. W powiecie Krobskim w niektórych dobrach (Czarneckich, Sułkowskiego, Szołdrskiego) od lat dwudziestu wprowadzono system wydzierżawiania służbie małych parcel gruntów dworskich po 4, 5, 6 morgów. System ten obu stronom podobno na dobre wychodzi: właściciele mają po 3—6 talarów z morgi, a dzierżawcom także nieźle dziać się musi, skoro w ciągu lat kilkunastu zaszedł tylko jeden wypadek eksmisyi wskutek niezapłacenia czynszu. (Wszystkich parcel podobnych jest 289, a przestrzeń niemi objęta wynosi 2779 morgów).

Ważném i charakterystyczném jest, iż w tym szczęśliwym zakątku Krobskiego powiatu emigracyi niema — co jest rzadkim wyjątkiem w Poznańskiém! (1).

W końcu dość częstém zjawiskiem w Księstwie jest dzierżawienie osady przez poprzedniego jéj właściciela, który zmuszony do oddania swéj posiadłości za długi, pozostał nadal jéj dzierżawcą, przyczém wierzycielem jest zawsze żyd, nie chcący osobiście prowadzić gospodarki (w pow. Ostrzeszowskim i in.). Ta jednak „forma“ dzierżawy oczywiście nie jest oznaką wzrostu zamożności i dorabiania się włościan!

Dla zupełnéj charakterystyki położenia ekonomicznego włościan poznańskich, przytoczymy jeszcze niektóre dane dotyczące zadłużenia drobnéj własności ziemskiéj w Księstwie. Jest to bez wątpienia najbliższa przyczyna upadku gospodarstw kmiecych.

Zadłużenia tego nie było wcale przed pięćdziesięciu laty. Rozpoczęło się ono dopiero z chwilą wykupu powinności pańszczyznia-

---

(1) A. W. Emigracya polskiego ludu wiejskiego do Ameryki. Przegl. Tyg. 1880. X, str. 788.

nych, który całkowicie na barkach włościaństwa spoczął, bez żadnéj pomocy ze strony państwa.

Dziś stało się ono zjawiskiem powszechném.

Tylko wyjątkowe okolice Księstwa wolne są od długów i to przeważnie w powiatach niemieckich. Tak np. w Międzyrzeckim i Międzychodzkim część osad nie ma długów wcale; w innych zaś długi nie przenoszą ⅓ części wartości; zadłużenie w ciągu ostatnich lat pięćdziesięciu albo nie wzrosło wcale, albo téż w stosunku nie większym, niż się podniosła cena ziemi w tym samym czasie. Lecz to wyjątek tylko.—Wszędzie w innych powiatach Księstwa, zwłaszcza zaś w czysto-polskich, w których żydzi znajdują najwdzięczniejsze pole dla swych operacyi, zadłużenie jest znaczném i rośnie coraz bardziéj.

W powiatach Ostrzeszowskim, Pleszewskim — dosięga trzeciéj części wartości; w Wyrzyskim stanowi połowę; w Inowrocławskim, Czarnkowskim dochodzi często do wartości całéj. W powiecie Śremskim dług wynosi przecięciowo 108 marek na hektar.

By dać miarę postępu zadłużania przytoczymy z dzieła Nathusius'a szczegóły, dotyczące powiatu Obornickiego.

W r. 1875 w powiecie liczono gospodarstw sprzężajnych zadłużonych 568, a przestrzeń ich wynosiła 13773 hektarów. Dług całkowity stanowił 1.778.080 marek, czyli w przecięciu 130 marek na hektar.—W r. 1880 było już zadłużonych gospodarstw sprzężajnych 610, obszar dorósł do 15692 hektarów, a dług do 2.240.753, czyli w przecięciu 143 marki na hektar. W ciągu lat sześciu więc dług urósł o 21%.—Jeżeli zaś wziąć także pod uwagę posiadłości 300—600 morgowe, wzrost wyniesie 37%, a przeciętne zadłużenie 175 marek na hektar.—W stosunku do ilości ogólnéj, posiadłości zadłużone stanowią 60% (655 na 449 niezadłużonych), a obszar — 68% (20376 hekt. na 10575). Jeżeli wartość morga w Obornickiém przyjąć za 125 marek 500 marek hektar), okaże się, iż dług stanowi 27% całéj wartości ziemi włościańskiéj powiatu (14.475.500 marek) i 41,5% wartości ziemi zadłużonéj (10.188.000 marek) czyli 208 marek na hektarze.

Bezpośrednią przyczyną zadłużania się włościan jest brak dogodnych dla własności drobnéj instytucyi kredytowych. Do niedawna jedyném źródłem, z którego chłop mógł pożyczkę zaciągnąć, byli żydzi lichwiarze z sąsiednich miasteczek. Dopiero z założeniem Towarzystwa Kredytowego w Poznaniu w r. 1857 (Neuer landschaftlicher Kreditverein für die Provinz Posen) otworzyła się dla włościan możność zaciągania pożyczek na dogodniejszych nieco warunkach. Wszakże dobroczynne skutki kredytu uczciwego nie odrazu uczuć się dały, a chwila już była zanadto spóźnioną, by większość uratowaną być mogła. Pomimo to niektórzy pisarze—nie bez podstawy—

pokładają wielkie nadzieje w tém Towarzystwie, które zdaje się istotnie interesa ludu wiejskiego mieć na pieczy. Widać to naprzykład z dążności do ciągłego obniżania minimum wartości osady, na którą Towarzystwo wydaje pożyczki.

Dajemy tu krótki obraz działalności tego Towarzystwa. Gdy dodatkiem do statutu, zatwierdzonym w kwietniu 1879 roku, otworzono kredyt dla własności drobnéj aż do 6000 marek minimalnéj wartości, zgłosiło się zaraz 206 włościan po większéj części z powiatów Wągrowieckiego, Szamotulskiego i Środzkiego. Z tych otrzymało pożyczkę 28-miu na obszar 763 hektarów i w ilości 149.000 marek. W r. 1880 oszacowano 454 gospodarstw, z których udzielono pożyczkę 123 na obszar 3137 hektarów w ilości 567.500 marek. W roku 1881 oszacowano 395 gospodarstw, przystąpiło do Tow. 322 o rozległości 7472 hektarów, na które wydano 1495700 marek. Wogóle od r. 1879 do 1883 Tow. otrzymało podań o pożyczkę 1412, z których uwzględniono 904 i wydano 4.222.600 marek na 21.233 hektary (około 200 marek na hektar). Ogólna emisya listów zastawnych wynosiła z końcem 381 r. 255.357.000 marek, a w samym r. 1881 — 13½ milionów. Interesa Towarzystwa stoją dobrze, bo chłopi spłacają pożyczki regularnie, nawet znacznie lepiéj niż wielcy właściciele. Na zebraniach polskich kółek włościańskich słyszéć się dawały głosy pochlebne dla Landszafty: niejeden włościanin mógł na sobie wykazać dobre skutki zaciągania pożyczek w Tow., które dało mu możność wydostania się z rąk lichwiarzy, spłacenia rodzeństwa i wogóle poprawienia gospodarstwa. Żałować wypada tylko, iż Towarzystwo podobne nie funkcyonowało wtedy, gdy jeszcze większość gospodarstw włościańskich nie była jak dzisiaj pastwą lichwy i wyzysku.

Z innych instytucyi kredytowych, do których mają dostęp włościanie, wymienić potrzeba jeszcze pruski bank akcyjny dla kredytu rolnego w Berlinie; daléj bank włościański założony przed 10-ciu laty głównie staraniem Jana Działyńskiego (1), bank ludowy w Obornikach i in. Jednak po większéj części zbyt wysoka norma procentu (7% i więcéj), znaczne kary w razie niepunktualnego uiszczania wypłat, niedogodne warunki amortyzacyi—wszystko to utrudnia korzystanie z tych instytucyi. Warunki pożyczek lepsze są w poznańskiéj kasie pożyczkowéj prowincyonalnéj, która pobiera 5% rocznie; okoliczni włościanie chętnie téż z niéj korzystają; w 1882 roku dług włościan wynosił już w kasie 2½ mil. marek na 1308 posiadłościach.

Niemniéj jednak do dziś dnia w wielu okolicach Księstwa głównym dostarczycielem kredytu dla włościan pozostają nadal miej-

(1) Bank ten w r. 1881 miał na 78 gospodarstwach włościańskich 232,000 marek.

scowi żydzi. Jak strasznym jest wyzysk w tym razie przekonywamy się z przykładów podanych u Nathusius'a, z których parę tu przytoczymy.

„Im mniéj zamożną i mniéj niemiecką jest okolica — pisze Nathusius—tém większy jest wyzysk ludności przez żydów. Oto parę faktów z powiatu Ostrzeszowskiego. Lichwiarz dopomaga najpierw gorliwie do zadłużenia osady, poczém już szybko prowadzi właściciela do ruiny. Gospodarz Z. w U. posiadał przed 5 laty wolną od długów posiadłość, o 15 morgach dobrego gruntu. Jednocześnie żyd M. z sąsiedniego miasteczka, drogą lichwiarskich operacyj doszedł do posiadania innéj osady w téj saméj wiosce, i postarał się wszelkimi możliwemi sposobami namówić Z. do jéj nabycia. Nie wziął żadnéj zapłaty w gotówce, lecz całą wartość wpisał jako dług na obu osadach. Dług ten miał być spłacany ratami rocznemi po 300 marek. Gdy jednak gospodarz zaległ w wypłacie raty, obie osady sprzedane zostały przez licytacyą i Z. wyszedł z wioski o kiju żebraczym.— Drugi wypadek: gospodarz N. w W. odziedziczył przed 23 laty posiadłość o 8 hektarach, na któréj ciążył dług 300 marek. W potrzebie wziął on od żyda pożyczkę 75 marek na kupno konia. Dług ten wkrótce z procentów urósł do 450 marek; przejął go inny żyd i doliczywszy jeszcze N. 36 marek, kazał napisać sobie nowy weksel. Obie pożyczki, wynoszące faktycznie 111 marek, wzrosły wkrótce na 2100, wskutek czego gospodarz sprzedać musiał naprzód połowę osady, a we dwa lata późniéj i resztę gruntu."

„To rycerstwo wekslowe"—jak się wyraża Nathusius—doprowadziło już do zupełnéj ruiny wiele gospodarstw włościańskich. Rzecz przedstawia się tém gorzéj, iż—zgodnie z polską tradycyą—żyd jest koniecznym pośrednikiem przy wszelkiéj umowie, tranzakcyi, kupnie, lub sprzedaży. Szkodliwy przykład w tym względzie podają właściciele wielkich posiadłości. „Znany mi jest wypadek—dodaje Nathusius—w którym właściciel pewien odkupił od żyda na potrzeby gorzelni swojéj znaczną partyą jęczmienia, którą tegoż dnia jeszcze sprzedał był żydowi rządca tych samych dóbr; przyczém jednodzienny zysk handlarza był znacznym" (1). Niestety, stosunki, zadziwiające dla Niemców, nam są zanadto dobrze znane, i zbytecznem byłoby w tém miejscu szerzéj się nad niémi rozwodzić.

Na tém kończymy nasz szkic położenia ekonomicznego wiejskiego ludu w Poznańskiém. Wszystkie cyfry wyżéj przytoczone są dość wymowne, by potrzeba było je opatrywać szczegółowymi

(1) Nathusius, l. c. str. 18 i następne.

komentarzami. Ogólny ich wynik niestety okazuje się wysoce ujemnym we wszelkich kierunkach.

Zwracając się teraz do zbadania przyczyn upadku ekonomicznego ludu w Księstwie, na pierwszém miejscu w ich szeregu postawić należy sposób przeprowadzenia reformy włościańskiéj w Prusach. Od téj chwili—jak widzieliśmy—datuje się zmniejszanie gruntów włościańskich w gospodarstwach sprzężajnych, wzrost proletaryatu rolnego, zadłużenie własności kmiecéj.

Rzecz dziwna doprawdy, iż autorowie niemieccy przemilczają zwykle o téj— w oczach naszych najważniejszéj — przyczynie obecnego stanu rzeczy. Mówiąc o stosunkach włościańskich w krajach polskich, nie są oni skłonni do przypisywania działalności Prusaków tych objawów ujemnych, jakie już powstały i rozwinęły się pod ich zwierzchnictwem. Przeciwnie, o ile z jednéj strony lubią malować w dosadnych barwach nadużycia szlachty polskiéj, ucisk i pognębienie ludu w dawnéj rzeczypospolitéj, o tyle znów z drugiéj wystawiają chętnie rząd pruski w roli protektora i przyjaciela klas upośledzonych. Przyczynę upadku włościan w prowincyach polskich zwalają zwykle na okoliczności miejscowe, na wady narodowe, upatrują w tém wreszcie nowy dowód na korzyść ulubionego twierdzenia swojego o „polnische Wirthschaft.“ Przyczyny ogólniejszéj natury, które w gospodarstwie społeczném daleko więcéj wpływu wywierają, niż wszystkie razem wzięte wady i niedoskonałości charakteru słowiańskiego, — niechętnie są rozpatrywane przez pisarzy niemieckich, gdy mowa o krajach polskich. Dość jednak przejrzéć choć w głównych zarysach historyą prawodawstwa agrarnego w Prusach w bieżącym stuleciu, by się przekonać, iż stan obecny ludu jest przedewszystkiém wytworem ustaw i przepisów państwowych, jakie miały miejsce w tym czasie w królestwie pruskiém.

(*D. c. n.*) *Ad. Zakrzewski.*

SPRAWA LUBOMIRSKIEGO

w roku 1664.

III.

Jerzy Lubomirski w opozycyi przeciw dworowi.

Układy dworu z Lubomirskim, nawiązane z początkiem r. 1664 nie osiągnęły, jak wiemy, żadnego rezultatu.

Nie można zaprzeczyć, że nie mało je utrudniały upór i niechęć królowéj; ale to pewna, że główny ciężar winy leżał po stronie marszałka. Bo kiedy już przystępował do układów, to winien był działać otwarcie i z wyraźnym programem: postępowanie jego tymczasem cechuje jakaś niepewność i dwuznaczność. Pokazało się téż wkrótce, ile było w tém wszystkiém nieszczerości i fałszu. Cóż bowiem myśléć o dobrych intencyach człowieka, który układając się z królową, równocześnie nieprzyjaciół dworu powiadamia o tych układach w formie ogólnéj—nie wspominając nic o swoim w nich udziale—jako o jakiejś niebezpiecznéj intrydze. Wyjawił to późniéj Bogusław Radziwiłł królowéj, że właśnie kiedy Wojeński bawił u niéj z misyą od marszałka, ten ostatni posyłał do niego z przestrogą, że królowa czyni wielkie zabiegi około sprawy elekcyi: niech się więc ma na ostrożności! (1).

Nie dziwota, że w obec tego ugoda nie mogła przyjść do skutku. Zerwanie układów przywracało dawny stosunek obu partyi: tylko, że zawód ostatni przyniósł większe rozjątrzenie i powiększył wzajemną nieufność. Nie chcecie pokoju—a więc wojna! powiedziano sobie nawzajem i wojna téż w istocie się gotowała.

---

(1) T. Luk. XL, Nr. 12, k. 11: Marya Lud. do Kondeusza, s. l., 28 Févr. [1664].

Marszałek nie miał wielu stronników między magnatami, a ci, których miał, chwiali się i opuszczali go zwolna. Trwale i uparcie stali jednak po jego stronie biskup krak. Trzebicki, wojewodowie Jan Leszczyński, poznański, podkanclerzy w. koronny i Jan Zamojski, sendomirski; z kasztelanów Andrzéj Maks. Fredro, lwowski, znany uczony doktryner-konserwatysta i Jan Wielopolski, wojnicki. Szczupły to był zastęp, ale téż Lubomirski na nim nie polegał. Oczy jego zwrócone były gdzie indziéj. Czarne karty dziejów własnego narodu wskazywały mu inne drogi, kręte co prawda—ale już ubite i wyrównane przez poprzedników, Zborowskich, Zebrzydowskich i Radziejowskich...

Odwieczna to sprawa w historyi, że antagonizm dwóch stanów, różnych położeniem socyalném i materyalném, stawał się prawie stale podstawą antagonizmu ich politycznego, źródłem anarchii i wielkich przewrotów wewnętrznych. A że na wszelkie stronnictwa składają się masy, a masy to materyał nader podatny w rękach ludzi zręcznych i sprawnych, więc też każde rozdwojenie w łonie tego lub owego społeczeństwa otwierało świetne pole do działania jednostkom, które nie wahały się dobra publicznego poświęcić dla indywidualnych popędów i namiętności: że zaś na takich nigdy nie zbywało, uczy historya każdego narodu, a niestety i nasza.

Od chwili, kiedy królowie weszli w przymierze z senatem i magnatami, szlachta uboższa stanowiła trwale opozycyą przeciw dworowi. W niéj znajdowali malkontenci zawsze gotowy materyał wybuchowy, z jéj pretensyami umieli zawsze złączyć swoje, niby wspólne i jednolite, a w istocie zwykle zupełnie odmienne.—Tak było i w tym wypadku.

Wziąwszy rozbrat z dworem, Lubomirski znalazł wyborny punkt oparcia w niższych klasach społeczeństwa szlacheckiego. Najwięcéj stronników dostarczyła mu Wielkopolska. Tam, w pośród zaściankowców, zakochanych w swojéj ziemi i we wszystkiém, co stare i przedawnione, i zamkniętych w ciasném kole dziwacznych pojęć i wyobrażeń, zawsze popularnymi były takie hasła, jak: „w imię złotéj wolności!“ lub „przeciw obcym natrętom!“ Tłumy te patrzały krzywo na wszystko, co nie polskie: cudzoziemiec był dla nich intruzem, a każda z zagranicy przywieziona nowość zamachem na złotą wolność..... Dlatego to sfrancuziały dwór królewski nie mógł się nigdy cieszyć względami ani poparciem w pośród ciemnéj szlachty, która bądź co bądź była jądrem i siłą całą narodu (1). Zrozumiał to

(1) Typem takiego szlachcica jest właśnie Pasek. Dość przerzucić kilka kart pamiętników jego z lat 1660—7, aby nabrać wyobrażenia o poziomie jego poglądów poli-

dobrze Lubomirski i dlatego od razu wdarł się na koturn obrońcy wolności; wystawiał się za męczennika sprawy iście narodowéj, za ofiarę pańskiéj zawiści z powodu szczerych sympatyi, jakie zawsze uczuwał dla kochanéj „braci-szlachty“, jakkolwiek senator i książę. Bo przecież dawna to prawda, że „szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie!“ Dwór temu przeczy, dwór godzi na nietykalne wolności i przywileje; ale on nie dopuści, aby źli tryumfowali!

Szlachta się radowała i patrzała w swego protektora, jak w słońce. A i Lubomirski znalazł się wśród tych tłumów, jak w swoim żywiole.

Charakter tego człowieka nie przestaje być dla nas zagadką, w części przynajmniéj. Jakie okoliczności złożyły się na wyrobienie dziwnéj téj w każdym razie natury, dzisiaj jeszcze odpowiedzieć nie jesteśmy wstanie. To pewna, że w chwili, gdy marszałek stanął przeciw dworowi, niższe popędy stanowczo wzięły w nim górę nad pierwiastkami zacnemi. Między namiętnościami jego zdaje się przodować ambicya: między dobremi przymiotami chyba wymowa i niepośledniе wykształcenie. „*Le renard*“, nazywa go zwykle Sobieski w swoich listach synonimowych—i nie było to bez myśli i skrytego przytyku. Leżało bowiem istotnie w charakterze marszałka coś z lisiéj natury. Skryty, podstępny i fałszywy w gruncie serca—a z pozoru uprzejmy, słodki i przyjacielski, gra on całe życie rolę dwuznaczną i zagadkową. Gniew, nienawiść, wściekłość nawet, które nim nieraz miotały, umie trawić i zamykać w sobie: ale te strawione uczucia wpijają się w umysł jego głęboko i niby gangrena szerzą się zwolna coraz daléj i zatruwają w nim wszystkie dobre pierwiastki. Nikt nie zbadał do głębi jego duszy: myliłby się, jeśliby ją próbował wyczytać z oblicza. Ten człowiek nosił całe życie maskę: wylana twarz i wielkie oczy były bez wyrazu. Zdawało się, że w nich mieszka spokój i pogodna cisza; sięgnij wewnątrz, a znajdziesz wszystko jadem napojone i zalane żółcią..... Był to jakby Wallenstein, lecz bez wyniosłości jego ducha i bez szlachetniejszych idei, jak Kromwell, lecz bez jego siły woli i tęgości charakteru. Fałsz i obłuda stała się drugą naturą marszałka. Wykręt i podstęp—to była jego broń zwyczajna. Nie występował nigdy otwarcie do walki. Unikał swoich nieprzyjaciół i stronił od miejsca, gdzie się obawiał ich spotkać. Nie spojrzał śmiało w oczy przeciwnikom: kopał pod nimi dołki, krążąc

---

tycznych. Mnóstwo tu wycieczek na dwór sfrancuziały, na najazd lalek wersalskich, na nowatorstwa w strojach, zwyczajach etc. etc. Dzieli też same przekonania z Pasklem i ogółem szlachty Kochowski, jakkolwiek górujący wiedzą i zdolnościami stanowczo nad swém otoczeniem.

z daleka i z daleka zadając im ciosy (1). Dlatego to spotyka się on w obozie swoich przeciwników z zarzutami, jakie w oczach Polaka uważane były za najwyższą obrazę: posądzają go o bojaźń, o tchórzostwo! (2).

A z tém wszystkiém, i to jest charakterystyczne w całém jego postępowaniu, grał marszałek zawsze rolę człowieka sumiennego, uczciwego, prawom wiernego. Nie miał on nigdy—tak twierdzi stale—niczego innego na oku, prócz dobra ojczyzny. Nie własne korzyści, lecz całość rzeczypospolitéj i rozwój wolności były przedmiotem jego pieczy. Wszędzie stawał on tylko w obronie przywilejów i prerogatyw szlacheckich, występował przeciw nieprzyjaciołom ogółu, a nie osobistym..... Lecz któż uniknie zawiści ludzkiéj? Nie waha się ona porwać nawet na nieskazitelną sławę szczerze kochającego ojczyznę i braci obywatela!...

Takim był Lubomirski. Nie dziwota, że królowa, która poznała na wskróś jego naturę kosztem wielokrotnych, niemiłych doświadczeń z lat ostatnich, już w czasie układów podejrzywała marszałka o nieszczerość, o dwulicową politykę. Nieufność owa doszła do takiego stopnia, że, gdziekolwiek zaszedł wypadek, sprzeczny z jéj planami i przykry dla stronnictwa francuskiego, przypisywała autorstwo Lubomirskiemu i kładła wszystko na karb jego złéj woli. W ciągu nieporozumienia między dwiema armiami litewskiemi doszła ją była wiadomość, że wiele szlachty polskiéj podąża do Litwy, aby powiększyć zastęp malkontentów w prawém skrzydle. Na dworze domyślano się zaraz, że to sprawa marszałka (3). Począł Sapieha, chwi-

---

(1) W téj próbie charakterystyki Lubomirskiego—tak się on nam przedstawia w czasie od r. 1661—4. W r. 1665—6 wystąpił on—co prawda—do otwartéj walki, lecz wówczas był to stan wyjątkowy. Nie odwaga, nie męstwo, lecz raczéj ślepa żądza zemsty wiodła go do zuchwałych czynów.—Co go takim zrobiło, o tém nie tu miejsce mówić. Przeszłość jego do r. 1660 przemawia za tém, że gdy chciał, umiał być tęgim żołnierzem, walecznym wodzem. Czyżby namiętności i wpływ złego otoczenia zniżyły do tego stopnia—tę zrazu dzielną duszę?... To najbliższe podobieństwa.

(2) Tak np. de Lumbres, pisząc o nowych knowaniach marszałka i podsuwając mu bardzo rozległe i ryzykowne plany, tak się wreszcie wyraża: Il est vrai *qu'il a peu de coeur* pour éxécuter un tel dessein, mais il a assez d'ambition, de vanité et de malice pour le former.“ (T. Lnk. XII. k. 134. D. L. à Louis XIV,—Vars. 25 Sept. 1664).—Albo późniéj, kiedy na dworze roztrząsano kwestyę, czy téż pozwany Lubomirski stawi się na sejmie osobiście, De Lumbres znowu tak w téj sprawie pisze: „Tout le monde demeure d'accord, qu'il serait plus avantageux au grand-maréchal de comparaître à la diète pour diverses considérations; *mais ceux qui connaissent son naturel timide*, ne se peuvent persuader qu'il ose se hasarder de venir en un lieu d'ou il craint ne pouvoir se retirer.“ (D. L à M. de Lionne, Vars. 21 Nov. 1664. T Luk. XII, k. 167).

(3) T. Luk. XII, k. 13: De Lumbres à M. de Lionne. Vars. 18 Janv. 1664.

lowo skłonny do zgody, bałamucić na nowo, królowéj zdaje się naturalnie, że Lubomirski w tém ręce umaczał.

Podejrzenia te nie były zresztą bez podstawy. Wkrótce się bowiem pokazało, jak to już w początku tego ustępu zaznaczono, że marszałek w czasie układów przestrzegał Radziwiłła o zabiegach królowéj w sprawie elekcyi, chociaż sam przez wysłańców brał w tych traktatach udział. Co więcéj, dowiadujemy się, że w chwili kiedy jeszcze u niego bawił Morsztyn w sprawie ugody, posyłał on Piestrzeckiego do podkanclerzego z wyrzutami, iż się podobno zamierza pogodzić z królową bez jego wiedzy. Oddał mu piękném za nadobne Leszczyński, bo wyprawił do marszałka Wojakowskiego, aby mu toż samo wytknął nawzajem (1). Wówczas już wreszcie donosił prymas Leszczyński królowéj, że Lubomirski potajemnie intryguje na jéj szkodę i nie szczędzi starań, aby pozyskać jak najwięcéj szlachty, zdaje się, celem wywołania nowych zamieszek i rokoszu w królestwie (2).

A jeśli dotąd były to tylko szczegóły wątpliwe i niepewne, to po zerwaniu układów rysuje się postępowanie marszałka o wiele wyraźniéj. Już w styczniu, jak wiemy, obawiała się królowa, że cała ta sprawa układów była tylko komedyą, podstępem, którego przeciwnik użyć nieochybnie zamierza na swoją korzyść. I nie omyliła się podobno, bo ledwie rozeszły się rokowania, a już obiega pogłoska między szlachtą, że królowa usiłowała skłonić marszałka, aby się przychylił do jéj planu elekcyi następcy tronu, co więcéj, by dał jéj inicyatywę, a nawet piśmiennie zobowiązał się go popierać (3). Nikt na dworze nie wątpił, że rzecz wyszła od marszałka; celem jego było widocznie podać w ten sposób królowę w nienawiść u ogółu, a siebie wystawić, jako obrońcę praw i wolności Korony, stojącego na zawadzie dworowi dla stałości i gorliwości, z jaką przestrzega dobra narodu (4). I wpływowi téj to wieści wypadnie przypisać okoliczność, że szlachta wielkopolska, która zdawała się w styczniu krzywo patrzéć na Lubomirskiego, teraz znowu staje stanowczo w opozycyi przeciw dworowi, a więc po stronie znamienitego malkontenta. Zarysował się ten zwrot wyraźnie w ostatnich dniach lutego, kiedy skarb rzpltéj zażądał od Wielkopolan wypłaty pewnéj sumy tytułem podatku uchwalonego na zaspokojenie wojska. Szlachta odmówiła, niewątpliwie za sprawą Lubomirskiego i podkanclerzego, którzy mie-

---

(1) T. Luk. XII, k. 25: Fantoni à M. De Noyers, Vars. 1 Févr. 1664.

(2) T. Luk. XII k. 22: De Lumbres à M. de Lionne. Vars. 25 Janv. 1664.

(3) T. Luk. XII. k. 39: De Lumbres à M. de Lionne. Vars. 7 Mars 1664.

(4) Ibid. u. s.

li w tém swoje wyrachowanie. Liczyli oni na to, że jeżeli wojsko nie zostanie opłacone, zawiąże się w nową konfederacyę i wywoła nowe zamieszanie w Koronie; a wszystko, co zakrawało na anarchią, było dla obu magnatów pożądane. Z tego zapatrywania wychodząc (1), niektórzy stronnicy dworu podejrzywali marszałka nawet o moralny współudział w rozruchach, jakie w marcu na nowo wybuchły, na nieuspokojonéj dotąd Ukrainie (2).

Nie trudno się domyśléć, że téż same wieści z Zadnieprza, które tak przygnębiły królowę, w kołach możnego malkontenta witano z radością. Dotychczasowe pozorne tryumfy króla spać nie dawały marszałkowi. Z królową, i dworem francuskim dzielił on z przyczyn wręcz przeciwnych obawę, niepokój i trwogę z powodu niepewnego przebiegu wyprawy. Królowa czekała zwycięstw, Lubomirski klęsk i niepowodzeń. Przez cały marzec komunikacya z Zadnieprzem była, jak wiemy, zerwana z powodu trudności i niebezpieczeństwa dróg w kraju, pełnym rokoszan i zbuntowanych chłopów.

Lubomirski korzystał z tego stanu naprężenia i rozstroju. Od czasu do czasu puszczał przez swych stronników w obieg fałszywe wieści o klęskach armii polskiej, o wielkich zwycięstwach sąsiada (3). Dawały się już pod ich wpływem głośno słyszéć utyskiwania na króla: że nie oszczędza krwi szlacheckiéj, że kwiat rycerstwa wystawia na zagubę, że szuka pomocy u Tatarów, aby koniec położyć złotéj wolności polskiéj i samowładztwem się rządzić w królestwie (4).

Z ust do ust podawane, rosły te pogłoski i, jak to bywa, przybierały nowe i dziwaczne formy. W Krakowie powiadano sobie nawet o śmierci króla i o bliskim powszechnym zjeździe szlachty, jakby już nastawały czasy bezkrólewia (5)...

Ale wieści te—to jeszcze rzecz najmniejsza. Marszałek przeciw zabiegom królowéj nie tylko pogłoskami walczył, ale stawił i własne intrygi.

Nie brakło mu, równie jak przeciwniczce, na powolnych narzędziach. Między Bernardynami mieli swych ajentów zarówno królowa, jak Lubomirski.

Marya Ludwika pracowała nad pozyskaniem Litwy dla elekcyi d'Enghiena; trzeba było, póki czas, przeciwdziałać jéj wpływom. Do-

---

(1) T. Luk. XII. k. 34: De Lumbres à M. de Lionne. Vars. 29 Févr. 1664.
(2) T. Luk. XII. k. 40: De Lumbres à M. de Lionne. Vars. 14 Mars. 1664.
(3) T. Luk. XII. k. 49: De Lumbres à M. de Lionne. Vars. 29 Mars. 1664.
(4) T. Luk. XII. k. 50: De Lumbres à M. de Lionne. Vars. 24 Mars. 1664.
(5) T. Luk. XII. k. 59: De Lumbres à M. de Lionne. Vars. 11 Avr. 1664.

stał to zadanie O. Cypryan Żmijewski, wysłany do W. księstwa z obszerną od marszałka instrukcyą (1). Główne punkta tego pisma miały być wedle zeznania księdza, następujące: „Głoszą to jawnie i otwarcie nawet samiż stronnicy dworu, że elekcya ma być przeprowadzona przez W. X. litewskie, a to na trzy sposoby: najpierw przez rozesłanie manifestu W. kanclerza lit., za którym odbędzie się, jak donoszą, wkrótce sejm w Wilnie: i tamto sprawa elekcyi, unieważniona przez Rzptę jednogłośnie, ma być na nowo podniesiona.

„Drugi sposób taki będzie, jak podają, że obywatele W. X. litewskiego mają znowu uznać prawo dziedziczności tronu w swoim kraju, czyniąc zupełnie od woli króla zawisłém, aby kogo zechce, przeznaczył im na księcia. A to jawnie sprzeciwia się prawom etc.

„Trzeci wreszcie sposób, i to najgorszy, jest ten, że przemocą, za użyciem broni, jeśli inne środki nie wystarczą, zamierzono cel swój osiągnąć i w téj myśli ujmują dla siebie wojsko, to darami, to obietnicami, już téż innemi sposobami odciągają odeń senatorów i dobrze ojczyźnie służących obywateli, nakazując rozwiązywać przytém liczne chorągwie, a to znamienitych obywateli, co i jego panu zrobiono.

„Albowiem oddziały, które i królowi i Rzptéj w różnych wyprawach przeciw różnym nieprzyjaciołom najlepiéj się zasłużyły, rozkazano rozwiązać, żeby, z téj przyczyny, teraz rozbrojony w domu pozostać musiał.

„Żąda więc Jego Wysokość (Lubomirski) pewnéj wiadomości, czy tak jest rzeczywiście, jak podają etc. etc.

„Jeżeli zaś prawdą jest to, co głoszą, nie życzy sobie, aby to dłuższém pokrywano milczeniem, bo milczeniem i obojętnością dopuszcza się wzmożenie tylu wielkich nieszczęść w Rzeczypospolitéj.“

Nie ulega prawie wątpliwości, że do téj jawnéj instrukcyi nie omieszkał dodać marszałek i wiele tajnych wskazówek, o których wykonanie chodziło mu może głównie. Królowéj przynajmniéj donoszono nieco późniéj, że ksiądz Cypryan krąży po Litwie i Rusi i wszędzie, gdzie się uda, obmawia, czerni i napada Francuzów i całe dworskie stronnictwo (2). Naturalnie, że musiało się to dziać z wiedzą i wolą Lubomirskiego.

---

(1) T. Luk. XII. [La reine de Pol. à M. de Noyers]: Vars. 14 Mars 1664.—Nie ma w tym liście wymienionego nazwiska tego zakonnika; ale widoczna, że jestto ten sam, nad którym późniéj rozwodzi się oskarżyciel Lubomirskiego w swojéj propozycyi. Por. „Processus indic. in causa Georgii comitis... Lubomirski etc. etc.“ str. 38—9. Jest tam właśnie podana także instrukcya, którą Lubomirski nakreślił wysłańcowi swemu na piśmie. Przytaczamy jéj przekład w tekście.

(2) T. Luk. XII, k. 42. [La reine de Pol. à M. de Noyers]. Vars. 14 Mars 1664.

Tymczasem sam pan marszałek pośpieszył do Krakowa, niby na sądy starościńskie (1), a właściwie, aby wpływać w duchu swoich planów na szlachtę, która się miała w mieście natenczas zgromadzić. Szło mu téż o pozyskanie biskupa Trzebickiego, stronnika cesarskiego, ale z nim dotąd żyjącego w niezgodzie (2).

Wielką sensacyę wywołała na dworze wiadomość, która się wnet po téj podróży na sądy rozeszła, że marszałek czyni znaczne zaciągi wojskowe i postawił już regiment z 1200 ludzi złożony, zasłaniając się rzekomém pozwoleniem króla (3). Nie wiedziano napewne, jaki był cel tych przygotowań prawie wojennych: było jednak powszechne mniemanie, że gotował się w Krakowie rokosz, bo posiadano jakieś wskazówki, że niedawno starał się Lubomirski dla takiego właśnie planu pozyskać Radziwiłła (4). O tych zaciągach było wnet wszędzie tak głośno, że wieści doszły aż do Jana Kazimierza; bo w liście z 24 marca upomina on wyraźnie, aby pilne dawano baczenie, czy marszałek gromadzi rzeczywiście „swoich górali“ do Poznania, a jeśli tak jest, to przez kogo, i czy ich ma téż w Krakowie (5).

Jeśli dotychczas szkodzono sobie nawzajem więcéj ubocznie i tajemnie, to na kwietniowym sejmiku w Proszowicach przyszło pierwszy raz w tym roku do dość wyraźnego, otwartego starcia między obu stronnictwami. Szło tu o wybór podkomorzego krakowskiego. Szlachta województwa miała zamianować czterech kandydatów; z tych jednego król potém potwierdzał w godności. A że to była posada intratna (przynosiła, wedle de Lumbres'a, 12 do 15,000 liwrów rocznie), więc sporo znalazło się do niéj pretendentów. Otóż marszałek, ufny w swoje wpływy, przyrzekł był wyrobić podkomorstwo to jednemu ze swoich stronników. Zdarzyło się tymczasem, że z drugiéj strony Zebrzydowski, miecznik kor. i starosta lanckoroński, jeden z najczynniejszych sprzymierzeńców Francyi, a zacięty Lubomirskiego przeciwnik, poczynił starania o uzyskanie tegoż urzędu nie dla siebie, lecz dla teścia swego Jana Karola Czartoryskiego. Stąd powstała rosterka. Jan Wielopolski, kaszt. wojnicki, jak i biskup Trzebicki, postarali się o pogodzenie współzawodników. Ale, że ugoda nie była szczera, więc téż Lubomirski nie oglądał się na

---

(1) T. Luk. XII. k. 49. De Lumbres à M. de Lionne. Vars. 21 Mars 1664.

(2) T. Luk. ibid. u s. Jaki był rezultat tych starań, tego dokładnie wyrażonego w dalszych źródłach nie ma; wnosić można jednak, że zupełnie dodatni, bo odtąd widzimy Trzebickiego, działającego w ciągłém porozumieniu z Lubomirskim.

(3) T. Luk. XII. k. 57: De Lumbres à M. de Lionne. Vars. 4 Avr. 1664.

(4) T. Luk. XII. k. 59: De Lumbres à M. de Lionne. Vars. 11 Avr. 1664.

(5) List J. K do Maryi Lud. Oryg. w tece dra Liskego, Nr. 4.

nią zbytecznie. Zachowując jéj pozory, to jest nie stawiwszy się osobiście na zjeździe, uboczną drogą, przez dwóch swoich agentów sprawił, że sejmik został zerwany (1). Wygrał w ten sposób sprawę przynajmniéj przez połowę; ale ta połowiczna wygrana przyprawiła go o stratę przychylności kilku znamienitych osób. Biskup kujawski, Floryan Czartoryski, brat niefortunnego aspiranta do podkomorstwa, przerzucił się teraz stanowczo na stronę królowéj, a jego szwagier Jan Tarło, wojewoda lubelski, poróżnił się téż ostatecznie z marszałkiem. Mniejsza już o to, że i Zebrzydowski jeszcze bardziéj zaciętą zapłonął ku niemu nienawiścią, bo ten nigdy mu nie był przyjacielem; ale, co najbardziéj dotknęło marszałka, to okoliczność, że kasztelan Wielopolski, człowiek wielkich zdolności i rozległych wpływów, który podjął starania o pogodzenie stron, zawiedziony w swojém dziele, żywił odtąd niechęć dla byłego przyjaciela, a niebawem stanął w szeregu jego zdecydowanych przeciwników (2).

Jakkolwiek dosyć groźne przybierały już rozmiary działania Lubomirskiego wewnątrz kraju, były one niebezpieczne nie tyle same przez się, ile przez związek, jaki zachodził między niemi a interesami państw sąsiednich, Austryi i Brandeburgii.

Było to rzeczą znaną już z lat ubiegłych, że marszałek w ciągłych zostawał stosunkach z dworem wiedeńskim. Zakryte wprawdzie przed nami tajniki cesarskich archiwów, ale mimo to nie brak wskazówek, że i w r. 1664 stosunki te nie ustawały. W pierwszych dniach marca t. r. donosił naprzykład królowéj pewien Bernardyn, że o. Antoni, prowincyał zakonu bernardyńskiego na Litwie, udający się do Rzymu celem objęcia posady generała, otrzymał od Lubomirskiego listy do cesarza, które miał zalecone oddać poufnemu jego przyjacielowi w Wiedniu nieznanego imienia (3). Korespondencya więc, jak widzimy, trwała ciągle jeszcze między sprzymierzeńcami.

Chociaż przedmiot obawy nie ustępował, na dworze lekceważono sobie na razie to przymierze magnata z cesarzem, łudząc się nadzieją, że Austrya, zawikłana w wielką wojnę turecką, nie będzie mogła skutecznie popierać swego stronnika.

Jeśli jednak ten stosunek nie był dla królowéj nowiną, tą nowiną, i to bardzo niemiłą były dla niéj wieści, które sporadycznie,

---

(1) T. Luk. XII, k. 66: De Lumbres à M. de Lionne. Vars. 2 Mai. 1664.

(2) T. Luk. XII, m. cyt. w uwadze poprzed. Co do biskupa Czartoryskiego bliżéj: T. Luk. XII. k. 75: De Lumbres à Louis XIV. 29/IV 1664.

(3) T. Luk. XII. k. 42 [La reine de Pol. à de Noyers]. Vars. 4 Mars 1664.

ale w coraz pewniejszéj formie (chociaż z prywatnych zrazu źródeł) dochodziły jéj uszu o jakowychś związkach państw zagranicznych, nieprzyjaznych Francyi, celem współdziałania przeciw interesom wspólnego wroga, Ludwika XIV. Już w styczniu donoszono Gonzadze, że gotuje się liga między królem duńskim, elektorem brandeburskim i księciem luneburskim, która w Polsce znalazła oparcie w Lubomirskim, podkanclerzym Leszczyńskim i Bogusławie Radziwille. Związek ten miał sobie założyć jako główne zadanie wybór na króla młodszego brata księcia luneburskiego. Wiadomość ta znajdywała tém większą wiarę w stronnictwie francuskiém, że kandydatura Luneburga miała za sobą wiele szans prawdopodobieństwa. Książe ten był katolikiem, miał za sobą poparcie Danii, jako szwagier króla duńskiego, a elektor brandeburski był również jego krewnym. Spokrewnienie to w obu monarchach mogło budzić uzasadnioną nadzieję łatwego wpływu na przyszłego króla. Zresztą elektor gotów był podobno zgodzić się na każdego kandydata, byle nie przeszedł Francuz lub ks. Neuburski, jego polityczny przeciwnik, który oddawna tron polski miał na oku (1).

Na jakiś czas zamilkły wprawdzie te wieści, ale tylko na to, aby w dwa miesiące późniéj wypłynąć na nowo i to w formie o wiele pełniejszéj.

Radziejowski (2), przybywający z Gdańska, przyniósł bowiem w ostatnich dniach marca z autentycznych źródeł zaczerpniętą wiadomość o takimżę samym związku i to już z dodatkiem o współudziale w nim Saksonii i Anglii. Z innych stron przyszły równocześnie informacye o ścisłych stosunkach Anglii z Danią (3).

W pierwszych dniach kwietnia rzeczy już tak stały, że nie można było prawie wątpić o prawdziwości tych doniesień. Nie była sprawa cała rozjaśniona i sprawdzona jeszcze urzędowo, ale coraz nowe wskazówki potwierdzały i uzupełniały dawniejsze. Uważano, że między elektorem a podkanclerzym miała miejsce nader żywa wymiana korespondencyi. Stwierdzono również, że Lubomirski niedawno wyprawił poufnych posłańców także do elektora, a prócz

(1) T. Luk. XII, k. 17: De Lumbres à Louis XIV. Vars. 24 Janv. 1664.

(2) Spotykamy tu nazwisko tego człowieka po raz pierwszy. Jest-to ten sam podkanclerzy w. kor., smutnéj sławy bohater pierwszego pięciolecia Kazimierzowych rządów, banita, infamis i potém długie lata otwarty wróg ojczyzny. Sejm z r. 1662 przywrócił go do czci i pozwolił mieszkać w kraju. Stérała się w nim duma dawna, na cudzym chlebie żyjącym.... Odtąd widzimy go czas jakiś w podrzędnéj roli służalca i ślepego narzędzia dworu, aż póki los mu nie pozwolił—po kilku latach—znowu na zaszczytném stanowisku dokonać burzliwego żywota.....

(3) T. Luk. XII, k. 52 [La reine de Pol. à M. de Noyers]. Vars. 31 Mars, 1664.

tego i do króla duńskiego pod pretekstem przesyłki chartów w upominku. Utrzymywała się i teraz wiadomość o udziale Anglii i Saksonii: niektórzy dodawali, że i papież należy do intrygi. Rozległa ta liga ma popierać (nastąpiła pewna zmiana osób) elektora brandeburskiego, a gdyby to nie było możebne do przeprowadzenia, jednego z dwóch książąt luneburskiego lub brunszwickiego (1).

Tyle wiedziała królowa z dotychczasowych działań i zabiegów Lubomirskiego. Zapatrzona ciągle w stronę Zadnieprza, bo wyczekująca stamtąd stanowczego rozwiązania zadań, nad któremi pracowała tak długo bezowocnie, nie trwożyła się ona zrazu zbytecznie oznakami wrogiego usposobienia obrażonego magnata. Nawet i pierwsze wieści, niepewne—co prawda— o związku owéj ligi nie wydawały jéj się wtedy groźnemi; wiara w potężne wpływy Ludwika XIV i ufność w stałą pomoc dworu wersalskiego (2), a z drugiéj strony nadzieje bliskich zwycięstw Jana Kazimierza na Zadnieprzu działały na nią uspakajająco. Ludwik XIV nie przestawał jéj zapewniać o niezmiennéj przychylności i, co więcéj, nie szczędził rzeczywistéj pomocy materyalnéj i moralnéj. Kasa królowéj świeciła pustkami: ciągłe nadzwyczajne wydatki wyczerpały fundusze, jakie przywiozła ze sobą i jakie z dóbr królewskich spływały. Rozumie się więc, że w pieniężnych potrzebach Wersal był jéj stałą ucieczką, i to tém milszą, że rzadko czego odmawiano we Francyi sprzymierzeńczyni. Francuskiém złotem opłacano przeto wszystkich prawie stronników królowéj. Corocznie pobierali od posła francuskiego w Warszawie stałe pensye dygnitarze korony i w. ks. litewskiego. Prażmowski dostawał 15.000 franków i tyleż Pac, kanclerz w. litewski; referendarz Morsztyn i Denhof, podkomorzy w. kor. po 9,000, Sobieski, chorąży w. kor., pisarze Sapieha i Jabłonowski, hetman Stanisław Potocki i pułkownik Korycki po 3,000. Również znaczną pensyę wyznaczono po śmierci Gąsiewskiego Michałowi Pacowi, jego następcy. Nawet Czarniecki, tyle wynoszony dla nieskazitelności charakteru, nie odmawiał nigdy przyjęcia pensyi 12,000 franków, wyznaczanych mu przez lat wiele od Ludwika XIV (3). Miał téż ambasador francuski

(1) T. Luk. XII. k. 56: La reine de Pol. à M. de Noyers. Vars. 4 Avr. 1664.

(2) T. Luk. XII, k. 52 [La reine de Pol. à M. de Noyers]. Vars. 31 Mars, 1664: „Bien que tous ces gens soient liguées, je ne crois pas, qu'ils réussissent en leurs desseins, surtout si le roi de France se conduit bien, comme je n'en doute pas....“

(3) Co do wszystkich cyfr, tu podanych, por. T. Luk. XII, k. 51: „Etat de la dépense des 200.000 francs remis à Hambourg au commencement de l'année *1663*.“ Jakkolwiek ten wykaz wydatków odnosi się do r. 1663, to jednak ma on historyczną ważność i dla roku następnego, ponieważ, jak się dowiadujemy z listu de Lionne'a do de

zawsze do rozporządzenia pewną sumę na wydatki nadzwyczajne. Suma ta, która w początkach roku około 200,000 franków wynosiła (1), stosownie do potrzeby i uznania bywała późniéj wielokrotnie uzupełniana i powiększana.

Z drugiéj strony nie odmawiał téż Ludwik XIV i pomocy dyplomatycznéj. Ile razy szło o załatwienie jakiejś sprawy drogą interwencyi pokojowéj na którymś z zagranicznych dworów, używała Marya Ludwika stale jego pośrednictwa. Czy to chodziło o usunięcie nuncyusza papieskiego z Polski, któremu królowa była niechętną (2), czy o przeparcie wyboru nowego prowincyała Bernardynów (3) (rzecz ważna, bo z Bernardynów rekrutowali się najlepsi pomocnicy w tajemnych działaniach), czy wreszcie potrzeba było zapobiedz wcześnie ustanowieniu ambasadora hiszpańskiego w Polsce, który zapewne za swój obowiązek uważał by propagować w Warszawie austryackie sympatye (4), na głowę króla francuskiego spadał zawsze kłopot pomyślnego tych spraw przeprowadzenia.

Nie można jednak zaprzeczyć, że obok Ludwika XIV i jego posła de Lumbres'a, również i Marya Ludwika niepoślednią rozwijała działalność w interesie swego stronnictwa. Nawet w czasie, kiedy jéj uwaga skierowana była głównie na widownię wojny zadnieprskiéj, nie ustaje ona ani na chwilę w śledzeniu i podpatrywaniu skrytych kroków marszałka, starając się krzyżować jego plany, a dla swoich natomiast coraz nowych zyskiwać popleczników. Za wysłańcami Lubomirskiego krążą po Koronie i Litwie i jéj ajenci, najczęściéj zakonnicy Bernardyni (5). Znana to rzecz, jaką rolę w dawnéj Polsce odgrywali księża kwestarze i prowincyali. Były to chodzące gazety; jak gazety, stanowili oni o opiniach nie tęgiéj w polityce szlachty szaraczkowéj. Ich słowa były wyrocznią w zaścianku: wierzono w nie, jak dotąd ludzie ciemni i nieobyci w świecie dobrodusznie wierzą w słowa jedynego dziennika, który czytają. W Wielkopolsce znów kupiła sobie królowa sędziego kaliskiego Kryskiego pensyą 5,000 złotych z własnéj szkatuły, aby pracował nad przeje-

---

Lumbres'a (T. Luk. XII, k. 36, S. l. 29 Févr. 1664), Ludwik XIV zatwierdził wszystkie pensye z r. 1663 i na rok 1664, przyznawszy w dodatku właśnie pomienioną pensyę Gąsiewskiego następcy jego Pacowi.

(1) T. Luk. XII. k. 35: De Lumbres à M. Lionne. Vars. 29 Févr. 1664.

(2) T. Luk. XII, k. 32. De Lumbres à Louis XIV. Varsovie, 21 Févr. 1664.— T. Luk. XII, k. 45. [La reine de Pol. à M. de Noyers]. Vars. 4 Mars, 1664.

(3) T. Luk. XII, k. 42—3. [La reine de Pol. à M. de Noyers]. Vars. 14 Mars 1664.

(4) T. Luk. XII, l. s. cit. (k. 41).

(5) T. Luk. XII, k. 27. De Lumbres à M. de Lionne. Varsov. 8 Févr. 1664.— T. Luk. XII, l. s. cit. (k. 42).

dnaniem umysłów szlachty na korzyść sprawy francuskiéj (1). Toż samo zadanie spełniał w Lublinie niejaki Zdrojski (2).

Ogółem jednak zajmowały oba obozy do téj chwili stanowisko raczéj wyczekujące. Lubomirskiego powstrzymywał w stanowczém działaniu niepewny przebieg wyprawy moskiewskiéj; u królowéj wobec doniosłego planu pozyskania armii litewskiéj, który całą jéj uwagę pochłania, wszystkie inne sprawy zrazu usunięte były na plan nieco odleglejszy.

Wśród tego roztargnienia i niepewności, ku czemu należy głównie zwrócić usiłowania i zabiegi, w chwili, kiedy kiełkująca myśl podróży na Litwę ma nareszcie wzrosnąć i wydać owoce, nawiedza królowę owa ciężka niemoc, któréj historyą już znamy. Marya Ludwika z konieczności pozostaje w Warszawie, gdzie, zresztą, zbieg innych okoliczności uczynił niezbędną jéj obecność. To bowiem, co z początku roku było tylko pogłoską, zaczyna się teraz sprawdzać. Stan rzeczy, który dotąd budził tylko niepokój i chwilowe obawy, staje się naprawdę groźnym i zatrważającym. — Jerzy Lubomirski postępował sobie z coraz większą bezwzględnością. Wstąpiwszy raz na pochyłą drogę, nie cofnął się, ani powstrzymał; owszem, coraz prędzéj, coraz gwałtowniéj dążył tam, gdzie go parła wewnętrzna moc namiętności lub gdzie go może prowadziła taż sama błędna gwiazda, co przyświecała Waldsteinowi..... (3). Dotąd w czynach wstrzemięźliwy, a teraz pokrzepiony wiadomością o smutnym

(1) T. Luk. XII, k. 25. Fantoni à M. de Noyers. Varsov. 1 Fevr. 1664.

(2) Ibid. k. 17. De Lumbres à Louis XIV. Vars. 24 Janv. 1664.

(3) Jakie były istotne plany Lubomirskiego, o tém coś więcéj stanowczego i pozytywnego powiedzieć będzie można dopiero po gruntowném zbadaniu historyi lat 1661—3, a to mianowicie na podstawie materyałów berlińskich i wiedeńskich (wątpić jednak należy, czy i wtedy rezultat będzie zupełnie zadawalniający. Jak inne kwestye z tego zakresu, tak i tę, t. j. czy marszałek myślał istotnie o koronie dla siebie, musimy więc na razie z pod rozbioru usunąć. Tu wystarczy nam tylko zaznaczyć, że powszechna była wówczas na dworze opinia (dowodem treść późniejszego pozwu na Lubomirskiego), którą dzielili i ludzie takim bystrym zmysłem spostrzegawczym obdarzeni, jak Ludwik XIV i jego minister de Lionne, iż Lubomirski rzeczywiście dąży wszystkiemi postępkami swemi do zdobycia tronu po Janie Kazimierzu.... I tak por. np. T. Luk. XII, k. 63. De Lionne à M. de Lumbres, S. l., 25 Avr. 1664: „Pour moi j'ai toujours tenu *pour indubitable, qu'il* (le maréchal) *pense à la couronne pour lui-même*". — Takież było zdanie de Lumbres'a (T. Luk. XII, k. 80. De Lum. à Louis XIV. Vars. 6 Juin 1664). Podobnież (T. Luk. XII, k. 127. De Lumbres à Louis XIV. Vars. 4 Sept. 1664): „......Il (Lubomirski) semble les fourber tous (les princes étrangères) et tâcher de s'aider de leurs moyens et de leurs forces *pour se faire nommer successeur, où comme quelques croyent protecteur*, abolissant la royauté, sans s'attacher tout-à-fait à aucun d'eux, sinon, quand il aura perdu toute éspérance à son dessein...." Por. wreszcie także: T. Luk. XII, k. 140. Louis XIV à M. de Lionne, S. l., 3 Oct. 1664.

epilogu wyprawy moskiewskiéj, wydaje on raz poraz manifesty do braci szlachty, raz poraz puszcza w obieg bezimienne pisma i paszkwile na swoich nieprzyjaciół, na dwór, na króla nawet i królowę (1). W jednéj odezwie (wydanéj w pierwszych dniach czerwca) ostrzega o bliskim przyjeździe do Polski Kondeusza Wielkiego i d'Enghien'a celem uzyskania dla ostatniego korony i wzywa naród, aby się oparł wszystkiemi siłami temu przedsięwzięciu (2), — w drugim, ogłoszonym z początkiem lipca, wywodzi skargi na prześladowanie, którém go dwór upośledza za to rzekomo, iż staje w obronie wolności i przywilejów, że sprzeciwia się elekcyi następcy tronu, wbrew konstytucyom ostatniego sejmu przez stronnictwo dworskie zamierzonéj (3) i t. p.; a wszystko na to obliczone, jak sądził de Lumbres, aby rozpalić i tak już gorące głowy szlacheckie, roznamiętnić do reszty umysły, prywatą i burzami lat ubiegłych rozjątrzone, i w ten sposób powiększyć obóz malkontentów. Lubomirski zbroił się już na dobre. Działo się to potajemnie, ale tajemnica była głośną. Robił on zaciągi po wszystkich województwach, wabił do siebie ludzi i kogo mógł, pozyskiwał (4). Donoszono królowéj, że była między nim a szlachtą taka umowa, iż na pierwszy znak dany zbierze się ona tłumnie na miejsce, które zostanie wskazane (5). Wiedziano na pewne, że miał już jeden regiment jazdy, a jeden dragonów prawie w pogotowiu (6). Otóż jeśli te wszystkie kroki nosiły na sobie cechy wielkiéj zuchwałości i samowoli, to nie ulegało wątpliwości, że marszałek nigdyby się do nich nie porwał, gdyby nie miał za sobą silnych pleców, niezachwianego punktu oparcia w mocarstwach sąsiednich.

Już poprzednio spotykaliśmy się z wieściami o jakichś związkach tajemnych z zagranicą. Było to wszystko jeszcze dość nieokreślone, czekało ostatecznego stwierdzenia.

Teraz rzecz cała poczyna się rysować wyraźnie. Ze wszystkich stron dochodzą uszu królowéj zgodne w téj sprawie informacye i to nawet ze źródeł bardzo wiarogodnych, jak np. od posła szwedzkiego, Palbickiego (7). Nareszcie i minister Brandeburga, Bogusław Radziwiłł, odsłania jedną część tajemnicy. Elektor saski zatrzymał się w powrocie z Ratyzbony u elektora w Berlinie: rownocześnie miał

---

(1) T. Luk. XII, k. 93. De Lumbres à Louis XIV. Vars. 10 Juill. 1664.
(2) T. Luk. XII, k. 82. De Lumbres à Louis XIV. Vars. 12 Juin, 1664.
(3) T. Luk. XII, k. 93. De Lumbres à Louis XIV. Vars. 10 Juill. 1664.
(4) i (5) T. Luk. XII, k. 100. De Lumbres à Louis XIV. Varsov. 24 Juill. 1664.
(6) T. Luk. XII, k. 106. De Lumbres à Louis XIV. Vars. 8 Août 1664.
(7) T. Luk. XII, k. 81. De Lumbres à Louis XIV. Vars. 6 Juin, 1664.

się tam znajdować wysłannik marszałka. Na tym to zjeździe z obowiązali się obaj elektorowie postawić i utrzymywać w pogotowiu wojenném oddziały po 5,000 ludzi każdy, rzekomo dla obrony państw swoich (1). To było faktem, ale nie umiał Radziwiłł nic pewnego o tém powiedziéć, czy miał w téj lidze jaki udział cesarz lub inni jeszcze książęta. Skąd inąd (źródło nie podane) donoszono de Lumbres'owi, jak już i poprzednio, że i król duński i nareszcie książęta luneburski i kurlandzki byli w intrydze (2). Nawet i Rosyę mieszano w tę sprawę, nie mówiąc już o cesarzu (3).

Jacykolwiek spólnicy należeli do tajemnego spisku, to jedno uważano za pewne, że nie obrona granic ani inne względy (któremi zasłaniały się owe państwa), lecz interes wspólny, jaki nieprzyjaciół Francyi jednoczył zawsze przeciw Ludwikowi XIV w sprawie elekcyi następcy tronu w rzeczypospolitéj, pobudził do czynnych przygotowań niemieckich książąt i monarchów. Królowa nie wątpiła, że owa piętnastotysięczna armia, któréj zmobilizowanie uchwalono w Berlinie, miała służyć jako środek represyjny przeciw intrygom stronnictwa francuskiego w Polsce (4). Stąd, jak rozumiała, poszło, że Lubomirski został wciągnięty w intrygę; zapewniony co do pomocy wojsk obcych, ustawionych przy granicy, będzie on mógł działać stanowczo, a bezkarnie (5). Być może, że w razie potrzeby sprzymierzona armia zostanie nawet użyta do czynnéj akcyi, zwłaszcza, jeżeli partya francuska dla zrealizowania swoich planów ucieknie się do siły, a kto wié, czy związek berliński nie umyślił nawet uprzedzić Ludwika XIV i za pomocą Lubomirskiego przeprowadzić wybór upatrzonego przez siebie kandydata (6). Uchodził za takiego, jak wiemy, brat księcia luneburskiego; młodzieniec ten, spokrewniony z elektorem brandeburskim i królem duńskim, nie zdawał się nawet niemiłym Lubomirskiemu. Bo jeśli nareszcie marszałek nie myślał o tronie dla siebie, to pragnął niezawodnie widziéć królem człowieka, którymby mógł powodować i rządzić do woli: takim był właśnie Luneburg, niedojrzały, bez wielkiéj potęgi własnego domu (7).

Takie było powszechne przekonanie na polskim dworze. Ludwik XIV dzielił je prawie w zupełności: przypuszczał przytém, że

(1) T. Luk. XII, k. 92. De Lumbres à Louis XIV. Vars. 10 Juill, 1664. — Ibid. k. 80. De Lumbres à Louis XIV. Vars. 6 Juin.

(2) T. Luk. XII, k. 85. De Lumbres à Louis XIV. Vars. 18 Juin 1664.

(3) T. Luk. XII. l. sup. cit.

(4) T. Luk. XXXIII, k. 90. De Lumbres [à Condé]. 11 Juill. 1664.

(5) T. Luk. XII, k. 98. De Lumbres à M. de Lionne. Vars. 18 Juill. 1664.

(6) Ibidem, k. 106. De Lumbres à Louis XIV. Vars. 8 Août, 1664.

(7) Ibidem, k. 110. Louis XIV à M. de Lumbres. S. l., le 16 Août 1664.

pod osłoną mocarstw sprzymierzonych marszałek zamierza przywieść do skutku zjazd całéj szlachty i osiągnąć za pomocą niéj cele zdawna zamierzone (1). Nie mamy wprawdzie aktu przymierza, zawartego w Berlinie; nie podobna mimo to wątpić, że związek taki rzeczywiście przyszedł do skutku i miał w istocie intencye, jakie mu dwór polski przypisywał. Bo jeśli do końca czerwca tylko doniesienia osób dobrze poinformowanych potwierdzały wieści o owéj lidze, to z postępowania posła cesarskiego w Polsce i elektora brandeburskiego można było nabrać pewności o istnieniu ścisłego porozumienia między dworami niemieckimi i Lubomirskim. Zbrojenie się sąsiadów musiało bowiem zwrócić uwagę senatu rzeczypospolitéj; dlatego pierwszą rzeczą sprzymierzonych było, drogą dyplomatyczną usprawiedliwić te przygotowania i gromadzenie sił wojskowych u granic królestwa wytłómaczyć. Znalazł się, dzięki Lubomirskiemu, wyborny pretekst Marszałek rozpuszczał od niejakiego czasu alarmujące wieści o gotującym się rzekomo napadzie Tatarów na Polskę. Robiąc na własną rękę zaciągi konnicy zasłaniał się tymi pogłoskami, głosząc, że skłania go do tego wzgląd na bezpieczeństwo kraju wobec bliskiego najazdu hordy (2). Tymczasem w całéj téj pogłosce o Tatarach było tyle tylko prawdy, że ich han po kilku miesiącach wahania, zgodził się w lecie tegoż roku, w lipcu czy téż sierpniu, na przedłużenie przymierza z dworem, przyjął zwykłe dary i zobowiązał się nadal wspierać rzeczpospolitę, ale *wyraźnie* jedynie przeciw Rosyi i buntownikom kozackim (3).

Otóż tego samego sposobu, co Lubomirski, chwycił się teraz i poseł cesarski w Warszawie. Hr. Kińsky—bo takie było jego nazwisko — bawił już w Polsce od końca stycznia (4). Za właściwą przyczynę przyjazdu swego podawał wówczas potrzebę pomocy przeciwko Turkom, o którą czynił usilne zabiegi (5); starał się téż o pozwolenie sprowadzania zboża z Polski na żywność dla wojsk cesarskich (6). Jakkolwiek otrzymywał odpowiedzi wymijające (7), zachowywał się zrazu nader uprzejmie i względnie, jak wypadało proszącemu. Kiedy jednakowoż przyszło do skutku wiadome przy-

---

(1) T. Luk. XII, k. 80. De Lumbres à Louis XIV. Varsov. 6 Juin, 1664.

(2) T. Luk. XII, k. 99. De Lumbres à Louis XIV. Varsovie, 24 Juillet, 1664.— Również T. Luk. XII, k. 105. De Lumbres à Louis XIV. Varsov. 8 Août, 1664.

(3) T. Luk. XII, k. 107. De Lumbres à M. de Lionne. Vars. 8 Août, 1664.

(4) T. Luk. XII, k. 24. [La reine de Pol. à M. de Noyers]. Vars. 1 Févr. 1664.

(5) T. Luk. XII, k. 24 etc. u. s.

(6) T. Luk. XII, k. 30. De Lumbres à M, de Lionne. Vars. 18 Févr. 1664.

(7) T. Luk. XII, k. 24 i 30 etc. u. s.—Prócz tego: Ibidem, k. 47. Łacińska nota bez tyt., z dopiskiem Łukasa: „Odpowiedź posłowi cesarskiemu dana d. 14/III 1664."

mierze, zmienia on nagle ton i przedmiot swoich zabiegów. Nie bez wskazówki od swego dworu i nie bez porozumienia z Lubomirskim wywodzi na audiencyi u królowéj w pierwszych dniach lipca obawy, aby tatarzy, obozujący na Ukrainie, nie wpadli przez Ruś i Małopolskę do Moraw i Szląska. Żąda od królowéj wyjaśnienia, jak się zachowa rzeczpospolita w razie, gdyby te obawy miały się sprawdzić: czy oprze się pochodowi Tatarów lub téż nań bez przeszkody przyzwoli. Marya Ludwika odpowiedziała mu, że bardzo wątpi, aby Tatarzy powzięli taki zamiar wbrew przymierzu z Polską: lecz jeśliby rzeczywiście mieli się porwać do tak bezprawnego kroku, to wobec rozdwojenia i niezgody w łonie rzeczypospolitéj, wobec rozdrobnienia sił zbrojnych, zajętych u granic wschodnich, nie może dać pewnéj rękojmi, czy kraj zdoła się oprzéć inwazyi nieprzyjacielskiéj, zwłaszcza, jeśli takowa nastąpi znienacka. Na to oświadczył Kińsky, że odpowiedź ta bynajmniéj go nie uspakaja: widzi on, że jego rząd zmuszony będzie sam pomyśléć o bezpieczeństwie państwa. I tu, korzystając z dobréj sposobności, napomknął, że cesarzowi wypadnie chyba dla obrony swych prowincyi postawić z 5—6,000 żołnierza na granicy (1). Wzmianka ta ostatnia posła naprowadziła królowę natychmiast na uzasadniony domysł, że te ciągłe z naciskiem podnoszone obawy przed Tatarami były tylko pretekstem, umówionym z góry w Berlinie: a przypuszczenie to sprawdziło się nie długo zupełnie. Bo oto w dwa tygodnie późniéj donosi podkanclerzy Leszczyński także o skargach elektora brandeburskiego, drugiego członka ligi, na tenże sam temat. Znowu tu mowa o owym fikcyjnym napadzie Tatarów, znowu obawy, że Polska nie zechce lub nie zdoła sprostać ich nawale, że Szląsk a może i inne państwa niemieckie zagrożone—i znowuż dodatek, że elektor widzi się zmuszonym myśléć o zarządzeniu środków ochronnych przeciw ewentualnemu niebezpieczeństwu, o obsadzeniu granic swych wojskami (2).

O co zaś właściwie chodziło posłowi cesarskiemu, o tém już dobitnie przekonała się królowa z następującéj sprawki. Strażnik Jaskólski podobno, który dawniéj ofiarował się był służyć cesarzowi, a teraz już zjednany pensyą francuską, wycierał progi królewskie i wyjawił Maryi Ludwice, że Kińsky, widząc w nim byłego przeciwnika dworu, a nie wiedząc nic o zmianie jego sympatyi, miał go nakłaniać obietnicami wielkich korzyści, aby się podjął zjednywać dla Austryi jak najwięcéj przyjaciół. Dodawał mu przytém zachęty zapewnieniem, że nie on sam, ale i wielu innych będzie w tym samym

(1) T. Luk XII, k. 92—3. De Lumbres à Louis XIV. Vars. 10 Juill. 1664.
(2) T. Luk. XII, k. 99. De Lumbres à Louis XIV. Vars. 24 Juill. 1664.

kierunku pracować (1). Wiadomość ta wzmogła naturalnie podejrzenia i tak już krzywo patrzącéj na posła królowéj. Lecz na tém nie koniec. W pierwszych dniach sierpnia otrzymał Kińsky przez umyślnego wysłańca rozkaz od cesarza, aby zażądał od króla polskiego (który w połowie lipca powrócił do Korony) stanowczéj odpowiedzi i pisemnego zobowiązania, iż zapobieży pochodowi Tatarów na Morawy i Szląsk. A ponieważ armia rzpltéj wobec wycieńczenia i rozerwania sił swoich nie będzie w stanie sama przeszkodzić najazdowi hordy, przeto załączono mu polecenie, aby nalegał na zwołanie pospolitego ruszenia szlachty i trzymania jéj w pogotowiu bojowém na każdy wypadek (2). Kińsky poczynił u dworu przedstawienia w myśl otrzymanych z Wiednia wskazówek. Tłumaczono mu, że Tatarzy znajdują się za Dnieprem z wojewodą ruskim i idą nie na Szląsk i Morawy, lecz przeciw buntującym się Kozakom, że 20,000 z nich wycofało się nawet zupełnie z granic rzeczypospolitéj, że nareszcie, jeśliby horda wpadła do Polski, to wojsko Czarnieckiego da sobie z nimi radę i potrafi samo odjąć hanowi raz na zawsze chętkę do daleko sięgających planów. Nic nie pomogły wszystkie te zapewnienia; poseł utrzymywał się przy swoich pretensyach i wskórał tyle, że mu wyznaczono komisyę, która miała rozpatrzyć całą sprawę i roztrząsnąć żądania cesarskie (3). Na konferencyach z komisarzami powtórzył Kińsky słowo w słowo to samo, co pierwéj przedstawiał obojgu królestwu. Zawiązała się zacięta nad zasadniczym punktem dyskusya. Hrabia, napotykając ponownie na opór, uniósł się gniewem i widząc, że nie osiągnie celu łagodném postępowaniem, uciekł się do ostrych słów i pogróżek. Oświadczył, że jego pan nie myśli bezczynnie i obojętnie czekać odwiedzin Tatarów na swojéj ziemi, lecz jeszcze w granicach rzeczypospolitéj będzie musiał zajść drogę niemiłym gościom. Odpowiedziano mu na to chłodno i surowo, żeby się w wyrazach hamował: krok ten, którym grozi, uważany będzie przez dwór za akt nieprzyjacielski. Na tém się zerwały układy z komisyą. Sprawę całą odłożono do rady senatu, mającéj się zebrać wkrótce w Warszawie (4).

To gwałtowne wystąpienie posła cesarskiego nie było odosobnione; równocześnie bowiem otrzymał król polski od elektora ba-

---

(1) T. Luk. XII, k. 99—100, etc. u. s. Nazwiska strażnika nie podaje de Lumbres; domyślamy się jednak, że to Jaskólski, bo strażnik tego nazwiska występuje późniéj w procesie jako świadek przeciw Lubomirskiemu, którego był pierwotnie stronnikiem.

(2) T. Luk. XII, k. 104. De Lumbres à Louis XIV. Vars. 8 Août, 1664.

(3) T. Luk. XII, k. 104. De Lumbres à Louis XIV. Vars. 8 Août 1664.

(4) T. Luk. XII, k. 105 etc. u. s.

warskiego list podobnéj treści, w tym samym duchu i tonie zredagowany, co ustne oświadczenia Kińskiego (1).

IV.

Stanowcze kroki dworu.—Plan pozwania marszałka przed sąd sejmowy.

Teraz już nie było żadnych wątpliwości co do wrogich intencyi dworów niemieckich, jak nie było oddawna wątpliwości o buntowniczych zamiarach Lubomirskiego. Królowę, która dopiero co opuściła łoże po niszczącéj chorobie, wycieńczoną i złamaną fizycznie, poczęły znowu trapić smutne myśli. Trzebaż było, aby do obaw rzeczywistych i uzasadnionych przyłączyły się jeszcze urojone! Marya Gonzaga dzieliła z wielu światłymi ludźmi swego wieku, przesądną wiarę w astrologią. Otóż kapłani téj nauki niepomyślny z gwiazd wysnuli królowi horoskop. Rok przyszły, 1665-ty, miał być dla Jana Kazimierza złym i nieszczęśliwym (2). A tu zewsząd nadciągają chmury: w powietrzu czuć było burzę.... Mimo to nie czemu innemu, jak podziwienia godnéj energii i rzutkości wytrwałéj kobiety przypisać wypadnie, że w téj krytycznéj chwili dwór nie stracił otuchy, owszem, rzucił się z podwojonymi siłami do pracy, do gorączkowego nieledwie działania, a wreszcie zerwał do śmiałych, rozstrzygających kroków. Więcéj niż kiedy indziéj było teraz widoczne, że duszę całego stronnictwa stanowiła królowa.

Pierwszą myślą, która powstaje pod wpływem wieści o lidze nieprzyjacielskiéj w dworskich kołach, jest plan analogiczny: to jest żeby się wzmocnić przeciw obozowi sprzymierzonych również jakimś sprzymierzeńcem. Oczy Maryi Ludwiki zwróciły się na Szwecyą. Szwecya była połączona ścisłém, tajném przymierzem z Wersalem: nasuwała się więc możność zawiązania bliższych z północnym dworem stosunków za pomocą Francyi. Bliższych, mówimy, bo już od początku roku rząd szwecki myślał o połowicznem przymierzu z rzecząpospolitą, a to przeciw wspólnemu wrogowi od wschodu. W tym celu wyjechał Palbicki jeszcze w lutym ze Sztokholmu (3).—Z początkiem dopiero czerwca staje on w Warszawie (4). Po przybyciu zatrzymują go kilka tygodni w łóżku cierpienia reumatyczne (5).

---

(1) Ibid. u. s.

(2) T. Luk. XII, k. 85. De Lumbres à Louis XIV. Vars. 13 Juin 1664.

(3) Urk. und. Act. zur Gesch. Friedr. Wilh. von Brand. IX, k. 771: von Krockow an den Kurfürsten, 23 Jan. 1664. Ibidem: v. Krock. an den Krf., 2 Febr. 1664.

(4) T. Luk. XII, k. 79. De Lumbres à M. de Lionne. Vars. 6 Juin, 1664.

(5) T. Luk. XII, k. 89. De Lumbres à Louis XIV. Vars. 10 Juill. 1664.

Obecność posła szwedzkiego w Warszawie poddała królowéj właśnie myśl pozyskania Szwecyi do związku nie tylko przeciw Moskwie, ale i przeciw lidze niemieckiéj. Planem tym podzieliła się Marya Ludwika natychmiast przez de Lumbres'a z Ludwikiem XIV (1), a ten ostatni przyjął go i uznał za bardzo praktyczny (2).

Palbicki nie odpowiedział jednakże nadziejom królowéj: od początku zajmował stanowisko wyczekujące i zamykał się ściśle w granicach, zakreślonych instrukcyą. Mówił, że przybył raczéj, aby wysłuchać propozycyi dworu polskiego, niż sam działać i nawiązywać stosunki (3), a żeby mieć powód do dystrakcyi, występował z jakiemiś skargami na chłodne (jak mu się zdawało) przyjęcie królowéj i t. p..... (4). Zapewniał wprawdzie o przyjaźni i przychylności rządu szwedzkiego dla Polski, ale nie dawał w niczém inicyatywy; z drugiéj strony senat polski był zbyt dumny i wyniosły, aby się zgodził sam poczynać od próśb i propozycyi. De Lumbres postanowił obejść te trudności, biorąc na siebie zainicyowanie układów; lecz już u wstępu nasuwały mu się wątpliwości, czy da się przyprowadzić do skutku jawne przymierze, wobec tego, że takowe musiałoby być zatwierdzone jednomyślnością sejmu, a o to bardzo trudno wobec rozdwojenia w łonie rzeczypospolitéj. Co najwięcéj, sądził on, można będzie skleić tajny traktat dworu samego z rządem szwedzkim (5).

Nie na rękę były Maryi Ludwice te skrupuły i restrykcya, z jaką postępował dotąd Palbicki. Zapewnienia Ludwika XIV w téj sprawie dodały jéj nieco otuchy. Król francuski nie dzielił bynajmniéj obaw dworu polskiego co do ligi. Nie dowierzał nawet, aby książe saski i cesarz należeli do związku niemieckiego. Kazał zaręczyć królowéj, że przeciw Danii i Saksonii może się czuć bezpieczną, bo on posiada w ręku środki, za pomocą których jest w stanie rządom obu państw wymienionych odebrać możność szkodzenia stronnictwu francuskiemu w wiadoméj sprawie. Cesarz niemiecki sprawami wewnętrznemi do tego stopnia jest zajęty, że dopóki trwa wojna turecka, może być chyba bezczynnym widzem téj intrygi, a elektor, sam sobie zostawiony, nikomu zaszkodzić nie zdoła. Ludwik XIV jest pewny, że Szwecya nie odmówi Polsce pomocy zbrojnéj, kiedy mu się tylko spodoba jéj zażądać; sądzi zresztą, że i bez jego starań rząd szwedzki w najkrótszym czasie prześle część wojsk

(1) T. Luk. XII, k. 94. De Lumbres à Louis XIV. Vars. 10 Juill. 1664.
(2) T. Luk. XII, k. 110. Louis XIV à M. de Lumbres. S. l., 15 Août 1664.
(3) T. Luk. XII, k. 79. De Lumbres à M. de Lionne. Vars. 6 Juin, 1664.
(4) T. Luk. XII, k. 89. De Lumbres à Louis XIV. Vars. 27 Juin, 1664.
(5) T. Luk. XII, k. 94. De Lumbres à Louis XIV. Vars. 10 Juill. 1664.

swoich do Inflant z powodu zatargów, jakie tam Rosya nieustannie wywołuje. W razie potrzeby oświadcza nawet gotowość przystąpienia do traktatu szwedzko-polskiego, aby związkowi dodać pełności i mocy (1). Być może jednak, iż Ludwik XIV zbytecznie ufał swoim wpływom, być téż może, że przeciwne zabiegi znalazły chwilowy posłuch u dworu szwedzkiego, dość że układy z Palbickim nie postępowały wcale naprzód w Warszawie. Poseł, jak przy wystąpieniu, tak i po dwóch miesiącach pobytu, zachowywał stanowisko wyczekujące.

Jeśli z téj strony rezultat był niepewny i nie zadowalał nikogo, to natomiast skąd inąd dochodziły królowę nader pomyślne i wiele dobrego rokujące wieści. Litwa wracała zwolna, ale stanowczo do obozu królewskiego. Porzuciliśmy sprawy litewskie, kiedy plan pozyskania w. księstwa zatrudniał najbardziéj dwór i Maryę Ludwikę. Choroba nie dozwoliła królowéj przyłożyć osobiście czynnéj ręki do przygotowanego już dzieła w najkrytyczniejszéj chwili. Do dawnych sporów między Pacami a Sapiehami przyłączył się właśnie gwałtowny zatarg między kanclerzami: antagonizm obu stronnictw zarysował się jaskrawo, jak nigdy przedtém.

Królowi, wracającemu z za Dniepru do Wilna miało się dostać w spuściznie wykończenie rozpoczętéj nieszczęśliwie pracy. A było tam wiele do zrobienia. Kiedy Jan Kazimierz stanął w Wilnie 15 maja (2) i rozpatrzył się w sytuacyi, znalazł stosunki w stanie bardzo niepomyślnym i naprężonym. W Wilnie miała się odbyć rada senatu w. ks. litewskiego. Tymczasem większa część senatorów wymawiała się od udziału w zjeździe, zasłaniając się tém, że polscy dygnitarze do narady nie zostali zawezwani. Właściwym motywem tego ociągania się miała być wedle de Lumbres'a (3) intryga Lubomirskiego, który wmawiał w panów litewskich, że zamiarem dworu jest skłaniać ich do obioru następcy tronu. Sapieha również wydawał się znowu stanowczo niechętnym dworowi. I on bowiem wzbraniał się stawić w Wilnie: unikał wyraźnie zetknięcia z królem, stroniąc przezornie od wszelkich miejscowości, którędy ten miał przejeżdżać. Pokazało się, że niedawno bawił u niego prowincyał Franciszkanów w poselstwie od Lubomirskiego; od czasu odwiedzin tego zakonnika hetman zmienił zupełnie swe usposobienie dla dworu. Przypuszczano w kołach francuskich, że nie małą w tym zwrocie rolę grało niepo-

---

(1) T. Luk. XII, k. 100—11. Louis XIV à M. de Lumbres. S. l., 15 Août, 1664.

(2) Kochowski, Ann. Pol. Clim. III. 207.—T. Luk. XII, k. 71: De Lumbr. à Louis XIV. Vars. 22 Mai, 1664.

(3) T. Luk. XII, k. 71: De Lumbres à Louis XIV. Vars. 22 Mai 1664.

myślne zakończenie wyprawy. Przedtém krępowała go niejaka obawa przed ramieniem królewskiém, które w razie zwycięskiego przebiegu wojny nabrałoby mocy żelaza: teraz, kiedy ten wzgląd ustąpił, żywił dumny magnat może śmiałą nadzieję, iż razem z Lubomirskim dość będzie miał siły, aby dyktować dworowi prawa na przyszłym sejmie i zgnieść kanclerza lit. przedmiot stały jego zazdrości, a nienawiści marszałka (1). Potwierdzało poniekąd te domysły opryskliwe postępowanie hetmana w obec senatu i króla. Nie dawno otrzymał Sapieha akt nominacyi na godność marszałka nadw. lit. dla syna swego, dzięki staraniom kanclerza (2) (zapewne Prażmowskiego), który mu ją wyrobił u dworu. Teraz rozsierdzony hetman odsyła ów akt nominacyi napowrót królowéj. Co więcéj, pisze list, pełen zapewnień uległości i przyjaźni do kanclerza kor. w przekonaniu, że Prażmowski ciągle jeszcze trwa w niechęci do Krzysztofa Paca.

Również Krzysztof Zawisza, marszałek w. lit. i starosta żmudzki Jan Karol Chlebowicz jawnie okazywali nieprzychylność ku tronowi. Ten ostatni ubiegał się o podskarbiowstwo w. lit., ale królowa sprzeciwiła się temu, mówiąc, „że nie tyle obawia się niechęci starosty, jak nieznośnego usposobienia i nienasyconéj jego chciwości: na takim urzędzie mógłby on narazić na ruinę i Litwę i całą sprawę elekcyi“ (3)... Stąd znowu gniew i obraza Chlebowicza, stąd nowa nienawiść między niefortunnym aspirantem a Krzysztofem Zawiszą, któremu się dostał właśnie ów upragniony wakans. (Nowy ten dowód łaski królewskiéj nie przeszkadzał jednak p. Zawiszy liczyć się do obozu malkontentów, jak to zaraz niżéj zobaczymy). Nawet i Bogusław Radziwiłł, ten zubożały magnat, który z potrzeby ofiarowywał się z gotowością na każde skinienie królowéj i już przysłużył się dworowi kilku ważnymi doniesieniami, występował z żalami i wyrzutami. Nie podobało się księciu, że w wyniszczonych jego dobrach przeznaczono kwatery dla wojska wracającego z Zadnieprza. Tłómaczono mu, że nie dwór, lecz komisya osobna, rozmieszczała żołnierzy; ale książe nie dał się przekonać, aby się to stało bez wiedzy króla. I tu należało się domyślać powodów innych: owo niepowodzenie wyprawy moskiewskiéj mogło wpłynąć na zmianę usposobienia także i u Radziwiłła, podobnie, jak u Sapiehy i wielu innych (4).

---

(1) Ibid. u. s.

(2) T. Luk. XII, k. 71. De Lumbres à Louis XIV, Vars. 22 Mai, 1664. (Nie podano tu, który kanclerz, ale zapewne koronny, bo litewski był przecież wrogiem Sapiehy).

(3) Ibid. u. s. (k. 72).

(4) T. Luk. XII, k. 74. De Lumbres à Louis XIV, Vars. 22 Mai, 1664.

Taki stan rzeczy zastał Jan Kazimierz na Litwie po powrocie z Zadnieprza. To też cały czas swego pobytu w Wilnie od 15 maja do połowy nieledwie lipca poświęca on na załagodzenie sporów i uraz wzajemnych i przejednanie wzburzonych umysłów. „Ja tymczasem nie tracę tutaj czasu,"—pisze do królowéj 24 maja (1),—„lecz usiłuję na wszelkie sposoby pozyskać i zjednać sobie umysły tych tu panów, schlebiając im, to poufaląc się z nimi, a nie odmawiając także udziału w ich bankietach"... Od początku téż wszystko szło wyśmienicie. Odbyły się trzy wielkie bale. Król na każdym był obecny. Pierwszy urządzał podskarbi Zawisza, drugi starosta Chlebowicz, trzeci Michał Radziwiłł, kasztelan wileński. Nadzwyczajna uprzejmość i łaskawe względy wymownego monarchy rozpromieniły wszystkich. „Na wieczorze u Radziwiłła"—są słowa króla (2) „pogodziłem całkowicie wśród szklanek i tańców starostę żmudzkiego z podskarbim, a nawet z wielkim kanclerzem litewskim, który mógłby wszystkie serca zjednać dla siebie, gdyby zechciał postępować nieco poufaléj z tymi panami, niż dotąd"... 24-go maja złożył królowi marszałek litewski (nowo-kreowany podskarbi) Zawisza wizytę i bawił z półtory godziny na audyencyi; długa rozmowa, wśród któréj nie obeszło się bez skarg i zażaleń, skończyła się pomyślnie. „Rozeszliśmy się,—powiada Jan Kazimierz (3),—„w najlepszéj w świecie komitywie." Nie tak szczęśliwie wiodło się jednak z samą głową Litwy, hardym, upartym i zaciętym w gniewie hetmanem. Sapieha ani myślał pokazywać się w Wilnie. Nasłał król do niego Jana Gnińskiego, podkomorzego pomorskiego, swojego sekretarza, człowieka zręcznego i wymownego, aby skłonił opornego magnata do przyjazdu na radę senatu wileńską albo do przesłania choćby swego zdania na piśmie (4). Podkomorzy wrócił 23 maja do Wilna (5), ale z czém, tego bliżéj nie wiemy. Podobno z niczém, bo król wkrótce potém otrzymał od Sapiehy list, w którym ten ostatni upiera się jeszcze stanowczo przy swojém (6). Jan Kazimierz dopomina się z tego powodu u królowéj, aby i ze swéj strony nie przestawała wpływać na hetmana. Radzi jéj wysłać Szczukę albo O. Cieciszewskiego: niech zbadają, czy nie da się sprowadzić Sapiehy choćby do Nowodworu. Tymczasem i Aleksander Naruszewicz, podkanclerzy litewski, nie dawał

---

(1) Vilna, 24 di Magio [1664]. Z teki dra Liskego. Nr. 14. (Oryginał).

(2) List J. Kaz. do Maryi Lud. etc. (patrz uw. poprzednią).

(3) Ibidem u. s.

(4) T. Luk. XII, k. 72: De Lumbres à Louis XIV, Vars. 22 Mai, 1664.

(5) List J. Kaz. do Maryi Lud. Vilna, 24 Magio [1664]. Z teki dra Liskego Nr. 14

(6) List J. K. do Maryi Lud. Vilna 4 di Giunio [1664]. Oryg. w tece dra Liskego, 1664.

znaku życia. „Nie tylko że się tu nie zjawił,"—oburza się na niego Jan Kazimierz (1),—ale nawet nic a nic nie pisze, jakby nie wiedział, czy jestem na tym świecie, czy nie!"...

Królowa skłoniła naprzód Branickiego, marszałka nadw. kor., który przypisywał sobie wielki wpływ na Sapiehę, na Litwę, aby nań podziałał w tym samym duchu, co poprzednio Gniński (2). W takimże celu wyjechał w ślad za Branickim i biskup Prażmowski (3) ku wielkiemu niezadowoleniu Jana Kazimierza, który nie wiele wierzył w wymowę, a nawet dobre chęci kanclerza i obawiał się, że zamiast naprawić, wszystko gotów jeszcze popsuć, zwłaszcza, że dzielił z Sapiehą śmiertelną nienawiść do Krzysztofa Paca, mimo pozornéj z tym ostatnim zgody (4).

I tego nie wiemy, jak się sprawił Branicki. Prażmowski ze swojéj wyprawy wrócił dopiero w ostatnich dniach czerwca. „Znalazł on w wojewodzie człowieka, zupełnie opanowanego przez marszałka, nieczułego na wszelkie perswazye i upartego, jak muła" (5). Sapieha miał mu wyznać, że Lubomirski kazał go był przez owego Franciszkana przestrzedz, że dwór nosi się z zamiarem zgubienia go na równi ze zbrodniarzami, winnymi zabójstwa Gąsiewskiego, wyjawiał się z tém głośno, że nie może znieść kanclerza Paca raz dla tego, że tenże zanadto ulegle poświęca się interesom królowéj, a potém i stąd, że zdobył on sobie taką powagę i znaczenie na Litwie (*sic*!): nie taił też wielkiéj niechęci ku dworowi i królestwu (6). Nic nie pomogły przedstawienia i wybiegi Prażmowskiego, który na różne brał się sposoby, aby go przecież przejednać. Aby się wykręcić od wszelkich przyrzeczeń, czy też nie mogąc się pozbyć natarczywego kanclerza, zasłonił się hetman nareszcie pretekstem, jakoby był związany z przyjaciołmi przysięgą, iż nie zobaczy się z królem przed sejmem (7). Słowem, biskup nie wiele więcéj zdziałał u wojewody, jak inni, którzy przed nim u niego bawili (8).

---

(1) Ibid. u. s.

(2) T. Luk. XII, k. 79. De Lumbres à M. de Lionne, Vars. 6 Juin, 1664.

(3) Ibid. k. 87 De Lumbres à Louis XIV, Vars. 26 Juin, 1664.

(4) List Jana Kaz. do Maryi Lud. A Grodna, ce 11 Juin, 1664. (Z teki dra Liskego Nr. 16). List ten pisany z *Grodna*. Król musiał do miasta tego zrobić tylko krótką wycieczkę (bliższéj o tém wzmianki nie ma w źródłach), bo listy tak poprzednie, jak i następne, mianowicie z 4-go i 13-go t. mies. pisane są z Wilna.

(5) List J. K. do Maryi Lud. Vilna, 25 di Giunio [1664]. Z teki dra Liskego, Nr. 18.

(6) T. Luk. XII, k. 88. De Lumbres à Louis XIV, Vars. 26 Juin, 1664.

(7) T. Luk. XII, k. 88: De Lumbres à Louis XIV, Vars. 26 Juin, 1664.

(8) List J. Kaz. do M. Lud. Vilna, 25 di Giunio [1664]. Z teki dra Liskego Nr. 18.

Tymczasem król pracował daléj nad swoją sprawą. Dobre porozumienie (przynajmniéj pozorne, bo czy szczere, wątpić pozwala niedaleka przyszłość) między kanclerzami obu połów rzeczypospolitéj zostało właśnie przywrócone (1).

Ostatni przyjechał nareszcie do Wilna i Naruszewicz, jeden z tych, którego hetman wymienił między związanymi ową rzekomą przysięgą z przyjaciółmi (widać, ile było prawdy w tym wykręcie Sapiehy) i okazał się nad wszelkie spodziewanie tak przychylnym dworowi, że król postanowił za pomocą niego raz jeszcze spróbować, czy Sapieha nie da się naprowadzić na pożądaną drogę (2). Nie wiemy na pewne, ale prawdopodobnie wpływom właśnie podkanclerzego, spokrewnionego z hetmanem, przypisać należy, że królik litewski zmiękł nareszcie i przychylać się począł do ustępstw. W pierwszych dniach lipca spełnia się ostateczne życzenie króla: Sapieha, dotąd „jak muł uparty“ zjeżdża w sobotę d. 5 pod. mies. do Żurowic, gdzie dwór się umyślnie zatrzymał w drodze z powrotem z Wilna do Warszawy. Pierwszego dnia ograniczono się na ogólnych tylko komplementach. Na drugi dzień, w niedzielę, po mszy i kazaniu, które cały ranek zajęło, prosił hetman o audiencyę. Miała się ona odbyć popołudniu; lecz ponieważ król wpołudnie dawał obiad i przebrał przytém nieco (jak sam wyznaje) miarę w kielichach, więc odłożono ją do dnia następnego. W poniedziałek zatém zrana był Sapieha na posłuchaniu; rozmowa skończyła się bardzo pomyślnie i ku obopólnemu zadowolnieniu (3). Tegoż dnia po audiencyi (7-go lipca) umyślił król puścić się niezwłocznie w dalszą podróż; ale dzień przedtém zjechał był do Żurowic Prażmowski i wymógł to na nim, że przeczeka jeszcze cały poniedziałek, zapewniając, iż dnia tego przybędą za nim niewątpliwie kanclerz i marszałek wielcy litewscy. Zawisza przybył istotnie 7-go zrana; ale kanclerza czekano dzień cały. Pojawił się on dopiero późnym wieczorem (4). Staraniem króla przyszła wówczas do skutku zupełna (ale czy trwała, zobaczymy późniéj) zgoda między Pacem a Sapiehą. Hetman nie szczędził zapewnień uległości i wierności, miał nawet przychylnie przyjąć propozycyą króla co do małżeństwa własnéj córki z hetmanem polnym Michałem Pacem, celem zacieśnienia przez ten akt związków przyjaźni między obu domami. Nie oświadczył się on wprawdzie jeszcze otwarcie za planem

---

(1) T. Luk. XII, k. 90. De Lumbres à Louis XIV, Vars. 3 Juill. 1664.

(2) List J. Kaz. do Maryi Ludwiki etc. u. s.

(3) List J. K. do M. Lud. Żurowice, li 7 di Giulio [1664]. Z teki dra Liskego, Nr. 19.—T. Luk. XII, k. 96. De Lumbres à Louis XIV, Vars. 17 Juill. 1664.

(4) List J. Kaz. do M. Ludw. etc. u. s.

królowéj w sprawie elekcyi, ale już i to uważano w kołach dworskich za sukces znakomity, że się udało potężnego pana rozdwoić z Lubomirskim i w ten sposób ostatniemu odjąć możność dalszego podburzania Litwy (1).

Tak pomyślnie zakończywszy dzieło, opuszcza Jan Kazimierz 8 lipca Żurowice i pośpiesza wprost do Warszawy, gdzie 14-go staje nareszcie po całorocznéj nieledwie nieobecności (2).

Dwór i królowa wyczekiwali niecierpliwie powrotu króla. Dawał się czuć dotkliwie brak człowieka, który—bądź co bądź—był głową państwa. Witano go więc z zadowoleniem i z radością tém większą, że nad Koroną zawisły chmury i sytuacya zaczynała być groźną. Bo oto—kiedy na wschodzie burzy się jeszcze chłopstwo, rwą układy z Rosyą, a z drugiéj strony potężni sąsiedzi knują tajne spiski i gotują się do czynnéj interwencyi, nie tając wrogiego usposobienia, w rzeczypospolitéj podnoszą równocześnie głowę żywioły wsteczne, malkontenci jawnie nastają na dwór i koronę, a ich prototyp, książe-magnat tworzy państwo w państwie z roznamiętnionych tłumów i jakby nie było nad nim pana, ogłasza od siebie manifesty i uniwersały, zarządza samoistne zjazdy szlacheckie, gromadzi wojsko i zbroi się na własną rękę. Paszkwile, pisma bezimienne jątrzą i zaogniają namiętności stronnictw: nic w nich nie uszanowano, dygnitarstwo świeckie, duchowne, ani nawet majestat królewski (3)...

Ale nie cały horyzont był tak posępny i ciemny: od Francyi i Litwy jaśniała teraz pełna pogoda. Stronnictwo dworskie wzmogło się licznymi członkami: cały senat litewski zdawał się dzielić przekonania królowéj. I znaczny kontyngens przyjaciół z Korony nie bardzo dawno powiększył się o jedną znamienitą osobistość: biskup bowiem kujawski, Fl. Czartoryski, wahający się długo między partyami, przechylił się jeszcze z końcem maja na stronę królowéj po owém zajściu na sejmiku proszowskim, gdzie to brat jego, ubiegający się o krakowskie podkomorstwo, poniósł klęskę w skutek intrygi marszałka. A biskup kujawski to najpierwszy po prymasie dygnitarz duchowny: on w nieobecności arcybiskupa gnieźn. koronuje króla. Czartoryski nadto cieszył się wielkiém poważaniem między szlachtą, nie tylko, jako potomek dawnych książąt litewskich, lecz głównie dla zacności charakteru i rozległéj wiedzy (4).

---

(1) T. Luk. XII, k. 96. De Lumbres à Louis XIV, Vars. 17 Juill. 1664.
(2) Ibid. u. s.
(3) T. Luk. XII, k. 106. De Lumbres à Louis XIV, Vars. 8 Août 1664.
(4) T. Luk. XII, k. 75. De Lumbres à Louis XIV, Vars. 29 Mai 1664.

W takiéj to chwili, kiedy z jednéj strony rozjątrzenie między stronnictwem francuskiém a Lubomirskim doszło do takiego stopnia, że o ugodzie myśléć było niepodobna a stosunki w takiém naprężeniu dłużéj też utrzymać się nie mogły i lada chwila otwartym groziły wybuchem (1),—z drugiéj zaś powodzenie króla między Litwinami, nadzieja pomocy szwedzkiéj i zapewnienia uroczyste Ludwika XIV dodawały otuchy dworowi a poczucie bezpieczeństwa i siły wzmacniały w obojgu królestwie—rodzi się pierwszy raz myśl śmiała usunięcia głowy opozycyi, marszałka w. kor., środkiem stanowczym, ale przecież możliwym, bo na pozorach legalności opartym, to jest drogą sądową (2). Wytoczy się mu proces o zdradę stanu, a jeśli zapadnie wyrok potępienia, runie wówczas znaczenie i potęga magnata i największy nieprzyjaciel ulegnie bezsilny, pozbawiony na zawsze możności dalszego knowania intryg na szkodę tronu i Francyi! (Takie było przynajmniéj przekonanie u dworu).

Od chwili, kiedy plan ten uśmiechnął się królowéj, staje się on głównym celem wszystkich jéj działań i zabiegów, zagarnia odtąd wszystkie siły stronnictwa: wobec niego inne kwestye i sprawy ustępują na plan drugi i trzeci. I już u wstępu, zanim Marya Gonzaga podzieliła się nową myślą z całém stronnictwem, nim przedsięwzięcie całe znalazło aprobatę królewską, zaszły pomyślne okoliczności, które ją utwierdziły w powziętym zamiarze. Oto udało się królowéj pozyskać, dzięki własnéj wymowie i większéj jeszcze wymowie pieniądza, Świderskiego, byłego marszałka konfederacyi wojskowéj (3). Obietnica pensyi 3.000 franków i natychmiastowa wypłata pierwszéj raty zdziałały cuda: Świderski wygadał się z wieloma rzeczami, poczynił ważne zeznania i podał wreszcie wszystko, co zeznał, na pi-

(1) T. Luk. XII, 93. De Lumbres à Louis XIV, Vars. 10 Juill. 1664.—Ibid. k. 106. De Lumbres à Louis XIV, Vars. 8 Août, 1664.

(2) Przytoczymy najpierw dwa miejsca, gdzie myśl ta zaznaczona jest tylko ogólnie.—T. Luk. XII, k. 87. De Lumbres à Louis XIV. Vars. 26 Juin, 1664: „On avisera pourtant aux moyens *de pousser à bout le maréchal*, étant autrement malaisé de rien faire qui vaille dans la diète."—Podobnież T. Luk. XXXIII, k. 92: Condé [à M. de Noyers]. Chantilly, 5/IX, 1664.—Jasno zaś i wyraźnie wypowiedziany plan ten znajdujemy pierwszy raz w liście de Lumbres'a do Ludwika XIV (T. Luk. XII, k. 93) z Warszawy, d. 10 lipca, 1664: „Quoiqu'il en soit, les écrits qui courent librement de part et d'autre sont si piquants et si satiriques et les choses en sont venues à un point, que la cour et le grand-maréchal se sont rendus irréconciliables et qu'il est malaisé qu'ils ne rompent avec éclat principalement, *si on lui donne la citation à la diète pour répondre à tous les points dont on le charge, ainsi que la reine estime être à propos de faire*, ne croyant pas qu'il y ait plus de mesures à prendre avec lui ni de conseils à embrasser"...

(3) T. Luk. XII, k. 96: De Lumbres à Louis XIV, Vars. 17 Juill. 1664.

śmie (1). Miały się tam znajdować fakta, silnie obciążające Lubomirskiego, bo Kondeusz nawet znajdował ten dokument wielce ważnym i doniosłym (2). Za tym sukcesem przyszedł drugi: sprowadzono do Warszawy owego mnicha, którego Lubomirski wysyłał niegdyś do Litwy: badany poczynił i ten także pewne zeznania co do intryg marszałka w w. księstwie litewskiém (3).

W tych okolicznościach król przyjął w zupełności myśl królowéj. W połowie sierpnia miała się odbyć rada senatu w Warszawie: otóż postanowiono, że przy zjeździe wybitniejszych stronników francuskich sprawa pozwania marszałka przed sąd sejmowy zostanie z nimi bliżéj omówiona i plan dalszego postępowania w téj mierze ostatecznie ułożony. Rada senatu rozpoczęła swe posiedzenia 18 sierpnia. Zjechało na nią oprócz obu kanclerzów i podskarbiego w. kor. pięciu biskupów, pięciu wojewodów i tyluż kasztelanów. Zjazd nie był więc wielki. Prymasa zatrzymała w łóżku choroba. Marszałka nawet nie zaproszono: kiedy rozprawiano nad tém na pierwszém posiedzeniu rady, czy nie wypadnie go przecież bądź co bądź zawezwać, król się stanowczo sprzeciwił (4). Głównym przedmiotem obrad senatorskich była redakcya propozycyi królewskiéj, którą się następnie miało przedłożyć przyszłemu sejmowi do rozważenia. Oznaczono daléj na otwarcie sejmu dzień 26 listopada; termin opóźniony umyślnie dla tego, że partyi dworskiéj zależało na obiorze kilku uległych królowi posłów deputatów z trybunału lubelskiego: ponieważ zaś kadencya trybunału kończyła się dopiero 4-go października, a wybory posłów musiały się odbyć co najmniéj na sześć tygodni przed rozpoczęciem sejmu, więc w razie przyśpieszenia terminu nie starczyłoby już czasu na legalne ich przeprowadzenie (naturalnie w rzeczonym trybunale) (5).

Poseł cesarski, który już był królestwo pożegnał i zabierał się do odjazdu, na wieść o zjeździe senatu przedłużył swój pobyt w Warszawie, aby jeszcze być świadkiem tych obrad. Kiedy jednakowoż senat załatwienie żądania jego co do pomocy przeciwko Turkom odłożył do sejmu głównego, nie czekając dłużéj odjechał do Wiednia 26 sierpnia (6).

Tymczasem zgromadzeni w Warszawie poufni stronnicy królowéj rozbierali kwestyę dalszego postępowania w sprawie elekcyi

(1) T. Luk. XII, k. 99. De Lumbres à Louis XIV, Vars. 24 Juill. 1664.
(2) T. Luk. XXXIII, k. 92. Condé [à M. de Noyers]. Chantilly, 5/IX, 1664.
(3) T. Luk. XII, k. 106. De Lumbres à Louis XIV, Vars. 8 Août 1664.
(4) T. Luk. XII, k. 112. De Lumbres, à Louis XIV, Vars. 21 Août 1664.
(5) T. Luk. XII, k. 115: De Lumbres à Louis XIV, Vars. 29 Août. 1664.
(6) T. Luk. XII, k. 115: De Lumbres à Louis XIV, Vars. 29 Août 1664

i Lubomirskiego. Trzeba było nareszcie rozstrzygnąć, czy pozwać marszałka przed sąd sejmowy, czy jeszcze zatrzymać sprawę w zawieszeniu. Czas był ostateczny: miesiąc ledwie pozostawał do namysłu, bo w październiku rozpocząć się miały sejmiki wyborcze. Zdania były podzielone: nawet królowa wahała się, nękana rozmaitemi wątpliwościami i obawami (1). Ostateczną decyzyę przeciągał głównie biskup krakowski, który zjawił się na dworze z ofiarą pośrednictwa między dwoma obozami. Trzebicki od dawna, bo jeszcze od początku wojny szwedzkiéj, zdecydowanym był stronnikiem cesarza. Żył on dłuższy czas w rozdwojeniu i niezgodzie z marszałkiem; teraz wspólność interesów i sympatyi austryackich zbliżyła zapewne do siebie napowrót obu tych ludzi, bo od maja r. 1664 począwszy widzimy ich zawsze działających w porozumieniu. Lecz jeśli Lubomirski postępował stale z pewną bezwzględnością, nie oglądając się na nic i na nikogo: to wszystkie czynności Trzebickiego cechuje usilne dążenie do pokojowego załatwienia sprawy, do załagodzenia wszelkich sporów na drodze układów, ale naturalnie układów takich, któreby nie naruszyły interesów cesarskich. Dlatego będziemy Trzebickiego przez cały rok spotykać w jednéj i téj saméj zawsze roli medyatora. Jako taki działa on już po części w maju przed wyjazdem z Warszawy na pożegnalnéj audiencyi u królowéj (2); teraz jednak występuje z całkowitém pełnomocnictwem i z jasno wytkniętym programem. Nie szczędząc czasu i wymowy usiłuje przekonać króla i królowę, o dobrych chęciach marszałka: zapewnia, że Lubomirski na przyszłość wszystkie swe siły poświęci interesom dworu. Zabiegi te były już jednak spóźnione, przyrzeczenia nie wywarły żadnego skutku. Królestwo okazali się niewzruszonymi. Wiedziano, że jeśli Lubomirski rzeczywiście myśli o zgodzie, to tylko z obawy, aby dwór ostatecznych przeciw niemu nie chwycił środków (3). Pytano biskupa, jaką może dać rękojmię, że marszałek dotrzyma przyrzeczeń i zechce w nich wytrwać na długo, on, który już tyle razy sprawił zawód dworowi i złamał niejednokrotnie uroczyste zobowiązania. Napróżno wystawiał Trzebicki, że już to samo niemałą będzie korzyścią, jeśli Lubomirski, związany ugodą, ważności sejmu nie skazi swoją intrygą: odpowiedziano mu na to, że dwór nie myśli robić ugód połowicznych, na jeden albo dwa tylko miesiące, że zresztą ufać nie może marszałkowi nawet i w razie ugody, bo jakaż pewność,

(1) T. Luk. XII, k. 112. De Lumbres à Louis XIV, Vars. 21 Août 1664.
(2) T. Luk XII, k. 75: De Lumbres à Louis XIV. Vars. 29 Mai 1664.
(3) T. Luk. XII, k. 112: De Lumbres à Louis XIV, Vars. 21 Août 1664.

że i wtedy zachowując pozory przychylności nie przestanie mącić sejmu tajemnie, przez drugie osoby (1)? Jedném słowem misya Trzebickiego zupełnie się nie powiodła: kwaśny i niekontent, że chybił celu, który obiecywał sobie (jak się de Lumbres dowiedział) osiągnąć bez trudu, opuścił biskup z końcem sierpnia Warszawę (2).

Dwór, niechciał zatém, jak widzimy ani myśléć o zgodzie. Jeśli dotąd wahano się co do ostatecznego kroku, to jest sądownego zapozwania marszałka, to jedynie ze względu na niepomyślną sytuacyę polityczną rzeczypospolitéj i w obec obaw, jakie nasuwały stosunki marszałka z zagranicą. Na Ukrainie ciągle jeszcze trwały niepokoje i rozruchy. Sejm przypadał właśnie na czas, kiedy wojska bawiły wszędzie na leżach zimowych: mieli zatém sąsiedzi, cesarz i elektor armię nieczynną i gotową do działania pod ręką i zachodziła obawa, czy nie zechcą jéj użyć do wywarcia nacisku na sejm, do wymuszenia na senatorach wyroku, wyzwalającego marszałka. Brakło téż jeszcze dostatecznych przeciw niemu dowodów; nie było pewności co do zapatrywań na tę sprawę większości senatorów, jak nawet prymasa Leszczyńskiego, a od tego zależało powodzenie całego przedsięwzięcia, bo w razie rozstrzelenia wotów w sądzie większość jednego głosu na korzyść marszałka wystarczyłaby, aby dać możność oczyszczenia się od zarzutu zbrodni stanu za pomocą przysięgi. Ostatecznie jednak uradzono, że nie pozostaje inna droga wyjścia, jak sądowne ściganie znienawidzonego przeciwnika. Uspakajano się nadzieją, że jeszcze się wynajdą cięższe zarzuty, że i reszta senatu, chwiejna dotąd, da się przejednać dla sprawy królowéj: a jeśli senat stanie przeciw Lubomirskiemu, to nie ma wątpliwości że wyrok potępiający zostanie przez większość sądu potwierdzony, bo oprócz senatorów zasiędzie w nim ośmiu deputatów stanu szlacheckiego, mianowanych przez marszałka sejmu. Dość było więc przeprowadzić wybór marszałka z pomiędzy stronnictwa francuskiego, aby i deputatów mieć przychylnych dworowi (3).

W pośród tych rozpraw, podczas rady senatorskiéj i bezpośrednio po niéj (senat skończył swe obrady w ośmiu dniach, a więc około 26 sierpnia (4)) toczyły się téż dalej układy z posłem szwedzkim. Dotąd rozbijało się wszystko o ten skrupuł, że Szwecya żądała, aby traktat, jeśli przyjdzie do skutku, został ratyfikowany przez sejm główny, a i królowa i senatorowie wątpili bardzo, czyli szlachta na

---

(1) T. Luk. XII, k. 114: De Lumbres à M. de Lionne, Vars. 22 Août 1664.
(2) T. Luk. XII, k. 115: De Lumbres à Louis XIV, Vars. 29 Août 1664.
(3) T. Luk. XII, k. 115—16. De Lumbres à Louis XIV, Vars. 29 Août 1664.
(4) Ibid. u. s. (k. 116).

szwedzko-polski związek, dworowi tak potrzebny, zgodzić się zechce. Otóż na audiencyi u królowéj i na pierwszéj konferencyi z komisarzami, których mu wyznaczono do dalszego traktowania sprawy, Palbicki, dotąd postępujący z wielką restrykcyą, złożył nareszcie zapewnienie, że Szwecya gotowa jest w dwa miesiące po zawarciu traktatu wystąpić czynnie przeciw Rosyi, nie czekając wymiany ratyfikacyj. Rada senatu oświadczyła się w obec tak pomyślnych warunków niezwłocznie za przymierzem. Jeden tylko Trzebicki oponował (1). Tymczasem jednakże poseł szwedzki nie długo wytrwał przy swojém zapewnieniu. Na drugi dzień, kiedy de Lumbres udał się do niego, jako uproszony na pośrednika, począł Palbicki wycofywać swoje oświadczenie, dawnemi ogólnikami wymijając wszystkie zarzuty. Kanclerz w. kor. miał mu powiedziéć, że traktat bez ratyfikacyi nie posiada żadnego znaczenia. Nie wypada mu więc krępować Szwecyi zobowiązaniami, jeśli nie widzi rękojmi, że i druga strona ich dotrzyma. Układy wróciły zatém do takiego stanu, w jakim się znajdowały na początku. Komisarze nie mogli traktować na innych warunkach, jak te, które dopiero co rada senatu jako normę przyjęła (2). Nic nie pomogły przedstawienia, czynione posłowi, że jeśliby chciał czekać ratyfikacyi, to nie będzie mogła sprawa przyjść do skutku w bieżącym roku, bo w kraju zanosi się na burzę i sejm niezawodnie zostanie zerwany; napróżno powoływano się na przykłady że ilekroć jakie państwo zawierało przymierze z rzeczpospolitą, przystępowało natychmiast do działania w myśl takowego, nie czekając potwierdzenia sejmu. Poseł szwedzki obstawał przy swojém (3), ba nawet wystąpił nareszcie z zastrzeżeniem, że Szwecya spodziewa się, iż w zamian za korzyść, jaką Polska przez ten traktat osiąga, i senat poczyni nawzajem jakieś ustępstwa (4). Po długich naleganiach i zabiegach de Lumbres'a, dał się Palbicki zaledwie nakłonić do przyrzeczenia, że przedstawi rządowi swemu żądania dworu polskiego i będzie je ze swojéj strony popierać (5). W niczém nie ustąpiwszy, z tém jedyném gołosłownem przyrzeczeniem, odjechał téż poseł 11 września do Sztokholmu (6).

Z całego postępowania Palbickiego widać, że Szwecya nie miała bynajmniéj tak wielkiéj ochoty do ustępstw i nie zdradzała wcale ta-

(1) T. Luk. XII, k. 119. De Lumbres à Louis XIV. Vars. 29 Août 1664.
(2) T. Luk. etc. u. s. (k. 120).
(3) T. Luk. XII, k. 121. De Lumbres à Louis XIV, Vars. 29 Août 1664.
(4) T. Luk. etc. u. s. (k. 122—3).
(5) T. Luk. XII, k. 126: De Lumbres à Louis XIV, Vars. 4 Sept. 1664.
(6) T. Luk. XII, k. 128. De Lumbres à Louis XIV, Vars. 11 Sept. 1664.

kiéj gotowości do popierania interesów francuskich w rzeczypospolitéj, jak to pewny siebie Ludwik XIV w listach swoich zapowiadał...

Stronnictwo dworskie było na tyle przezorne, że nie rozpuszczało wieści o niepowodzeniu tych układów: owszem podtrzymywało opinię o dobrém ich zakończeniu. Dlatego też, mimo że właściwie między stronami traktującemi do niczego stanowczego nie przyszło, w Polsce w kołach, poza dworem stojących, powszechne było mniemanie, że przymierze szwedzko-polskie tajemnie zostało zawarte i należało już do faktów dokonanych; a i to w braku rezultatów pozytywnych było królowéj w dalszém działaniu bardzo na rękę.

(*d. c. n.*) *Wiktor Czermak.*

Z WIKTORA HUGO

SUMIENIE.

(LEGENDY WIEKÓW. II).

Gdy z dziećmi, co na siebie skóry zwierząt wkładły,
Kain, z włosem rozwianym w błyskach burzy, zbladły,
Przed Pańskim pierzchał gniewem strasznie grzmiącym z góry,
Na schyłku dnia, o zmroku, przybył człek ponury
Do stóp szczytu, a ten się piętrzył wśród przestrzeni—
Wtedy żona i syny wielce utrudzeni
Rzekli mu: — Ledz i spać tu czyż nam ziemia wzbroni?—
On, snu nie znając, dumał. Wtém, gdy uniósł skroni,
Spojrzy, a oto z głębi niebios gdzieś, szeroko
Rozwarte, w smutnych nocy cieniach świta oko,
I bystro w niego patrzy. Zaczem, czując dreszcze,
Rzekł on do siebie: — Jestem nazbyt blisko jeszcze.—
Więc zbudził śpiące syny, z sił opadłą żonę,
I jął daléj w przestwory dążyć zamroczone,
I tak szedł dni trzydzieści, nocy szedł trzydzieści,
Szedł niemy, blady, trwożny wszystkiém co szeleści,
Skradając się, za siebie nie śmiąc pójść oczyma,
Snu nie znając, ni wczasu — aż go wreszcie wstrzyma
Brzeg morski, kędy późniéj były Assur kraje.
— To jest miejsce bezpieczne — rzekł — i tu zostaję,
Bośmy doszli ostatka dróg przy świata kresie.—
Wtém, gdy siadając, wzrok swój w mroczne nieba wzniesie,
Spojrzy — a tam jak wprzódy oko tkwi złowieszcze.....
Wtedy go rozebrały czarnéj nocy dreszcze.
— Skryjcie mię! — wołać począł. -- Do ust cisnąc palce,
Patrzą wnuki, jak dziad się zatrząsł twardy w walce.—
Rzekł Kain do Jabela, ojca nad tych zgrają,
Co się w jurtach z wojłoku wpośród puszcz tułają:

— Rozciągnij-no z téj strony płaty twe szerściane.—
Więc zdziałano jak żądał tę drgającą ścianę,
A gdy wag ołowiami wryto ją z ukosa:
— Cóż? nie widzisz nic? — rzekła Tsilla płowowłosa,
Cór jego córa — gładka, jak już nie ma gładszéj.
A Kain odpowiedział: — Oko to wciąż patrzy.—
Wtedy Jubal, tych ojciec, którzy w gród osiadły
Wchodzą, w trąby dmąc, oraz czyniąc zgiełk brzękadły,
Zawołał: — Precz z przegrodą, wiotką jako trzcina!—
Więc, ulawszy mur z brązu, dał go przed Kaina.
A ten mówił: — To oko ciągle patrzy we mnie.—
Rzekł Henoch: — Trzeba dźwignąć wieżyc gęste ciemnie,
Tak straszliwe, by nikt tam nie śmiał podejść zbliska.
Zbudujmy gród i groźne ze wszech stron grodziska.
Zbudujmy gród, a potém zamkniem go najszczelniéj.—
Więc Tubalkain, z ludźmi młota oraz kielni,
Wzniósł miasto tak ogromne, że aż nadczłowiecze.
A tymczasem, ród jego, na płaszczyznach siecze
Plemię Enos i dziatwie Seth na karki skoczy,
I każdy kto szedł tędy miał wydarte oczy,
Wieczorem zaś ku gwiazdom posyłano strzały.
W miejsce płacht namiotowych granit stanął trwały,
Żelaznemi węzłami bryłę z bryłą spięto,
I gród zdawał się rzeczą z piekła wyzioniętą.
Cień wież jego na pola zmrok zarzucał szary,
Głazom dano i grubość gór i ich wymiary,
Nad drzwiami zaś wyryto: — Niech się Bóg nie waży
Wejść tu! — Gdy już ustała czynność kamieniarzy,
W zrąb warowni środkowéj wprowadzono dziada.
Ten zaś milczał, zdziczały. Wtedy Tsilla blada:
— Mój ojcze, czy już znikło? — rzekła czując mrowie.
— Jest zawsze jak i było — Kain jéj odpowie.
Wtedy rzekł: — Chcę wśród głuchych mieszkać gdzie podziemi,
Jak samotnik z myślami pogrzebany swemi —
Niech mię już nic, ni ja téż nic nie widzę zgoła! —
Więc wiercono głąb w skale, aż on: — Dość! — zawoła.
Poczém, sam jeden zstąpił w czeluść zamroczoną.
A kiedy siadł, i kiedy nad nim już zwalono
Głaz, od czego do szczętu zgasła światłość sina —
Oko tkwiło w sklepieniu, patrząc wciąż w Kaina. —

Felicyan.

PSYCHOLOGIA DOŚWIADCZALNA.[1]

4. „Postrzeganie jest pierwszém walném źródłem poznania. Jest ono atoli czynnością chwilową, i gdybyśmy byli ograniczeni do samego tylko zmysłowego poznania rzeczy, poznanie to nie miałoby żadnéj trwałości. Istnienie poznania trwałego zależy na tém, że wrażenia, jakich umysł doznaje w postrzeganiu, pozostają w nim i przechowują się nawet po usunięciu przedmiotu. Innemi słowy, postrzeżenie zostaje w umyśle przechowywaném w pewien sposób i nadal. Formą, w jakiéj postrzeżenie objawia się, gdy odpowiadający mu przedmiot jest nieobecny, jest obraz umysłowy, umysłowe jego przedstawienie.“ Przedstawienie to nazywa się w naszym języku wyobrażeniem.

Od wyobrażenia należy odróżniać tak zwany po-obraz, który, będąc bezpośredniém następstwem postrzeżenia, zależy od tego, że rozbudzone w ośrodkach nerwowych działanie nie ustaje od razu. Wyobrażenie tém głównie odznacza się, że posiada pewną trwałość i może się wznawiać, odtwarzać po znacznym przeciągu czasu od chwili, w któréj miało miejsce postrzeżenie.

Wyobrażenie zachodzi w tych samych ośrodkach nerwowych, co i postrzeżenie i fizyologicznym jego współczynnikiem jest także sama odmiana nerwowa, jaka towarzyszyła postrzeżeniu, tylko że odmiana ta powstaje tym razem niezależnie od obwodowych podrażnień, które są koniecznym warunkiem postrzegania.

Zdolność wznawiania, odtwarzania wrażeń i postrzeżeń przedtém doznanych, nazywa się wyobraźnią. Na niższym stopniu swego rozwoju wyobraźnia jest odtwarzającą. Wyższy jéj stopień stanowi wyobraźnia twórcza.

---

(1) Ob. zeszyt wrześniowy „Ateneum“, str. 471—494.

Działanie wyobraźni odtwarzającéj ogranicza się do powtórzenia w wyobrażeniu wszystkich szczegółów w tym samym porządku, w jakim były dane w postrzeżeniu. Do niéj więc zaliczyć potrzeba także ową sprawę umysłową, którą nazywamy pamięcią. Polega ona na zdolności zatrzymywania i zachowywania w umyśle wrażeń i postrzeżeń doświadczonych. Wznawianie zaś, wskrzeszanie nowych wrażeń i spostrzeżeń, stanowi osobną czynność umysłową, znaną pod imieniem przypomnienia.

Wyobrażenie różni się od postrzeżenia tém głównie, że będąc kopią tego ostatniego, jest od niego mniéj żywém i wyraźném—jakkolwiek w pewnych wypadkach—w złudzeniach—może ono wystąpić z siłą, równą postrzeżeniu.

W wieku dojrzalszym, podobnie jak każdemu wrażeniu rzeczywistemu towarzyszą wrażenia odtworzone, tak każdemu postrzeżeniu towarzyszy wyobrażenie. Poznać bowiem przedmiot, jestto utożsamić go z innym, dawniéj już poznanym i przechowanym w umyśle, jako wyobrażenie.

Doskonałość wyobrażenia polega na jego jasności, wyrazistości i dokładności. Wszystkie szczegóły wyobrażenia powinny przedstawiać się jasno; samo zaś wyobrażenie, jako całość, musi wyraźnie odróżniać się od innych. Ponieważ wyobrażenie jest tylko odtworzeniem postrzeżenia, ma ono być dokładném, t. j. zawierać w sobie wszystko, co było danéм w postrzeżeniu i być wolném od wszelkiéj przymieszki obcych pierwiastków.

Zdolność odtwarzania w umyśle, czyli przypominania wrażeń i postrzeżeń dawniéj doznanych, zależy od dwóch warunków: od głębokości wrażeń i od kojarzenia.

Wrażenia i postrzeżenia, ażeby mogły się wryć głęboko w umyśle i pozostawić w nim niezatarte ślady, potrzebują częstego i to nie w wielkich odstępach czasu powtarzania, któremu by towarzyszyła pilna uwaga.

Żeby zaś wyobrażenia mogły się odtwarzać, wskrzeszać, potrzebną jest obecność czegoś, coby je przypominało, co by je nasuwało na myśl. Ażeby np. odtworzyć sobie w umyśle rysy znanéj nam osoby, wystarcza wymienienie jéj nazwiska. Widok miejsca przywodzi na pamięć zdarzenie, jakie na niém zaszło. To wiązanie się z sobą wyobrażeń w grupy, mocą czego jedno z nich przypomniane pociąga za sobą przypomnienie innych, stanowi sprawę umysłową, zwaną kojarzeniem czyli asocyacyą.

Wyobrażenia kojarzą się w dwojaki sposób: na mocy zetknięcia, czyli przyległości i przez podobieństwo. Jeżeli dwa przedmioty leżą obok siebie, to postrzegając jeden z nich, postrzegamy zarazem

i drugi. Ta współbytność przedmiotów, nastręczając się często naszéj uwadze, ustala między odpowiadającemi im wyobrażeniami pewien związek, wytwarza w nich skłonność do jednoczesnego wznawiania się. W ten sposób, gdy jedno z nich jest danéｍ, natychmiast i drugie samorzutnie, z mechaniczną koniecznością, po niém następuje. To samo dzieje się z dwoma wyobrażeniami, odpowiadającemi dwom zdarzeniom, które po sobie następują, czyli stykają się z sobą w czasie. Przypomniany poprzednik przywoływa na pamięć następnik. W odwrotnym porządku przypomnienie mniéj jest łatwem. Mając dany następnik, nie zawsze możemy przypomniéć jego poprzednik.

Co się powiedziało o dwóch wyobrażeniach, należy rozumiéć i o większéj ich ilości. Za pomocą kojarzenia układają się one w mniejsze i większe grupy, w szeregi pojedyncze i złożone.

Fizyologiczną podstawą kojarzenia jest fakt, że dwa lub więcéj pierwiastków nerwowych, działając często wspólnie, nabierają usposobienia do działania jednoczesnego i nadal. Można przypuszczać, że między działającemi wspólnie ośrodkami nerwowemi wytwarzają się linie nerwowych pobudzeń, za pomocą których to linii działanie jednego ośrodka udziela się natychmiast innym.

Kojarzenie nie ogranicza się zresztą do samych tylko wyobrażeń i pojęć, zagarnia ono pod siebie także uczucia i działanie, słowem, wszystkie stany umysłu. Jest ono więc prawem umysłu ogólném. W każdym razie nie jest ono niczém więcéj, jak dążnością, która nie zawsze się objawia i nie w każdym przypadku odznacza się tą samą siłą. Energia jego zależy od tego, jak często pewne wyobrażenia występowały w jednéj grupie, jak często ich kojarzenie powtarzało się, a następnie, jaki rodzaj uwagi towarzyszył ich powtarzaniu. Szczególne w tym razie ma znaczenie uwaga łącząca (*conective*).

„Porządek naszych wyobrażeń nie całkiem zależy od porządku zewnętrznego. Do pewnego stopnia my sami ustanawiamy ów porządek za pomocą kierunku, jaki nadajemy naszéj uwadze. Żywe zainteresowanie się przedmiotem jest czynnikiem, który bardzo ważną rolę odgrywa w ustaleniu powstałych związków umysłowych. Uwidocznia się to jaskrawo, gdy porównamy odmienne wewnętrzne wypadki, jakie ten sam zewnętrzny porządek wrażeń wywołuje w różnych umysłach. Opowiadanie o tym samym wypadku dwóch osób, które zarówno były obecnymi jego świadkami, ale które znacznie różnią się od siebie stopniem wykształcenia, nie będą do siebie podobne. W opowiadaniu jednego brak będzie logicznego powiązania części — w opowiadaniu drugiego przeciwnie zachowany będzie

najściślejszy związek logiczny. Różnica ta pochodzi stąd, że uwaga człowieka niewykształconego będąc przeważnie automatyczną, kierowała się samą wrażliwością na zewnętrzne bodźce, podczas kiedy uwaga człowieka wykształconego będąc dowolną, kierowana była chęcią dokładnego powiązania szczegółów i zrozumienia.“

Większa część naszéj wiedzy składa się z oddzielnych szeregów kojarzeń, odpowiadających oddzielnym i powtarzającym się często szeregom faktów rzeczywistych. Do ważniejszych szeregów kojarzeń należą: symbole wzrokowe, wyobrażenia ruchów i mowa.

Do symbolów wzrokowych należą znaki muzyczne, litery i cyfry. Tylko drogą częstego powtarzania i pilnéj uwagi dochodzimy do takiéj wprawy w pojmowaniu owych symbolów, że widok znaku muzycznego, litery pisanéj lub drukowanéj, oraz cyfry przypomina w téj saméj chwili skojarzone z niemi znaczenia. Że doraźne ich pojmowanie jest dziełem przyzwyczajenia, dowodzi tego praca, z jaką nabywamy powoli biegłości w ich odczytywaniu.

To samo dzieje się i z ruchami, za pomocą których wykonywamy swe czynności. Każda nasza czynność poprzedzaną bywa mniéj lub więcéj wyraźném wyobrażeniem o ruchach, jakie są potrzebne do jéj wykonania. Wyobrażenie to kojarzy się z pewną czynnością tylko mocą często powtarzanego doświadczenia. Stąd każda czynność wymaga długiéj wprawy. Dodać wszakże należy, że ruchy mniéj silnie kojarzą się z sobą i z zamierzoną czynnością, niż symbole wzrokowe, i dla tego wykonywanie ich potrzebuje często pomocy wzroku, jak to np. dzieje się przy pisaniu.

Mowa ludzka przedstawia szereg kojarzeń bardziéj złożony i skomplikowany. Łączą się tu z sobą w jednę grupę dźwięki głosowe, odpowiednie im ruchy narządów głosowych, wzrokowe symbole i dopiero znaczenie, jakie do nich przywiązujemy. Ponieważ mowa jest główném narzędziem porozumiewania się z sobą ludzi, żyjących w społeczeństwie, przeto drogą ciągłego używania ustala się najsilniejszy związek między symbolami głosowemi, wyrazami, a odpowiadającemi im wyobrażeniami. Stanowi ona szereg kojarzeń najpotężniejszych.

Tak pojedynczym naszym wyobrażeniom, jak i ich grupom skojarzonym towarzyszy zawsze przekonanie, że odpowiadają one pewnym faktom rzeczywistym — jakoż odnosimy je zawsze, chociaż to odnoszenie nie zawsze jest wyraźne, do jakiegoś wypadku i do mniéj lub więcéj określonego czasu, w którym wypadek ów miał miejsce. Odnoszenie to wyobrażeń do pewnego czasu występuje w dwóch formach: pamięci, gdy wyobrażenie nasze odnosimy do faktu, który

się zdarzył w przeszłości, i oczekiwania, gdy je odnosimy do przyszłości, t. j. do faktu, który dopiero ma nastąpić.

Rozwój tak pamięci w powyższém znaczeniu, jak i oczekiwania idzie w parze z rozwojem wyobrażenia o czasie, które wtedy dopiero ustala się, gdy wytworzy się w naszym umyśle wyobrażenie o następstwie wydarzeń. To zaś wyobrażenie polega na tém, że uważając następujące po sobie wydarzenia, przedstawiamy je w umyśle razem, jako następujące po sobie w téj saméj chwili. Punktem oparcia dla takiego przedstawienia jest zwykle doświadczenie obecne, które odnosimy pospolicie do doświadczenia wyobrażanego, t. j. takiego, co albo już miało miejsce chwilę przedtém, albo jest oczekiwaném. — Wyobrażenie o następstwie wydarzeń służy za podstawę dla naszych wyobrażeń o przeszłości i przyszłości, oraz daje nam możność umiejscowiać w szeregu zdarzeń przeszłych nasze wspomnienia.

Jakoż wtedy dopiero, gdy pamięć rozwinie się w formie doskonale uporządkowanych wspomnień, występuje wyraźne samopoznanie, świadomość indywidualnéj tożsamości, jako idea stałego *ja*, istniejącego niezmiennie, pomimo licznych zmian codziennego doświadczenia. Ponieważ świadomość siebie wymaga znacznego rozwoju wyobraźni, dla tego téż objawia się ona późniéj, niż świadomość rzeczy zewnętrznych.

Jakkolwiek kojarzenie na mocy przyległości obejmuje największą część faktów pamięci, nie jest ono jednakże jedyną jéj zasadą. Obok niéj występuje czynnie kojarzenie przez podobieństwo. Polega ono na tém, że dane wrażenie lub wyobrażenie przywołuje na pamięć inne, których doświadczyliśmy i które są do nich podobne. Doświadczenia, w ten sposób skojarzone, mogą być od siebie bardzo odległe tak pod względem czasu, jak i przestrzeni.

Niektórzy psychologowie obie te zasady starają się sprowadzić do jednéj, upatrując w przyległości podobieństwo, lub odwrotnie w podobieństwie zasadę przyległości. Takie jednakże sprowadzanie dwóch tych zasad do jednéj nie daje się usprawiedliwić. W większéj części kojarzeń czynnemi są oba te pierwiastki, są przecież i takie, w których występuje tylko zasada podobieństwa, jak np. gdy spotkawszy jakąś osobę, uznaję, że już ją kiedyś widziałem, że nie jest mi obcą. Zresztą ważna zachodzi różnica między kojarzeniem przez zetknięcie, a kojarzeniem przez podobieństwo. W kojarzeniach przez zetknięcie, które są czysto automatyczne, współczynniki przypomniane występują jako coś, co się zupełnie różni od czynnika przypominającego, gdy tymczasem w kojarzeniu przez podobieństwo ma miejsce utożsamianie, branie za jedno czynnika przypominającego i przypomnianego.

Zasada podobieństwa odgrywa ważną rolę w biegu naszych wyobrażeń. Wielkie pod tym względem znaczenie ma analogia uczuć. Pewna rzecz może nam przypomniéć drugą, niczém z tamtą niezwiązaną, tylko na pomocy tego, że obie one wywołują w nas to samo uczucie. To nam tłómaczy np. kojarzenie pewnych barw z pewnemi dźwiękami.

Zasada podobieństwa szczególniéj okazuje nam pomoc w nabywaniu wiadomości, jak np. w nauce języków. Wszelkie w ogóle nabytki poznania utrwalają się przez to, że je łączymy na zasadzie podobieństwa z zasobem wiedzy przez nas posiadanéj.

Co się tyczy zasady przeciwieństwa, to ta zbyt mały udział bierze w sprawach pamięci; główna jéj rola polega na tém, że podnieca ona naszą uwagę i pozwala przez to głębiéj wrazić w umyśle wrażenia i wyobrażenia, które są bądź niezwyczajne, bądź sprzeczne z temi, jakich zwykle doznajemy.

Kojarzenie wyobrażeń nie ogranicza się na układaniu ich w oddzielne szeregi, lecz po kolei same te szeregi łączy w większe grupy, które znowu wiążą się z sobą za pośrednictwem wspólnych wyobrażeń. Tym sposobem całe nasze poznanie, co więcéj—całe życie umysłowe składa się z gęsto przetkanéj sieci kojarzeń, któréj nici rozbiegają się w różnych kierunkach. Różne nici kojarzeń, zbiegające się do jednego punktu, stanowią kojarzenie zbieżne. Oznacza ono, że to samo wyobrażenie może być przypomnianem za pośrednictwem kilku nastręczających czynników. Przeciwnie, jeżeli jedno wyobrażenie, będzie skojarzoném z wielu innemi, nie mającemi z sobą nic wspólnego: mamy wtedy do czynienia z kojarzeniem rozbieżném, które ze względu, że utrudnia swobodny bieg wyobrażeń w rozpoczętym kierunku, może być uważane jako kojarzenie tamujące (*obstructive*).

Odtwarzanie wyobrażeń jest sprawą czysto mechaniczną, dokonywającą się mocą praw, rządzących kojarzeniem. Przykładem takiego biernego odtwarzania są marzenia, w których wola żadnego nie bierze udziału, w których jesteśmy biernymi świadkami przesuwających się obrazów. Czynném staje się ono dopiero wtedy, gdy za pomocą uwagi nadajemy mu kierunek pewny, kontrolujemy jego przebieg, usuwając na bok wyobrażenia, które nie mają związku z naszym zamiarem, a zatrzymując te, które uznajemy za potrzebne dla siebie. Najwyższy stopień czynnego przypominania osiągamy wtedy, kiedy z całą swobodą możemy wybierać z zasobu wiadomości naszych wyobrażenia, jakie na razie są nam potrzebne.

Zdolność przypominania bywa rozmaitą w różnych zakresach poznania. Rzeczy często powtarzające się i znajdujące w najbliż-

szém otoczeniu, przypominają się łatwo i bez wysiłku; inne zaś, z któremi rzadko się spotykamy, mogą być nawet całkowicie zapomniane.

Pamięć, jakkolwiek mówimy o niéj, jako o władzy pojedynczéj i niepodzielnéj, w gruncie rzeczy składa się z licznych części. Inną jest pamięć wzrokowa, a inną muzyczna. Co więcéj w zakresie téj saméj pamięci zachodzą jeszcze liczne podziały. Jeden odznacza się pamięcią barw, drugi kształtów, trzeci znowu miejscowości. Człowiek, posiadający pamięć dźwięków muzycznych, nie koniecznie ma się również odznaczać pamięcią dla członkowanych głosów mowy.

W ogóle mówiąc, doskonałość pamięci w tym lub innym kierunku zależy tak od doskonałości narządów zmysłowych, jak i od plastyczności mózgu. Im który zmysł posiada wyższą zdolność odczuwania najmniejszych różnic, tam i pamięć w zakresie odpowiednich wrażeń jest większa. Co się tyczy plastyczności, to należy przez nią rozumiéć zdolność mózgu ulegania wszelkim zmianom pod względem swego wewnętrznego utkania — zmianom, które towarzyszą wszelkim sprawom umysłowym.

Pamięć u różnych ludzi bywa różną, nie tylko pod względem specyalnego kierunku, ale w ogóle, jako zdolność zachowywania nabytych wiadomości. Scaliger, Pascal dają nam przykład nadzwyczajnéj pamięci we wszystkich kierunkach; Vernet i Doré—pamięci kształtów, Mozart—pamięci dźwięków muzycznych. Że ważną pod tym względem rolę odgrywają przyrodzone różnice, nie ulega wątpliwości; ale również jest pewném, że wprawa, ćwiczenie spotęgowuje do wysokiego stopnia zdolność zapamiętywania. Jakoż faktem jest niezawodnym, że ludzie wykształceni odznaczają się znacznie większą pamięcią od ludzi niewykształconych.

5. Wyobrażenia, przechowywane w pamięci, ulegają zwykle bezwiednemu przeobrażeniu. Rzadko kiedy zdolni jesteśmy odtworzyć dokładnie minione wypadki, szczególniéj, jeżeli te są dość odległe. Zostawione przez nie w umyśle obrazy doznają licznych zmian. Jedne z ich części składowych wypadają całkiem z pamięci, inne znacznie zacierają się i przez to samo ulegają zmianom. Stąd następne wyobrażenia o tym samym przedmiocie zawierają już w sobie pierwiastki różnych pierwotnych obrazów. Dzieło przeobrażenia naszych wyobrażeń daléj jeszcze posuwa się za sprawą kojarzenia ich na mocy podobieństwa. Ten proces przeobrażania się naszych wyobrażeń, mocą którego zatracają one charakter kopii przedmiotów i zdarzeń rzeczywistych, stanowi istotę tego, co nazywamy twórczą wyobraźnią, albo fantazyą.

Działanie wyobraźni twórczéj objawia się w dwóch kierunkach: albo pomija ona niektóre szczegóły przechowanych w pamięci obrazów, albo też szczegóły różnych obrazów zestawia i układa nowe. Działanie to, początkowo bierne i czysto automatyczne, jak np. we śnie, albo w marzeniach dziecka, staje się świadomém i dowolném, gdy jest skierowane ku pewnemu celowi i przechodzi pod ścisłą kontrolę uwagi.

Materyałem dla wyobraźni twórczéj są naturalnie wrażenia i obrazy, zachowane w pamięci, czyli innemi mówiąc słowy, zakres doświadczenia. Po za ten zakres najbujniejsza fantazya wykroczyć nie zdoła, może ona swe obrazy tworzyć tylko z takich pierwiastków, jakich jéj pamięć dostarczyć zdoła. To też pierwszą czynnością twórczéj wyobraźni jest dokładne odtworzenie obrazów drogą kojarzenia. Wtedy dopiero rozpoczyna się właściwa czynność twórcza, polegająca na tém, że z dostarczonego przez pamięć materyału wybiera ona to, co odpowiada jéj zamiarowi i zatrzymuje w umyśle, wszystko zaś inne odrzuca. W téj czynności dwie sprawy należy odróżnić: naprzód jasne sformowanie zadania, a następnie poczucie tego, co temu zadaniu odpowiada. Stanowią one wytyczne punkty dla twórczéj czynności wyobraźni i wszelkie jéj wyrobki o tyle tylko mogą być doskonałemi, o ile się do nich jaknajściśléj zastosowują.

Czynność wyobraźni twórczéj rozwija się w trzech kierunkach: w zakresie wiedzy, kiedy jéj wytwory mają za zadanie ułatwić poznanie rzeczy; w życiu praktycznem, gdzie chodzi o poznanie, jak się rzeczy wykonywują, jakich środków trzeba dobierać do zamierzonego celu; w sztuce nareszcie, któréj powołaniem jest zaspokojenie potrzeb uczucia.

Rzecz jasna sama przez się, że rozszerzenie wiedzy naszéj po za granicę osobistego doświadczenia i obserwacyi nie może się obejść bez wyobraźni twórczéj. To, co nazywamy zwyczajnie uczeniem się, nie jest czynnością czysto pamięciową. Dla wyrozumienia słyszanych lub wyczytanych wyrazów potrzeba koniecznie jasno i żywo przedstawić sobie w umyśle obrazy przedmiotów i wypadków opowiadanych. Ponieważ poznanie zależy w ogóle na odróżnianiu i utożsamianiu, przeto ucząc się czegoś, musimy wszystko to, co jest nowém, odróżnić od nabytych przez nas dawniéj wiadomości, oraz wykryć w czém są do nich podobne. Otóż wytworzenie dokładnego i ściśle oznaczonego wyobrażenia nie może się dokonać bez udziału wyobraźni twórczéj. Ważniejszą atoli rolę odgrywa ona w umiejętnościach ścisłych. Ruch planet, obieg krwi, falowanie eteru, stanowiące istotę światła i ciepła, nie mogą być inaczéj pojętemi, jak za pomocą wyobraźni, działającéj na podstawie analogii z rze-

czami, dostępnemi zwykłemu postrzeganiu. Wyrozumienie i przedstawienie takich przedmiotów i procesów, które wymykają się z pod zmysłowéj obserwacyi, zależy głównie na sprowadzeniu pojęć abstrakcyjnych do konkretnych, na uwidocznieniu, uzmysłowieniu tego, co jest dostępném tylko rozumowi. Zadanie to staje się tém trudniejszém, że musi ono być wypełnioném za pomocą wyrazów, które same są z natury rzeczy ogólne i abstrakcyjne.

Odkryciom naukowym zawsze towarzyszy czynność wyobraźni twórczéj. We wszelkich poszukiwaniach umysł zawsze wznosi się od rzeczy znanych do nieznanych i tworząc domysł, wyprzedza doświadczenie. Nareszcie wszelkie hipotezy naukowe, za pomocą których wznosimy się do najwyższych uogólnień, ujmujemy w całość prawdy empiryczne, lubo muszą zawsze opierać się na doświadczeniu i muszą być téj natury, ażeby mogły być wcześniéj lub późniéj sprawdzone, są dziełem wyobraźni twórczéj.

W zakresie zadań praktycznych wyobraźnia rozpoczyna swe działanie od naśladowania, które się doskonali w miarę, jak nabywamy większéj mocy nad swemi ruchami. Nabyta wprawa w czynnościach naśladowczych pobudza umysł do próbowania dróg nowych, do wykrywania nowych sposobów wykonywania téj saméj rzeczy. To doświadczenie własnych sił prowadzi do wynalazków, w których objawia się właśnie potęga twórczéj wyobraźni w zakresie przemysłu ludzkiego.

Charakterystyczną cechą twórczości estetycznéj jest to, że towarzyszy jéj zawsze uczucie. Zadaniem jéj nie jest poznanie rzeczy, nie jest osiągnięcie praktycznego rezultatu, ale bezpośrednie zadowolenie, zaspokojenie uczucia przyjemności. Obecność uczucia w twórczości estetycznéj nadaje jéj szczególną żywość i skierowuje ją na drogi, które temu uczuciu najbardziéj odpowiadają. Pod wpływem uczucia piękna, wzniosłości, wyobraźnia wznosi się nad poziom doświadczenia i maluje przedmioty i wypadki, które o wiele przewyższają te, z jakiemi spotykamy się w życiu codzienném. Idealne utwory wyobraźni, przekraczając sferę faktów rzeczywistych, tworzą krainę baśni i poezyi.

Estetyczna twórczość wyobraźni, przynosząca ludziom tyle rozkoszy umysłowych, połączona jest z pewném niebezpieczeństwem. Żywéj wyobraźni zawsze towarzyszy w mniejszym lub większym stopniu przekonanie, że marzenia jéj zgadzają się z rzeczywistością. Stąd bardzo łatwo może wyobraźnia przejść w wybujałość, w któréj fikcye biorą się za jedną z faktami rzeczywistemi. W tym punkcie wyobraźnia staje się przeciwną rozumowi, wyzwala się z pod kontroli uwagi, która powinna czuwać nad każdym jéj ruchem, i idzie samopas.

Ludzie różnią się tak samo pod względem wyobraźni, jak i pamięci. Różnice te mogą być bądź ogólne, bądź szczególne. Zależą one już to od wrodzonych usposobień, już to od różnic, jakie zachodzą w otoczeniu osobników, we wpływie, jaki na nich wywiera towarzystwo, w wychowaniu, tudzież w szczególnych zajęciach i zawodach, jakim się oddają.

6. Wszystkie dotychczasowe sprawy psychiczne zajmowały się przedmiotami pojedynczemi. Postrzeganie, przypominanie i wyobrażenie odnoszą się zawsze do jakiéjś szczególnéj rzeczy, do jakiegoś szczególnego wypadku. Na tém przecież czynności naszego umysłu nie ograniczają się. Możemy również zastanawiać się i rozumować o faktach ogólnych. Ta ostatnia czynność stanowi właśnie istotę myślenia. Myślenie w gruncie rzeczy jest tak samo, jak i wyobrażanie, przedstawieniem umysłowém, ale przedstawieniem różnego rodzaju. Jest ono przedstawieniem nie rzeczy pojedynczych, ale klas. Myśląc, rozważamy rzeczy nie w ich konkretnéj pełni, jak one się przedstawiają we wszystkich swych szczegółach, ale tylko ze strony niektórych ich własności, takich mianowicie, które są wspólne całéj ich klasie.

Myślenie polega głównie na uporządkowaniu zasobu poznania, nabytego przez postrzeganie i przechowanego w pamięci. Dokonywa się ono drogą rozróżniania i upodobnienia. Myślenie więc nie różni się co do swéj istoty od czynności umysłowych, które je poprzedzają; jest ono dalszym ich rozwojem, wyszczególniającym się od nich tém tylko, że gdy w postrzeganiu i wyobrażaniu przeważa czynność rozróżniania, to w myśleniu przeciwnie główną rolę odgrywa upodobnianie, wykrywanie podobieństwa między rzeczami. Nie dość na tém. W myśleniu objawia się czynna strona umysłu w wyższym stopniu. W podstawie wszelkiego myślenia leży porównywanie, t. j. dowolne zwracanie uwagi na dwa lub więcéj przedmioty w téj saméj chwili, albo w bezpośrednim po sobie następstwie. Występuje tu więc dowolneześrodkowywanie się umysłu, uwaga skupiona.

Określając ściśléj myślenie, możnaby je nazwać sprawą rozbierania, dzielenia i układania, czyli analizy i syntezy. Umysłowa analiza oznacza zastanawianie się z osobna nad wszystkiemi po szczególe częściami pewnéj całości; synteza jest czynnością odwrotną—ułożeniem części w jednę całość. Wyszukując podobieństwa między rzeczami przez porównywanie ich z sobą, dokonywamy analizy, rozważamy bowiem wszystkie własności rzeczy z osobna, dopatrując się między niemi takich, które są im wszystkim wspólne; wytwarzając zaś pojęcie o rzeczy, używamy syntezy, układamy bowiem w całość wypadki, do jakich doszła analiza.

Odróżniają powszechnie trzy fazy myślenia: tworzenie pojęć, łączenie dwóch pojęć w twierdzenie i przechodzenie umysłu od jednego twierdzenia do drugiego, czyli: pojmowanie, sądzenie i wnioskowanie. Jest to podział czysto logiczny. Istota myślenia wszędzie jest ta sama i na każdym ze swych stopni różni się tylko mniejszą lub większą złożonością czynności, co więcéj, trzy te formy myślenia nie występują z osobna, lecz łączą się z sobą w każdym jego akcie.

Pojmowanie. Pojęcie jest przedstawieniem umysłowém, odpowiadającém imionom pospolitym takim, jak żołnierz, człowiek, zwierzę itd. W przedstawieniu tém nie występuje obraz pojedynczego przedmiotu, ale raczéj zlewek wielu obrazów—obraz rodzajowy, typowy. Pojęcia bardziéj konkretne, jak np. pojęcie psa, tworzą się za pomocą biernego upodobniania. Podobieństwo między psami jest tak uderzającém, że samo one nastręcza się uwadze. Przeciwnie w pojęciach bardziéj oderwanych, jak np. zwierzę, podobieństwo, będąc mniéj widoczném, wymaga czynnego udziału umysłu—porównywania, odrywania i uogólniania. W wypadkach, w których zachodzące podobieństwa są łatwe do odkrycia, wystarcza samo porównanie; gdy zaś te podobieństwa zakryte są nie jako przez liczne różnice, potrzeba oddzielić je od różnic z niemi zespolonych, oderwać je a następnie z tak oderwanych podobieństw, czyli własności, wspólnych wielu przedmiotom, utworzyć pojęcie klasy, czyli uogólnić.

Ze sprawą pojmowania łączy się bezpośrednio czynność mianowania, nazywania. Imię nadaje się nie jednemu przedmiotowi, ale wielom ze względu na ich podobieństwo do siebie, zaznacza ona przeto sam tylko stosunek, jaki między niemi zachodzi. Będąc nazwą całéj klasy przedmiotów, *oznacza* imię naprzód wszystkie przedmioty, do téj klasy należące, a następnie *współ-oznacza* wszystkie cechy wspólne tym przedmiotom.

Zauważyć tu potrzeba, że im większą ilość przedmiotów mamy do porównania, tém téż pojęcie je ogarniające będzie zawierało mniéj cech wspólnych, czyli podobieństw między niemi. Innemi mówiąc słowy: im większy jest zakres pojęcia, tém mniejszą jest treść jego, i odwrotnie.

Najwyższym stopniem abstrakcyi jest rozważanie rzeczy pod jednym tylko względem, wspólnym jéj i wielu innym, jak np. pod względem kształtu, koloru; a następnie pojmowanie samychże własności, stanowiących treść pojęcia, jako oddzielnych pojęć, jak np. krągłość, zieloność, ciepło itd.

Wiele z naszych pojęć wymaga oprócz abstrakcyi i analizy, jeszcze i syntezy. Wyniki, do jakich dochodzimy drogą abstrakcyi,

potrzebujemy ułożyć w nową grupę. Syntetyczne tworzenie złożonych pojęć znajduje w wielu wypadkach dzielną pomoc w wyobraźni twórczéj, gdy np. chodzi o utworzenie pojęcia o wulkanie, o konsulacie rzymskim itd. W innych za to wypadkach obchodzi się bez téj pomocy, a mianowicie, gdy pojęcie sięga pozagranicę przedstawienia wzrokowego. Przykładem tego są pojęcia wielkości i liczb, oraz pojęcia geometryczne. Nasze pojęcia o przedmiotach zwykłych rozmiarów opierają się na postrzeżeniach i wyobrażeniach, przeciwnie pojęcia przedmiotów takich, jak planeta, naród, odległość słońca od ziemi, stólecie, nie mogą być wyraźnie wyobrażone. Tworzymy je za pomocą dodawania do siebie wielkości, które same przez się są wyobrażalne. To samo dzieje się i z wielkościami minimalnemi, jak molekuła, milimetr itd. Pojęcia o nich tworzą się za pomocą dzielenia całości wyobrażalnéj poza granice dostępne wyobraźni.

Co się tyczy pojęć geometrycznych, takowe nie odpowiadają żadnym formom dostrzegalnym w rzeczywistości. W utworzeniu ich, oprócz abstrakcyi, odgrywa jeszcze ważną rolę idealizowanie. Z wypadków, osiągniętych przez abstrakcyę tworzymy pojęcia idealne, które znacznie przekraczają granice wyobrażania, chociaż dostatecznie są określone, ażeby mogły służyć dla celów naukowego rozumowania. Pojęcia tego rodzaju stanowią tak zwane poznanie symboliczne w odróżnieniu od poznania intuicyjnego, do którego należą pojęcia, oparte na wyobrażeniach.

Jakkolwiek na pojęcia składają się głównie podobieństwa rzeczy, stanowiące ich treść, nie pomijają się w nich przecież i różnice. Każda klasa, zawierając w sobie charakterystyczne cechy, już przez to samo różni się od innych, które tych cech nie posiadają.

Systematyczne uporządkowanie podobieństw i różnic, zachodzących między rzeczami, stanowi klasyfikacyę, albo dzielenie. Klasyfikować rzeczy jestto rozpatrywać je w sposób, któryby uwidoczniał różne stopnie ich podobieństw i różnic. W klasyfikacyi zaczynamy od najniższych stopni uogólnienia i wznosimy się do coraz wyższych. Przeciwnie w podziale, w dzieleniu zaczynamy od najwyższych uogólnień i schodzimy do coraz niższych. W klasyfikacyi główną gra rolę analiza, w dzieleniu — synteza. Jeżeli bowiem klasyfikacya wykonywa się przez stopniowe usuwanie różnic i dochodzenie do najwyższych uogólnień drogą abstrakcyi; to dzielenie odkrywa się za pomocą wprowadzania coraz to nowych różnic.

Pojęcia nasze, tak z powodu natury samego pojmowania, jak i dla tego, że są wcielone w mowę, w wyrazy, mogą być błędne i wadliwe. W mowie potocznéj używamy zwykle wyrazów bez dokła-

dnego uprzytomniania sobie ich znaczenia. Podobnież w ścisłych rozumowaniach nie zawsze zdajemy sobie sprawę znaczenia terminów, jakiemi się posługujemy. Następnie abstrakcya, za pomocą któréj urabiamy pojęcia, nie zawsze bywa dokładnie przeprowadzoną.

Pojęcie powinno być nadewszystko jasném, to znaczy, wszystkie cechy, stanowiące składowe jego pierwiastki, powinny być jasno i wyraźnie przedstawione w umyśle; oprócz tego, musi ono dokładnie różnić się od innych pojęć, częściowo do niego podobnych. Daléj pojęcie musi być dokładném, tj. obejmować wszystkie te rzeczy, do których się odnosi. Niedokładném bywa pojęcie zbyt ciasne i zbyt szerokie. W pierwszym wypadku, w skutek błędnéj obserwacyi, zawarto w pojęciu cechy przypadkowe, które nie są właściwe wszystkim członkom klasy; w drugim, pojęcie zawiera tylko część wspólnych cech, z pominięciem innych, które przy pośpiesznéj obserwacyi były niedostrzeżone. Niejasnemi i niedokładnemi stają się pojęcia jeszcze i przez to, że z biegiem czasu zacierają się w pamięci.

Dla tego konieczną jest rewizya naszych pojęć. Przedewszystkiém potrzeba pojęcia ogólne i oderwane odnieść do rzeczy konkretnych, z których zostały wyprowadzone, same te rzeczy uprzednio zbadawszy dokładnie. Chociaż bowiem myślenie nie jest tém samém, co wyobrażanie, opiera się ono przecież na niém i nie powinno zniém nigdy zrywać. Tylko wtedy, gdy między myśleniem a wyobraźnią utrzymuje się żywotny związek, umysł zabezpieczonym jest od używania czczych i pozbawionych wszelkiego znaczenia wyrazów.

Jak przedmioty zewnętrzne, tak samo ugrupowujemy za pomocą abstrakcyi stany naszego umysłu. Pojęcie o sobie rozpoczyna się postrzeżeniem naszego organizmu, jako przedmiotu, w którym umiejscowiamy doznawane przykrości i przyjemności. W miarę, jak uwaga staje się dowolniejszą i z większą swobodą może się odrywać od rzeczy zewnętrznych, zwracając się ku uczuciom, ku pobudkom, kierującym naszą wolą, występuje téż coraz wyraźniéj i świat wewnętrzny uczuć, jako całość, różna od rzeczy zewnętrznych. Wtedy to w umyśle naszym ujawnia się świadomość stałego i niezmiennego *ja*, jaźni, jako wewnętrznego ogniska wszystkich wrażeń i uczuć, oraz przyczyny zewnętrznego działania. Jaźń, przeciwstawiając się światu zewnętrznemu, tém samém odróżnia siebie i od innych jaźni, którym przyznaje te same przymioty, jakie w sobie upatruje.

Natura pojęć ogólnych i abstrakcyjnych była przedmiotem zaciętego sporu między realistami i nominalistami. Zapatrywanie realistów, podług których pojęciom ogólnym odpowiadają rzeczywiste, byty takie, jak człowiek, stół, sprawiedliwość—zostało oddawna zarzucone. Miejsce jego zastąpiło twierdzenie konceptualistów, któ-

rzy utrzymują, że umysł posiada zdolność przedstawiania, wyobrażania ogólnych własności, stanowiących cechy klasy (stosunków podobieństwa między rzeczami). Nominaliści przeciwnie uważają imię pospolite, jako symbol, oznaczający każdy z przedmiotów, do téj saméj klasy należących. Utrzymują oni, że kiedy wymawiamy imię pospolite, w umyśle naszym powstaje bądź obraz pojedyńczy ze wszystkiemi swemi cechami, ale przyćmiony i niewyraźny, bądź wiele ich naraz w szybkiém następstwie. Ściśle rzeczy biorąc, nie ma tak bardzo wielkiéj różnicy między konceptualizmem a nominalizmem; sami bowiem nominaliści przyznają, że mając dane wyobrażenie, albo kilka ich naraz, możemy zwrócić uwagę na ich cechy ogólne z pominięciem szczególnych.

7. Zastosowując pewne pojęcia do jakiegoś przedmiotu, albo do klasy, tworzymy sąd, sądzimy o rzeczy. Sądzić znaczy twierdzić coś o rzeczy. W ten sposób sąd jest połączeniem dwóch pojęć, albo, ściśléj rzeczy biorąc, dwóch przedstawień umysłowych. Sąd wypowiedziany, wyrażony za pomocą słów, stanowi zdanie. Związek między sądem a zdaniem jest taki sam, jaki zachodzi między pojęciem a imieniem. Niemowlę i zwierzęta mogą prawdopodobnie tworzyć sądy najprostsze bez pomocy języka; w późniejszym atoli wieku zawsze sądzimy za pośrednictwem mowy, bądź zewnętrznéj, bądź wewnętrznéj. Zdanie składa się z dwóch części: podmiotu i orzeczenia. Logiczny rozbiór odróżnia w niém trzy części, oprócz dwóch wymienionych jeszcze łącznik.

Orzeczeniem zawsze bywa pojęcie ogólne, gdy tymczasem podmiotem może być tak wyobrażenie, tj. przedstawienie umysłowe pojedynczego przedmiotu, jako téż pojęcie, tj. przedstawienie umysłowe klasy przedmiotów. Stąd podział sądów na szczegółowe i powszechne.

Ponieważ sądzenie jest łączeniem dwóch przedstawień umysłowych, jest ono tedy aktem syntezy. Z tego względu sąd podobnym jest do pojęcia, które również jest wypadkiem syntezy. Zachodzi między niemi jednakże ważna różnica. W pojęciu łączą się w jednę całość różne pierwiastki, w sądzie przeciwnie, pierwiastki te, lubo połączone z sobą, rozważają się oddzielnie. Sądząc, myślimy o przedmiocie i własnościach, jako o rzeczach oddzielnych, chociaż zarazem uprzytomniamy ich stosunek do siebie.

Logicy dzielą sądy na syntetyczne i analityczne. Do pierwszych należą sądy, w których do podmiotu dodaje się nowe pojęcie. Są to sądy rzeczywiste. Sądami analitycznemi, czyli słownemi, są te, w których orzeczenie wypowiada to, co już zawartém jest w podmiocie. Podział to czysto formalny i bynajmniéj nie ma takiego znaczenia,

jakie mu przypisywał Kant, który na nim oparł cały systemat swéj filozofii.

Wniknąwszy głębiéj w naturę sądzenia, przekonywamy się, że towarzyszy mu zawsze pewien stan umysłu, znany jako wiara, przekonanie. Nasze wyobrażenia i pojęcia odnoszą się zawsze do przedmiotów rzeczywistych, dla tego też gdy je łączymy w sąd, przedstawiamy sobie odpowiadające im rzeczy, jako również połączone, zostające z sobą w pewnym stosunku. Otóż przedstawianie, pojmowanie stosunku, zachodzącego między rzeczami, wymaga wiary. Proste połączenie dwóch przedstawień umysłowych nie stanowi jeszcze aktu sądzenia, potrzebną tu jest wiara. Wierzymy zaś wtedy tylko, gdy zapatrujemy się na nasze pojęcia ze strony przedmiotowéj, gdy je rozważamy, jako przedstawienia rzeczy istniejących i uprzytomniamy sobie w myśli stosunek tych rzeczy.

Wiara, rozważana pod względem psychologicznym, bywa rozmaicie pojmowaną. Jedni uważają ją, jako stan czysto rozumowy, inni widzą w niéj objaw uczucia, a inni znowu odnoszą ją do woli, upatrując w niéj akt czynnéj strony umysłu. „Ponieważ wiara stanowi istotny pierwiastek poznania i we wszystkich jego sprawach bierze udział, jest ona tedy natury rozumowéj. Z tém wszystkiém ma ona także charakter uczuciowy. Wierzyć, być pewnym czegoś, jest to doznawać pewnego charakterystycznego uczucia, które jest wręcz przeciwne uczuciu, jakie towarzyszy wątpieniu, niepewności. W końcu widoczném jest także, że ścisły zachodzi stosunek między wiarą a wolą. Oczekiwanie, które jest tylko najprostszą formą wiary, zawiera już w sobie gotowość do działania. W ten sposób wiara odnosi się do wszystkich stron umysłu, stąd atoli nie wynika, by można ją było rozłożyć na składowe pierwiastki. Zdaje się, że nie jest ona stanem umysłu złożonym, ale prostym, posiadającym własny charakter.“

Nie każdy sąd jest twierdzeniem, łączeniem dwóch przedstawień umysłowych, zaznaczającém połączenie dwóch odpowiadających im rzeczy. Są nadto sądy przeczące. Przeczenie jest odrzuceniem twierdzenia, jako fałszywego. Przypuszcza ono zawsze w założeniu twierdzenie. Ponieważ każde zdanie musi być albo prawdziwém, albo fałszywém, dla tego umysł musi tu wybierać między twierdzeniem a przeczeniem. Stąd czynność sądzenia, jest, ściśle rzeczy biorąc, wyborem; jest ona przychyleniem się do jednéj z dwu alternatyw i w ten sposób podobną jest do postępowania sędziego.

Czynność umysłu nie ogranicza się atoli na samém tylko przyjęciu lub odrzuceniu zdania. Nie mogąc zdecydować się ani na jedno ani na drugie, może on zawiesić swój sąd. Taki stan umysłu jest

wątpieniem. Wierząc, umysł jest w stanie spokojnym, w gotowości do działania. Przeciwnie w wątpieniu, będąc pociąganym w dwu przeciwnych kierunkach, zostając jakby w walce z sobą, jest on niezdolnym do działania. Wątpienie jest stanem umysłu bardziéj złożonym od wiary i objawia się późniéj w miarę, jak się nabywa coraz większego doświadczenia.

Tak wiara, jak i wątpienie nie są bynajmniéj faktami, zależącemi od naszéj woli, aktami dowolnemi. Zależą one od pewnych warunków. Wierzyć w coś lub o czemś wątpić możemy wtedy tylko, gdy uprzednio zostaną dopełnione owe warunki. Najgłówniejszym warunkiem wiary jest doświadczenie i ugruntowane na niém kojarzenie wyobrażeń. Z jaką siłą wyobrażenia i pojęcia skojarzyły się przez doświadczenie, z taką téż siłą układają się one i łączą z sobą w sądzie. Dowodem tego są najprostsze formy wiary: pamięć i oczekiwanie, które jak najściśléj zależą od porządku doświadczenia. Oczekiwanie nasze bywa silném i niezachwianém, gdy się opiera na licznych i niezmiennych doświadczeniach; przeciwnie, jeżeli te doświadczenia były zmienne—oczekiwanie jest słabém i występuje powątpiewanie. Oprócz doświadczenia ważną również gra rolę w urabianiu się naszych sądów wpływ wyrazów. Zdanie nie jest czém innném, jak wcieleniem, uzmysłowieniem wewnętrznéj wiary. Stąd między wiarą a zdaniem zachodzi jaknajściślejsze skojarzenie. I w tém właśnie leży źródło powszechnéj dążności do przyjmowania cudzych twierdzeń bez uprzedniego ich zbadania. Własne nareszcie nasze uczucia i życzenia wpływają zwykle na nasze sądy, jak tego dowodzą wszelkie uprzedzenia.

Doskonałość sądów zależy od stopnia ich jasności i wyrazistości, oraz od dokładności, z jaką odtwarzają rzeczywiste stosunki rzeczy. Nie małe także pod tym względem ma znaczenie sposób, w jaki sądy się tworzą i przyjmują. Szybkie oryentowanie się i decydowanie na sąd stanowi rzetelną jego zaletę. Nareszcie stałość sądu i jego niezależność są najpożądańszemi jego przymiotami nie tylko pod względem moralnym, ale i psychicznym. W każdym razie, stałości i niezależności sądu nie trzeba brać za jedno z uporem. Zdrowy sąd polega na pogodzeniu niezależności myślenia ze względami, jakie się należą cudzym przekonaniom.

Z niezależnością zdania w bezpośrednim zostaje związku kwestya stosunku jednostki do społeczeństwa pod względem przekonań. „Stosunek ten jest nader złożony. Z jednéj strony jednostka w znacznéj mierze zależy od ogółu pod względem poznania. Lekceważyć wiedzę zdobytą pracą licznych pokoleń byłoby dziełem godném waryata. Wpływ rozumu społecznego, uzupełniający i prostujący

przekonania indywidualne, jest zbawienny. Z drugiéj atoli strony jednostka może chętnie przyjmować gotowe już mniemania, nie bacząc, że warunkiem osobistego przekonania jest swobodna i samodzielna czynność władzy sądzenia. Nie koniec na tém. Panujące w pewnym czasie zapatrywania nie mogą się uważać za ostatnie. Rozwój wiedzy znaczy ciągłą zmianę powszechnych pojęć i zapatrywań na przyrodę, na życie ludzkie itd. Stąd zbyteczna przewaga społeczeństwa nad umysłem indywidualnym nie tylko jest szkodliwą dla jednostki, ale jeszcze powstrzymuje powszechny rozwój, tamując rozszerzanie się nowych idei."

Logika rozróżnia sądy bezpośrednie, czyli właściwe, od sądów pośrednich, pochodnych, opierających się na innych sądach, które je poprzedziły, czyli od rozumowania. Podział ten dla psychologii o tyle tylko ma znaczenie, że w sądzie, opartym na rozumowaniu, proces umysłowy jest bardziéj złożony. Większa część naszych sądów szczegółowych należy do twierdzeń, które wypowiadają po prostu fakta obserwacyi i pamięci. Są one sądami intuicyjnemi. Inne zaś tak szczegółowe, jak i powszechne zawdzięczają swój początek rozumowaniu, wyprowadzone są jako wnioski z sądów uprzednio urobionych, które też względem tamtych występują, jako premisy. Każde zdanie, w ten sposób urobione, może być nazwane, w odróżnieniu od intuicyjnych, sądem rozumowym.

Niektórzy filozofowie utrzymują, że są pewne prawdy powszechne, które nie pochodzą ani z doświadczenia, ani z rozumowania, lecz są dane umysłowi bezpośrednio, czyli wrodzone. Szkoła rozwojowa (ewolucyonistyczna) godząc powyższe zapatrywanie z twierdzeniem filozofii doświadczalnéj, uczy, że owe prawdy powszechne, jakkolwiek biorą swój początek w doświadczeniu naszych przodków, przechodzą dziedzicznie na dalsze pokolenia, jako uorganizowane dążności rozumowe. Rzeczą jest widoczną, że liczne nasze przekonania, utrwalone w umyśle częstém doświadczeniem, nabierają pozoru prawd bezpośrednich. Zapomniawszy wszystkich okoliczności, jakie towarzyszyły ich powstaniu, uważamy je za coś samoistnego. Odnosi się to szczególniéj do tych przekonań, jakiemi się kierujemy w sprawach życia praktycznego, a które stanowią istotę tego, co nazywamy zdrowym rozsądkiem (*common sense*). Nabywamy tych przekonań już to drogą obserwacyi, a więc za pomocą rozumowania indukcyjnego, już to mocą instynktowych popędów i uczuć, które nam je nasuwają; lecz powiększéj części otrzymujemy je gotowe za pośrednictwem tradycyi.

Rozumowanie jest przechodzeniem od jednego lub kilku sądów do sądu nowego. Za pomocą niego umysł dochodzi do wniosku,

który przyjmuje na podstawie premis. Przekonanie w ten sposób nabyte czerpie swą siłę w uznaniu stosunku, jaki zachodzi między sądem nowym, a sądami, stanowiącemi premisę. Jakaż jest istota tego stosunku i na czém polega działanie umysłu w rozumowaniu? Rozumowanie nie jest niczém innéin, jak upodobnianiem, utożsamianiem, albo klasyfikowaniem, tylko bardziéj złożoném i wyższego stopnia. Różni się ono od postrzegania i pojmowania, które się również opierają na upodobnianiu, o tyle, że jest ono właściwie utożsamianiem stosunków między rzeczami, nie zaś samych rzeczy. Że odróżnianie odgrywa także pewną rolę w rozumowaniu, rozumie się samo przez się, ale rola jego jest w niém podrzędna.

Jakkolwiek w rozumowaniu umysł z całą świadomością przechodzi od premis do wniosku, w zwykłym atoli porządku rzeczy, a przynajmniéj najczęściéj dzieje się przeciwnie. Wniosek zazwyczaj nastręcza się pierwéj, a dopiero późniéj premisa, którą poddaje, nasuwa upatrzone podobieństwo między nowém doświadczeniem, a starém. W ten sposób wyraźne odniesienie się do sądu dawniejszego, poprzedniego, jest raczéj ostateczną czynnością, stanowiącą zakres dowodu, niż czynnością pierwszą, jaką jest rozumowanie.

Najprostszą formą rozumowania jest wnioskowanie ze szczegółów o szczególe. Jest-to rozumowanie, którém zwykle posługujemy się w powszedniem życiu i które jedynie jest dostępném dziecku i zwierzętom. Możnaby je nazwać rozumowaniem domyślném, gdyż zasada jego, prawda powszechna, nie występuje wyraźnie w umyśle. Z natury swéj jest ono automatyczném i ma wiele wspólnego z nałogiem w zakresie działania. Liczne doświadczenia przeszłości zostawiły w umyśle swe ślady, które w formie dążności, skłonności sądzenia w pewien sposób, kierują umysłem w rozumowaniu domyślném. Typem takiego rozumowania bezwiednego, automatycznego, jest tak zwana praktyczność w życiu powszedniém, oraz takt w postępowaniu z ludźmi. Przypuszczać potrzeba, że w podstawie rozumowania automatycznego leżą trwale ustalone związki nerwowe.

Z tém wszystkiém, wnioskując ze szczegółów o szczególe, zawsze przypuszczamy w założeniu twierdzenie powszechne. Jakoż okazuje się to już z tego, że gdy potrzebujemy usprawiedliwić nasz wniosek, dowieść go, czynimy to za pomocą twierdzenia powszechnego. I wtedy to rozumowanie nasze staje się wyraźném. To téż skoro tylko zastanawiamy się nad naszém rozumowaniem, przybiera ono formę prawidłowego wnioskowania.

Rozumowanie wyraźne rozwija się w dwóch kierunkach: wznosząc się od szczegółów do ogólnéj prawdy, rozumowanie jest indukcyjném; gdy zaś zstępując od prawdy ogólnéj do szczegółów, zastosowuje ją do nich, staje się ono dedukcyjném.

Proces umysłowy, stanowiący istotę indukcyi, zależy na wykrywaniu podobieństwa wśród różnic. Że zaś indukcya jest rozumowaniem, wnioskowaniem, pokazuje się z tego, że czyniąc twierdzenie powszechném, przekracza granicę faktów dostrzeżonych, sięga po za kres doświadczenia. Wszystkie sądy oznaczające twierdzenie powszechne, ogarniają sobą nie tylko przypadki poznane, ale i wszystkie inne, dotąd nie zbadane. Tym sposobem indukcya nie jest czém innén, jak uogólnianiem i stosownie do stopnia uogólnienia, do jakiego ona wznosi się, można mówić o indukcyach niższych i wyższych.

Człowiek posiada naturalną skłonność do uogólniania. Jeden przykład często wystarcza, ażeby zeń wyprowadzić powszechne prawo. Tą drogą powstają pośpieszne indukcye. Jest-to indukcya samorzutna. Od tego pośpiesznego wnioskowania leczy człowieka późniejsze doświadczenie i nauka. Wtedy indukcya staje się prawidłową, postępuje ostrożnie i metodycznie w uogólnianiu. Polega ona na ścisłém zbadaniu, jakie są istotne podobieństwa między rzeczami i na odróżnieniu ich od podobieństw przypadkowych.

Najwyższém zadaniem rozumowania indukcyjnego jest dochodzenie przyczyny rzeczy. Ażeby osiągnąć zamierzony skutek, musimy znać warunki, które nim rządzą. Wtedy tylko możemy przewidziéć jakiś wypadek, gdy znamy okoliczności, od których on zależy.

Do pojęcia przyczyny przychodzimy bardzo wcześnie, w wieku dziecinnym, drogą codziennego doświadczenia. Pojmujemy naprzód przyczynę na podobieństwo własnego naszego działania i jego skutków. Stąd łączy się ona zrazu z pojęciem celu. Słowem, wszystko, co się zdarza, wyobrażamy, jako następstwo działania, które zawsze kieruje się jakimś zamiarem. I to właśnie tłómaczy te ustawiczne pytania dzieci: kto zrobił deszcz, słońce, drzewo i t. d.? dla czego słońce świeci i t. d.? W téj ciągłéj ciekawości dziecka, dopytującego się o przyczynę, działa naturalna skłonność do uogólniania. Można nawet przypuścić, że w umyśle jego jest odziedziczone usposobienie do zapatrywania się na rzecz, jako na skutek innéj, która uprzednio miała miejsce.

Wykrywanie przyczyny jest sprawą trudną i złożoną; wymaga ono postępowania metodycznego. Przedewszystkiém potrzebna jest pilna obserwacya rozmaitych przykładów badanego skutku i dokładne ich zapamiętanie, a następnie jaknajściślejszy rozbiór wszystkich tych przykładów w celu wykrycia, jakie to są niezmienne i istotne okoliczności, od których badany skutek zależy. Nie dość na tém; potrzeba jeszcze robić doświadczenia, ażeby się przekonać, które z tych okoliczności dadzą się usunąć bez naruszenia skutku, a które nie.

Za pomocą indukcyi dochodzimy do sądów ogólnych czyli powszechnych. Mając takie sądy, możemy wnioskować z prawd ogólnych o szczególnych. Ten rodzaj wnioskowania stanowi rozumowanie dedukcyjne, albo po prostu dedukcyą. Typem dedukcyjnego rozumowania jest tak zwany sylogizm, którego wzór jest następujący:

Każde *M* jest *P*.	Żadne *M* nie jest *P*.
Każde *S* jest *M*.	Każde *S* jest *M*.
Każde *S* jest *P*.	Żadne *S* nie jest *P*.

Czynność umysłowa w dedukcyi jest ta sama, co i w indukcyi. W obu wypadkach polega ona na upodobnianiu. Za pomocą sylogizmu uznajemy, że między przypadkiem szczególnym (*S*), a klasą tychże przypadków (*M*) zachodzi podobieństwo, tożsamość, pod tym względem, że posiadają one (albo też nie posiadają) wspólną cechę, charakter (*P*).

Zadaniem rozumowania dedukcyjnego może być jedno z dwojga: albo mając daną zasadę, wyprowadzamy z niéj wnioski; albo mając twierdzenie szczególne, szukamy zasady, pod którą można je podciągnąć.

Rozumowanie dedukcyjne prowadzi zarówno do wniosków prawdziwych i fałszywych. Rzeczą jest logiki zastanawiać się nad warunkami dobrego rozumowania. Psychologia o tyle tylko niemi się zajmuje, że rozważając rozumowanie w ogóle, jako sprawę umysłową, musi tém samém badać wszystkie formy, w jakich się ono objawia.

Ponieważ rozumowanie jest wykrywaniem podobieństwa, stąd najważniejszą przyczyną popełnianych w niém błędów jest brak dokładnego odróżniania. W złém rozumowaniu trudno dostrzedz, gdzie się kończy podobieństwo, a zaczyna różnica. Dwuznaczność terminów jest niemniejszém źródłem błędów dedukcyi. Gdy chodzi o odróżnienie delikatnych nieraz odcieni znaczenia, jakie przypisuje się temu samemu wyrazowi, bardzo łatwo jest zbłądzić. Niebezpieczeństwo to staje się tém większém, że w rozumowaniu wyrazy dążą do zupełnego zastąpienia pojęć o rzeczy. W wewnętrznym swym ruchu myślenie szybko przeskakuje od jednego rozumowania do drugiego, zaledwie zdając sobie sprawę ze znaczenia używanych terminów.

Większa część naszych codziennych rozumowań przybiera postać bardziéj złożoną, niż jaką ma rozumowanie w swéj formie typowéj. I tak, obserwacya faktów może nas prowadzić do jakiejś prawdy (indukcya); z niéj wyprowadzamy wniosek (dedukcya). Wniosek ten sprawdzamy nowemi obserwacyami, albo też porównywamy prawdę otrzymaną z prawdami znanemi, ażeby się przekonać, czy

się z niemi zgadza i w jakiéj mierze przez nie może być poparta. Słowem, to co nazywamy dowodzeniem, rozumowaniem, jest zazwyczaj bardzo złożonym łańcuchem wnioskowania, w którém umysł, wychodząc z obserwacyi wznosi się do zasad, albo też ze znanych prawd wyprowadza następstwa. Wszelkie metody naukowe nie są czém inném, jak tego rodzaju kombinacyą rozumowania indukcyjnego i dedukcyjnego.

Nie wszystkie prawdy powszechne mają jednakie znaczenie. Niektóre z nich są, ściśle rzeczy biorąc, tylko prawdopodobnemi i nie mają tego stopnia pewności, jaką się odznaczają prawdy matematyczne. Cały zakres działania ludzkiego, jego pobudek i następstw, należy do sfery prawdopodobieństw. O nich żadnego pewnego wniosku nie możemy wyprowadzić z prawdy powszechnéj, odnoszącéj się czy to do polityki, czy do moralności. Wszelkie rozumowanie, dotyczące prawdopodobieństwa, musi brać pod uwagę mnóstwo okoliczności, oraz stosujące się do nich zasady, i rozstrzygać podług tego, po któréj stronie jest większa widoczność. W wielu zaś wypadkach potrzeba nawet zgoła wszelki sąd zawiesić. To też rozumne postępowanie w życiu polega wyłącznie na zdolności uprzytomniania sobie w danym razie wszystkich okoliczności, dokładnéj oceny względnego prawdopodobieństwa tego lub innego następstwa, oraz jasnego przedstawienia korzyści i szkód tego lub owego działania.

Łatwo się przykonać z tego, co powiedziano o rozumowaniu, że zostaje ono w najściślejszéj zależności od wcześniejszych spraw umysłowych — obserwacyi i odtwarzania (pamięci). Rozumowanie wymaga przedewszystkiém, ażeby umysł był obficie zaopatrzony w fakty, nabyte bądź własną obserwacyą, bądź przez naukę; następnie, ażeby posiadał zasady ugruntowane, zdolne wytłómaczyć fakty. Oprócz tego musi on jeszcze miéć pewną zdolność twórczą, dającą mu możność tworzenia nowych pojęć i hipotez.

Na tém nie koniec. Potrzebną tu jest jeszcze dowolna uwaga i skupienie umysłu. Im pilniejsza jest uwaga, im skupienie umysłu jest silniejsze, tém jaśniéj i wyraźniéj przedstawiamy sobie zamierzony wypadek naszego rozumowania, który to wypadek, panując nad całym przebiegiem czynności umysłowéj, zmusza ją do trzymania się wytkniętego kierunku i powstrzymuje od zbaczania na manowce.

Ostatecznem zadaniem rozumowych czynności umysłu jest poznanie. Poznanie w swéj podmiotowéj stronie stanowi wiarę, przekonanie. Pod względem zaś przedmiotowym oznacza ono odpowiedniość, zgodność wiary, przekonania z rzeczywistością, z prawdą. Pytanie, jaka jest wartość poznania ludzkiego, co jest jego spraw-

dzianem — należy do teoryi poznania. Psychologia jednakże musi oznaczyć różnicę, jaka zachodzi między poznaniem a wiarą. W codziennéj mowie, gdy mówimy: *wiemy*, dajemy poznać, że jesteśmy pewni czegoś i wolni od wszelkiéj wątpliwości; przeciwnie, mówiąc: *wierzymy*, dajemy poznać, że nie jesteśmy zupełnie pewni tego, co utrzymujemy. W ten sposób różnica między wiarą a poznaniem, wiedzą, jest przedewszystkiém różnicą stopnia. Na tém atoli ona się nie ogranicza. Poznanie, będąc wyższym stopniem wiary, różni się od niéj jeszcze tém, że jest wypadkiem zastanowienia się nad nią, jéj wyjaśnienia, zbadania za pomocą krytycznego rozstrząśnienia. Pewność wiary, przekonania ma charakter czysto uczuciowy; gdy tymczasem pewność poznania odznacza się charakterem przeważnie rozumowym.

Zadaniem zrozumienia jest sprawdzenie i zbadanie wiary. Polega ono na krytycznem rozważeniu znaczenia sądów, na wyjaśnieniu pojęć i ocenieniu w świetle zasad logicznych wzajemnéj ich zależności.

Władza sądzenia i rozumowania okazuje się późniéj, niż władza pojmowania. Pierwsze sądy, jakie dziecko tworzy, gdy w jego umyśle urabiają się pewne pojęcia o rzeczach, dotyczą pojedynczych przedmiotów, dostępnych jego doświadczeniu. W miarę, jak umysł rozwija się, dziecko staje się zdolném sądzić nie tylko o pojedynczych przedmiotach, ale i o klasach. Wtedy téż objawia się w niém i zdolność rozumowania, jako wnioskowanie ze szczegółów o szczególe.

Tak pod względem władzy pojmowania, jako téż sądzenia i rozumowania zachodzą liczne różnice między ludźmi, pochodzące stąd, że jedni mniejszą, drudzy większą posiadają zdolność odkrywania podobieństw między rzeczami i ich stosunkami, oraz zastosowywania do faktów praw ogólnych czyli zasad. Różnice te są ogólne i szczególne — te ostatnie objawiają się w szczególnych kierunkach. Obie one zależą już to od wrodzonych zdolności, już od różnych okoliczności życia i wychowania. Jak we wszystkich innych sprawach rozumowych, tak i tu sprawa ćwiczenia odgrywa bardzo wielką rolę—i może do pewnego stopnia rozwinąć zdolność myślenia względnie słabą.

Władysław Kozłowski.

DUMY UKRAIŃSKIE.

RZECZ O EPOSIE KOZACKIM RUSINÓW.

„A sława ne wmre, ne polaże
Od nyni i do wika"
(*Duma kozacza*).

Dumy i dumki ukraińskie, sławne na całą Słowiańszczyznę, znane są dobrze i Polakom, nie tylko na Ukrainie zamieszkałym. Śliczne téż bo one doprawdy; tyle tam rzewnego smutku, tyle szczerego, niekłamanego uczucia, taka tam czysta miłość, tak głębokie przywiązanie, tak szczytne poświęcenie, że dziwić się wypada, jak lud prosty, siermiężny tak czuć i myśléć potrafi i w tak cudnéj formie duszę wylewać zdoła. To téż utwory te dawno zwróciły na siebie uwagę naszych poetów i muzyków; mamy téż sporo dum i dumek w poetycznych parafrazach i naśladowaniach, mamy wiele utworów muzykalnych, natchnionych rzewną serdeczną melodyą ukraińską. Możemy więc powiedziéć śmiało, że dumy i dumki dobrze nam już są znane.

Jednakże, gdyby kto niedyskretny zechciał nas zapytać, co przez nazwę dum i dumek rozumiemy, jakie są to pieśni, jaka ich treść? postawiłby nas w położeniu kłopotliwém. Przypominając znane dumy i dumki, znaleźlibyśmy tam i piosnkę o miłości zawiedzionéj, i o tęsknocie po miłym kozaku, i skargę synowéj na los u swiekry, i pożegnanie rekruta z matką, i o Neczaju, i o Sawie Czałym, o Bondariwnie itd. słowem, stalibyśmy w obec masy pieśni najrozmaitszéj treści i charakteru; nazwa jednak dum i dumek do wszystkich jednakowo przystaje, a właściwie nic sobą nie wyraża. Takie blade, nic nie wyrażające określenia zwykle są sztuczne i niewłaściwe. Lud ukraiński nigdy nie nazwie swych pieśni dumą lub dumką, lecz ma na to termin właściwy—*piśnia*; i doskonale rozróżnia ich ro-

dzaje, nazywając je: *wesninaky*, *wesilni*, *diwoczi*, *żinoczi*, *paruboczi*, *czumaćki* itd.

Skądże to my, Polacy, tak pokochaliśmy ten wyraz *duma* i *dumka*, że chrzcimy nim każdą pieśń ukraińską, byle nie taneczną i nie ściśle obrzędową, ale mającą poważną treść, lub głębsze uczucie? Stało się to zupełnie przypadkowo. Ukraina miała specyalny rodzaj poezyi, który *dumami* zwano. Dumy te były nadzwyczaj oryginalne, miały wielką doniosłość historyczną, miały wielką sławę, tak że zwracały na siebie uwagę nawet kronikarzy polskich. Z czasem jednak, zmieniły się warunki wśród których dumy powstały, i poezya ta umarła, pozostawiwszy tylko wspomnienie w swéj nazwie. My zaś nie znając i nie słysząc dum właściwych, a pamiętając, że Ukraina śpiewała je, poczęliśmy tym mianem nazywać każdą poważną pieśń rusińską, zastosowując do piosnek krótszych, mniéj poważnych, lecz równie smutnych i rzewnych, zdrobniały wyraz—*dumkę*.

Niech się więc czytelnik nie dziwi, że w artykule niniejszym, noszącym tytuł: „Dumy Ukraińskie," nie znajdzie ani słowa o rzewnych i serdecznych dumach i dumkach, które albo sam słyszał na Ukrainie, albo powziął o nich wyobrażenie z utworów naszych poetów szkoły ukraińskiéj. Chcemy tu bowiem czytelnika zaznajomić z *dumami właściwemi*, których on już może nie posłyszy z ust ludu, bo razem z kozaczyzną należą już do historyi tylko, któréj były utworem (1).

---

(1) Ja osobiście słyszałem śpiewane dumy raz tylko w życiu, spędzoném prawie wyłącznie na Ukrainie, od kobzarza Ostapa Weresaja w 1884 r. w Kijowie.

Dumy nie doczekały się jeszcze systematycznego wydania zupełnego; różne waryanty rozsypane są po wielu zbiorach i wydawnictwach. Pp. Antonowicz i Dragomanow jeszcze w r. 1875 rozpoczęli wydawnictwo historycznych pieśni Rusinów, lecz doprowadzili swą pracę zaledwo do połowy. W ostatnich latach zbieracze potrafili odszukać kilkanaście nowych waryantów. Ciekawych odsyłam do następnych źródeł, z których korzystałem przy wypracowaniu niniejszego szkicu: — 1) *Antonowicz W.* i *Dragomanow W. Istoriczeskija piesni Małoruskawo Naroda.* Kijów I, 1 część II, 1876 r. W téj nieukończonéj pracy zamieszczono wedle porządku epok pieśni i dumy, mające historyczne znaczenie z komentarzami historycznemi. Rzecz doprowadzona do śmierci B. Chmielnickiego, Zmięszano razem pieśni liryczne, obrzędowe, epiczne i dumy i ułożono w chornologicznym porządku. — 2) *Kulisz P. Zapiski o Južnoj Rusi. I, Peters. 1856 r.* Jest to zbiór podań, legend, dum i pieśni z uwagami. — 3) *Kijewskaja Starina.* Pismo peryodyczne miesięczne wychodzi w Kijowie od r. 1882, W tomach III, IV, VI i VIII zamieszczono kilkanaście nowych waryantów dum i szczegóły biograficzne o kilku kobzarzach. — 4) *Zapiski Jugo-Zapadnawo Otdieła Impierat. Rusk. Geogr. Obszczestwa.* 2 tomy, Kijów 1873/4. W nich zamieszczono repertoar kobzarzy Weresaja i Bratyci z ich biografiami; odczyt M. Łysenka o muzyce dum, i nuty dwóch dum, śpiewanych przez Weresaja. — 5) *Maksimowicz M. Ukrainskija Narodnyja Piesni.* Moskwa 1834 r. i 1849 r. Są to zbiory z najrozmaitszych źródeł dum i pieśni, ułożonych bez dostatecznéj krytyki, z krótkiemi uwagami,

Dumy Ukraińskie znacznie się wyróżniają od innych pieśni tamecznych. Są to dość długie poematy, mające po kilkaset wierszy, a pod względem melodyi, prędzéj kantaty, niż pieśni przypominają; nuta ich bowiem nie ma zupełnie powtarzających się zwrotek, lecz zmienia się odpowiednio do treści opowiadania oraz uczucia i woli piewcy. Już z tych dwóch cech formy dum widoczném jest, że lud nie mógł ich śpiewać; stanowiły one repertoar specyalnych piewców, którzy im dłuższe studya poświęcali i zupełnie im się oddawali. Tacy pieśniarze nosili u ludu nazwę od instrumentu, na którym sobie wtórowali, *bandurzystów* albo *kobzarzy*.

O dawnych pieśniarzach rusińskich bardzo szczupłe posiadamy wiadomości. Wiemy tylko z pewnością, że istnieli w czasach bardzo odległych. Jedną z najdawniejszych wzmianek o nich mamy w „Słowie o Pułku Igora Światosławicza,“ gdzie się o wieszczym Bojanie wspomina:

3. Bojan bo wieszczyj, aszcze komu chotiasze piśń tworyty,
Te rostikaszetsia mysliju po drewu,
Sirym wołkom po zemli,
Syzym orłom pod obłaky......
6. Bojan że, bratije, ne deslat' sokołow na stado łebedij puszczasze,
On swoja wiszczyja pr'sty na żywyja strumy wskładasze,
Ony że samy kniazem sławu rokotachu!

Rozmaite są mniemania o wyrazie „Bojan.“ Jedni w nim widzą imię legendowego piewcy rusińskiego (1), drudzy przypuszczają, że wyraz Bojan (boj, bojować) oznaczał wojaka i że rycerzy-bojanów, co obok wojaczki posiadali jeszcze dar pieśniarstwa, nazywano *wieszczymi bojanami*. W każdym razie zaznaczyć musimy, że wyraz ten do dziś się spotyka w dawnych pieśniach ludowych, jako nazwa ogólna śpiewaków.

---

i w znacznéj części zepsutych przez niepotrzebne poprawianie stylu i zwrotów, a także przez zestawianie rozmaitych waryantów w jedną całość. — 6) *Kostomarow N. Istoriczeskoje znaczienije małorusskawo narodnawo tworczestwa* w miesięczniku „Ruskaja Mysl“ z 1880 r. Przytoczono kilka nowych waryantów. — 7) *Czubinskij P. Matierjały i Izsledowanija.* Tomów 7. Petersb. 1874 r. W t. V. kilka nowych waryantów. — 8) *Potebnia A. Słowo o Połku Igorewie.* Woroneż 1878 r. Tekst rapsodu z licznemi komentarzami. — 9) *Stasow. Proischożdienije bylin.* W miesięczniku „Wiestnik Jewropy“ z 1868 r. — 10) *Wiesiełowskij A. Jużno-ruskija byliny.* Petersb. 1881 r. — 11) *Zmorski R. Lazarica* Warsz. 1860 r. — 12) *Idem. Narodowe Pieśni Serbskie*, tomów 2, Warsz. 1855 r.

W powyższych źródłach czytelnik znajdzie materyał etnograficzny i komentarze historyczne. Oceny i rozbioru krytycznego dumy jeszcze się nie doczekały. Praca Kostomarowa z wiele obiecującym tytułem (N. 6) jest prostą parafrazą dum i pieśni z uwagami treści dziejowéj.

(1) *Potebnia:* Slowo o polku Igorewie str. 9.

Pieśniarze rusińscy zwykle wtórowali swym pieśniom na instrumencie strunowym, dawniéj na *bandurze* lub *kobzie*, w nowszych zaś czasach—na *lirze*. Kobzarze i bandurzyści byli widocznie dość liczni, powszechnie szanowani i wywierali znaczny wpływ na masy ludowe siłą swych pieśni, poświęconych wyłącznie prawie dziejom narodu. Trudno dziś jednak sądzić o całéj doniosłości ich dawniejszego znaczenia; wszelkie o tém domniemania będą za śmiałe, bo oparte na domysłach tylko. Do takich domysłów należy mniemanie o ich kapłańskiéj roli za czasów pogaństwa. W czasach znacznie już do nas zbliżonych, z których posiadamy chociaż urywkowe dane o stosunkach obyczajowych i społecznych, widzimy, że kobza i bandura były bardzo upowszechnione; przygrywali na niéj nie tylko piewcy z powołania, ale i zwykli śmiertelnicy. Z jednéj dumy „O śmierci kozaka" możemy się domyślać, że bandura była zwykłą towarzyszką kozaczą, brano ją ze sobą na wojnę nawet. Oto obraz kozaka na pobojowiska.

Kiń bila joho postrilanyj, porubanyj,
Ratyszczy połamane,
Pichwy bez szabli bułatnoji,
U ładiwnyci ni odnisеńkoho naboju.
Tilky zostałaś jomu *bandura podorożniaja*,
Ta u hlybokij keszeni lulka-boruńka (1).

Prawdziwy zaś kobzarz—bandurzysta chodził od miasta do miasta, od wsi do wsi, niezbędnym był na biesiadach, weselach, zgromadzeniach wojennych i przy ważniejszych obrzędach ludowych. Są także wskazówki, że tacy pieśniarze towarzyszyli oddziałom wojska, służyli za przewodników, doradzców, szpiegów i zarazem zagrzewali serca wojowników do walki. Kobzarze tworzyli, przechowywali w pamięci, i rozpowszechniali pieśni i podania; podtrzymywali oni w swym czasie poczucie narodowości, ideały narodowe rusińskie: *wola* i *towarystwo*. Znaczenie ich tedy musiało być nie małém. W słynnéj téż księdze Kodniańskiéj, w tym krwią zapisanym rejestrze skazanych w m. Kodni hajdamaków, znajdujemy między innymi kilka wyroków śmierci wykonanych na bandurzystach za to tylko, że w bandach hajdamackich „na bandurze grywali" i śpiewali (2). Srogość kary dowodzi, jak wielkie miał znaczenie w obozach powstańców ich śpiew o lepszych czasach wolności, jak groźną i niebezpieczną była ich pieśń dla władzy ówczesnéj.

---

(1) *Kulisz*. Zap. o Już. Rusi, I, str. 186.
(2) *Kijewskaja Starina* ze 1882 r. kwiecień str. 165.

Dziś już bandurzyści i kobzarze należą do przeszłości, głos ich powoli milknie na zawsze, pozostaje tylko wspomnienie w pieśniach i podaniach. Nowy ustrój społeczny, nowa organizacya polityczna, nowa cywilizacya i nowy porządek publiczny—to zabijająca atmosfera dla bardów i minstreli. Zawód pieśniarza połączył się z żebractwem zwyczajném, kobzę—bandurę powoli zastąpiła lira.

Kobzarz Archyp Nikonenko skarży się na stan obecny w tych słowach. „Persze buło naszomu bratu dobre: jak uziaw pałyciu ta strument, to i piszow sobi kudy chocz; nichto ne pytaw, chto ty takyj i zwidky; a teper to wże za swij stan (okrąg policyjny) ne chody, a to za kaławurom (warta) prystawlat" (1). Obowiązek posiadania paszportu i kłopoty z powodu jego odnawiania, niezbędne przy ustawicznych wędrówkach, znacznie przyczyniają się do zniechęcenia bandurzystów do swego rzemiosła: „odno te, szczo staryj, a druhe, szczo oci paszporty,—ne wilno... Jak ja joho nikoły ne braw" (2), mówi kobzarz P. Bratycia, zapytany, dla czego zarzuca kobzę.—Tego samego zdania jest Ostap Weresaj, lecz ten, zyskawszy sławę i otrzymawszy w podarunku od rodziny cesarskiéj tabakierkę, posługuje się nią w krytycznych chwilach, a paszportu nie bierze czy z przyzwyczajenia, czy może ze szczególniejszéj zasady i przekonania, że to by ubliżało jego powadze i zawodowi.

Daleko wszakże ważniejszą przyczyną umilkania bandury jest brak w dzisiejszych czasach śród ludu zamiłowania do niéj i do repertoaru kobzarskiego. Lud dzisiejszy, w obec głębokich zmian, jakie szeregiem, jedna po drugiéj, zaszły w ustroju społecznym w ciągu ostatnich stu lat, stracił zupełnie prawie wątek wspomnień dziejowych, które zrodziły się w warunkach zupełnie różnych, od stanu obecnego. Nowe pokolenia nie zdolne są już rozumieć faktów i dążeń dawnych. Centralizacya władzy, poddaństwo i nowy samorząd włościański po wyzwoleniu, oderwały lud zupełnie od tradycyi kozackich. To też włościanin dziś słucha pieśni historycznéj całkiem obojętnie, nie rozumie jéj nawet, nie wierzy by treść ich była prawdziwą,—słucha jéj, jak bajki i nic z niéj dla życia, dla chwili obecnéj wysnuć nie może. „Lude starych piseń i ne słuchajut'—mówi kobzarz Kriukowski,—jomu spiwaj pro starowynu, a win ne znaje, szczo wono take!" (3). Nawet młode pokolenie pieśniarzy, które z chęcią się uczy pieśni religijnych i satyrycznych, ze wzgardą traktuje dumy historyczne i zwykle zupełnie się ich nie uczy: „stań joho wczyt', to

(1) *Kulisz*, Z. o J. R. I, str. 8

(2) Kijewskaja Starina VIII, str. 42.

(3) Kijews. Starina IV, str. 481.

wono i słuchat' ne chocze.—Ce, każe, wse brechnia! Waszi panotci brechały, i wy breszete. Jakaż wono brechnia, koły tak ymenno buło; a wony ne tiamlat' (nie rozumieją)" (1). Fizyonomia usposobień i dążności ludu zmieniła się zupełnie, serce i myśl jego, zaprzątnięte pogonią za kawałkiem ziemi, pozostają głuchemi na wspomnienia dziejowe, na odgłos pieśni o walce za swobodę osobistą i narodową. „Odyn Boh, odni lude, ta ne odnakowo stanowyt'sia" — konkluduje filozoficznie kobzarz Nikonenko (2).

Wymierają też powoli ostatni kobzarze, zwolennicy dawnéj poezyi dum. Ci, co żyją jeszcze, a nawet i ci, co niedawno poumierali, od których skrzętna praca etnografów potrafiła uratować dla potomności szczątki świetnego niegdyś eposu, muszą się znacznie różnić od typu dawnego piewcy, który żył i kształcił się wśród właściwych warunków epoki. Repertoar dzisiejszych piewców jest nadzwyczaj szczupły, a każdy z nich wspomina, że dawniéj śpiewano daleko więcéj dum, lecz że one albo zostały już zapomniane, albo zamarły razem ze starymi kobzarzami. „Teper mali starci nastały, niczoho ne tiamlat'"—mówi Nikonenko (3). „Sami teraźniejsi piewcy — powiada p. Kulisz — jak Andrzéj Aleksandrowiecki i Archyp Orzycki, wspominają o swych nauczycielach, że umieli oni dumy o wielu hetmanach, a przekazali im tylko niektóre. Ani jeden bandurzysta nie powiedział mi jeszcze, że się nauczył wszystkich dum od swego nauczyciela" (4).

Dawni etnografowie nie zwracali uwagi na tych piewców, zadawalniając się zapisaniem od nich materyału etnograficznego. Dopiero p. Metliński w zbiorze swych pieśni (Narodnyja Jużnorusskija Piesni) podaje nam poraz pierwszy nazwiska kilku kobzarzy. W ostatnich czasach odszukano kilkudziesięciu bandurzystów, z których zaledwie kilku jeszcze żyje. Wszyscy oni pochodzą z Małorosyi, t. j. z Zadnieprza i tam stale mieszkają. Już przed trzydziestu laty p. Kulisz nie mógł ani jednego znaleźć kobzarza na prawém Podnieprzu (5). Objaśnia on to wysiedleniem po czasach Chmielnickiego, w którém wzięły udział przeważnie żywioły niezadowolone z obrotu rzeczy na prawéj stronie Dniepru; a kobzarze zapewne nie byli śród takich ludzi ostatnimi. Ztąd też tradycya kobzarska upadła zupełnie na Ukrainie. Ja sądzę, że oprócz téj przyczyny, wielką rolę tu odegrać musiały prześladowania w XVIII w. kobzarzy, śpiewających bardzo niebezpieczne dla spokoju Ukrainy pieśni. Do dziś lud Ukraiński tradycyjnie obawia się śpiewać niezapomnianych jeszcze zupełnie

(1) Słowa Nikonenka—*Kulisz.* Zap. o J. R. I, str. 13. — (2) Ibidem, str. 14.— (3) Ibidem, str. 13. — (4) Ibidem, str. 198. — (5) Ibidem, str. 82.

pieśni historycznych i wiele trudu musi etnograf podjąć, by wzbudzić w wieśniaku ufność, przy której dopiero udaje się czasem pieśń jaką dziejową zapisać.

Biograficznych szczegółów o kobzarzach zadnieprzańskich posiadamy nie wiele, bo zaledwie sześciu kobzarzy doczekało się obszerniejszych wzmianek (1). Dzisiejszy kobzarz zawsze prawie jest ślepym. Dziećmi jeszcze oddawano chętnych ociemniałych malców na naukę do „majstra“, który ich zwykle brał na lat trzy, karmił, odziewał, uczył i wyzyskiwał. Gdy uczeń po tym kursie nie czuł się jeszcze w możności iść o własnych siłach, udawał się na nowe trzechlecie do dawnego lub innego mistrza. Ponieważ bandura w ostatnich czasach nie wielkie zyski daje, kobzarze więc, obok pieśni, zajmują się wiciem powrozów i żebractwem. Niektórzy z nich, jak Iwan Kriukowski, zupełnie kobzę zarzucili, inni znowu zamienili ją na lirę, jak Archyp Nikonenko. Żebractwa kobzarze wcale się nie wstydzą, gdyż w pojęciu ludu zawód żebraczy jest miłym Bogu. Nie zepsuty przez miasto żebrak wiejski, zwykle ślepy, szanowany jest jako człowiek bogobojny; jego modlitwa i rada są poszukiwane. Bogobojny Andrej Szut jest przekonania, że żebracy na to są na świecie, by ludziom przywodzić na pamięć Boga i cnoty.

Pomimo braku uznania, kobzarze jednak z wielkim szacunkiem odzywają się o dumach i ze wzgardą mówią o pieśni miłośnéj, tanecznéj i t. p. Widzą oni w dumach prawdziwe opowiadania o tém, co się niegdyś w dawnych czasach wydarzyło. Pochodzenie dum łączą oni z imieniem Chrystusa. „Czy wono tak sperszu buło—mówi Nikonenko — jak Chrystos ne narodywsia? Każut, todi ni piseń, niczoho ne znały; zwisno, żyły jak zwir, to jaki tut piśni?“ Jeszcze jaśniéj w tym względzie wyraził się Ostap Weresaj z powodu, że ktoś śmiał powątpiewać o boskiém pochodzeniu dum: „Od kogoż, jeśli nie od Pana Jezusa Chrystusa. Po cóż on na ziemię zstępował. Wszak powiedziano, że zstępował on, by nas do królestwa niebieskiego nakłonić i od mąk uwolnić.“

Większość kobzarzy z pogardą patrzy na krzykliwą lirę i żałośnie wykrzykujących lirników, których repertoarem są zwykle pieśni religijne i satyryczno-cyniczne. Wielka téż różnica zachodzi w samych instrumentach. Bandura albo kobza ma kształt zbliżony

(1) Kulisz w Z. o J. Rusi I, wspomina o następnych: *Andrej Szut* (str. 43), *Archip Nikonenko* (str. 7) i *Ryhorenko* (str. 198) Oprócz tego biografie *Pawla Bratyci* w Zapiskach Jugo-Zap. Otd. Jeog. Ob. II, str. 109 i w Kij. Star. VIII, str. 41; *Iwana Kriukowskiego* w Kij. Star. IV str. 481; *Ostapa Weresaja* w Zap. Jugo-Zap. Otd. Jeo. Ob. I, i w Kij. St. III, 259.

do gitary o 12—24 strunach, wydaje dźwięczne tony wprost z pod palców, podobne do dźwięków arfy; lira zaś ma stałe klawisze i okrągły, obracany za pomocą korby, smyczek. Ztąd bandura jest dźwięczną, choć cichą, poważną i podatną uczuciu grającego, dźwięki zaś liry stałe, monotonne, skrzypiące, przeraźliwe i zupełnie nie nadają się do modulacyi. Weresaj takie daje nam porównanie: „kryczyt' ta pyszczyt', szczo aż w chati ynodi niczoho ne czutno, jak zahraje ta lira; a kobza, tak dobre diło: tycheńke wono, ta poważływe.“

Tacy to pieśniarze rusińscy śpiewali niegdyś dumy właściwe, z resztkami których mam zamiar zaznajomić czytelnika.

Udało się uratować etnografom zaledwie tylko dwadzieścia kilka dum, reszta zginęła zupełnie w niepamięci, lecz z rozmaitych wzmianek i podań należy się domyślać, że było ich znacznie więcéj. Wszystkie dziś znane dumy są to rapsody historyczne, obejmujące wyłącznie epokę kozaczyzny; z kozaczyzną one powstały i z nią téż umarły,— czasy przed i po kozaczyznie nie znalazły odgłosu w dumach. Oto spis znanych dum ukraińskich, które można podzielić na następne działy:

I. Walka z Tatarami i Turkami.

a) *Walka.*

1) *Burza rozbija statek turecki na Czarném Morzu* (urywek), zapisana w jednym waryancie (Istor. Pieś. I, 99). — 2) *Pojedynek kozaka Hołoty z Tatarem*, zap. w 4 war. (Istor. Pieś. I, 168). — 3) *O zwycięstwie Atamana Matiasza*, zap. w 1 war. (Russkaja Mysl 1880 r. Luty). 4) *Śmierć Fedora Bezrodnego*, zap. w 7 waryan. (6 w Ist. Pieś. I, 248 i 1 war. Kijew. Star. IV, 510). — 5) *Iwaś Wdowiczenko-Konowczenko*, zap. w 6 war. (Zb. Wiad. do Antr. Kr. III, 135; Kijews. Star. III, 270, IV 512, VIII 35; Maksim. 51 i Metliński). — 6) *Śmierć trzech braci kozaków nad rzeczką Samarą*, zap. w 1 waryancie (Istor. Pies. I, 257).— 7) *Burza na Czarném Morzu i Ołeksij Popowicz*, zapis. w 11 waryan. (10 w Istor. Pieś. I, 176 i 1 w. Kij. Star. IV, 487).

b) *Niewola* (*Newolnyćki dumy*).

8) *Sokolę*, zap. w 2 waryan. (Zap. Jugo-Zap. Otd. Geogr. Ob. I, dodat. 16; Kij. Star. IV, 493). — 9) *Płacz niewolników na galerze tureckiej*, zap. w 4 war. (3 w. Ist. Pieś. I, 88 i 1 w Kij. Star. III, 266).— 10) *Płacz jeńca w niewoli tureckiej o wykupie*, zap. w 2 war. (Istor. Pieś. I, 93).—11) *Marusia Bohusławka*, zap. w 2 war. (Ist. Pieś. I, 230). 12) *Ucieczka trzech braci z Azowa z niewoli tureckiej*, zap. w 10 war. (6 w Istor. Pieś. I, 106, 332; 2 war. w Russk. Mysli 1880 r.; 1 waryan. w Zapis. Jugo-Zap. Otd. Geogr. ob. II, 119 i 1 war. w Kij. Star. IV,

499). — 13) *Ucieczka Samijła Kiszki z niewoli tureckiej*, zap. w 2 war. (Istor. Pieś. I, 208 i Kij. Star. IV, 505).

II. **Chmielniczyzna.**

14) *Chmielnicki i Barabasz*, zap. w 3 waryan. (Ist. Pieś, II, 3).— 15) *Żydzi arendarze i powstanie*, zap. w 3 war. (Istor. Pieś. II, 20).— 16) *Bitwa pod Korsuniem*, zap. w 2 war. (Ist. Pieś. II, 32). — 17) *Weremij Wołoszyn* (urywek) zap. w 1 war. (Ist. Pieś. II, 51). — 18) *Iwan Bohun* (urywek), zap. w 1 war. (Ist. Pieś. II, 98).—19) *Pochód na Wołoszczyznę*, zap. w 3 war. (Ist. Pieś. II, 90). — 20) *Pokój Białocerkiewski i nowe powstanie*, zap. w 3 war. (Ist. Pieś. II, 110). — 21) *Śmierć Bohdana Chmielnickiego i obranie Jurja*, zap. w 2 war. (Ist. Pieś. II, 118)

III. **Wiek XVIII.**

22) *O hajdamaku Witryhonie* (urywek), zap. w 1 war. (Zbiór Wiad. do Antr. Kr. III, 88). — 23) *Handża Andyber*, zap. w 3 war. (Zap. o Już. Rusi I, 200; Metliński, Zap. J.-Z. Otd. Geog. Ob. II, 123).

IV. **Dumy obyczajowo kozackie.**

24) *Śmierć kozaka bandurzysty*, zap. w 1 war. (Zap. o Już. Rusi I, 185). — 25) *Kozak i kozaczka*, zap. w 2 war. (Zap. o Już. Rusi I, 215; Czubiński V, 934).

Oprócz tych dwudziestu pięciu dum kozackich, mamy jeszcze następne trzy rapsody epiczno-moralnéj treści, z formy i układu niczém się od dum nie różniące:

26) *Ojczym*, zap. w 4 war. (Zap. Jugo-Zap. Otd. Geogr. Ob. I, dodat. 14; Kij. Star. IV, 490; Czub. V, 849; Maks. 61). — 27) *Wdowa i trzech synów*, zapis w 6 war. (Zap. o Już. Rusi I, 19; Zap. Jugo-Zap. Otd. Geogr. Ob. I, dodatek 11; Kij. Star. IV, 497, VIII, 31; Metliński i Czub. V, 847). — 28) *Brat i siostra*, zap. w 5 war. (Zap. o Już. Rusi I, 24; Kij. Star. III, 208, IV, 496; Metlińs. 355; Maks. 63).

Tak więc mamy 28 dum tylko; jeśli zaś nie będziemy rachować czterech, znanych nam jedynie w niewielkich urywkach (NN. 1, 17, 18 i 22) i trzech ostatnich nie-dziejowéj treści, pozostanie nam tylko dwadzieścia jeden dum właściwych, w 74 mniéj więcéj odmiennych waryantach, stanowiących dziś tylko resztki świetnego niegdyś eposu kozackiego.

Przeważna większość tych waryantów zapisaną została od kobzarzy, zaledwie kilka tylko pochodzi od lirników (o Konowczence, Ołeksiju Popowiczu, o Wdowie i trzech synach). Lud zupełnie dum nie śpiewa, lecz pamięta częstokroć ich treść w formie opowieści prozaicznéj. Po prawéj stronie Dniepru zapisano tylko kilka pośledniejszéj wartości waryantów (O Konowczence, Ołeksiju Popowiczu, Żydach arendarzach i Pokoju Białocerkiewskim).

I.

Przypatrzmy się bliżéj tym dumom, ich formie i treści. Jak mogliśmy zauważyć z wyżéj przytoczonego spisu ich tytułów, są to utwory epiczne, poświęcone wypadkom dziejowym, lub obyczajowo historycznym. Każda duma jest wykończonym poematem, mniéj więcéj zawsze obszernym. Nie znam dumy krótszéj od 50 wierszy, a duma o Samijle Kiszce ma 390 wierszy.

Obszerne te rapsody nie posiadają zwrotek, właściwych tylko *pieśni* ludowéj, z którą téż nie wiele mają wspólnego. Forma dum jest zupełnie odmienną od formy pieśniowéj; przedstawia ona coś pośredniego między prozą a wierszem; czujesz zupełną swobodę mowy prozaicznéj, zdania się układają naturalnie, ściśle, zależnie od treści i podniecanych uczuć, a jednak nie można nie dostrzedz, że to mowa wiązana, że te swobodne odstępy, zakończone zwykle od czasu do czasu nowemi rymami, mają sobie właściwą harmonię muzykalną, coś, co przypomina i pieśń i harmonijną mowę oratorską. P. Maksimowicz widzi w składzie tego wiersza ślad stóp tonicznych (1) — ja ich nie znalazłem nigdzie; zdarzają się wyjątkowo dwa podobne do siebie krótkie wiersze, lecz prawdziwego taktu pieśniowego nie ma. Wiersze bywają najrozmaitszéj, jedne po drugich, wielkości, od 3 do 25 zgłosek. Zależy to zupełnie od tego, jak się myśl w słowa ułoży. Jedno całkowite zdanie proste, lub logicznie samodzielna część jego stanowi oddzielny wiersz, to téż wiersze mogą obejmować całe zdania, złożone z kilkunastu wyrazów, lub składać się z jednego jakiegoś dopełniacza lub określenia, występującego w myśli, jako samodzielna jednostka logiczna. Tak np.

Sokołe jasnyj,
Brate mij ridnyj!
Ty wysoko litajesz,
Czomu w moho bat'ka — u materi nikoły w hostiach ne buwajesz?
Połyty ty sokołe jasnyj,
Brate mij ridnyj,
Slad'—pady, u moho bat'ka j materi pered worit'my,
Żałibneńko prokwyły!

Rymy układają się zwykle szeregiem po dwa, jeden za drugim; często się jednak zdarza, że po kilka wierszy, do dziesięciu nawet, należących do jednego okresu logicznego, kończy się jednakim rymem. Charakterystyczną cechą rymowania dum jest zwykłe zakończanie wiersza czasownikiem, naprzykład:

(1) Maksimowicz 1834 r. Ar. 2.

A menszyj brat na szlach Murawśkyj wybih*aje*,
I po szlachu Murawśkomu pobih*aje*,
Z pid czerwonoho kaptana czorni kytyci zabacz*aje*,
U ruky bere — chwat*aje*,
Do sercia kozaćkoho molodećkoho prykład*aje*,
Slizamy obływ*aje*,
Słowamy promowl*aje*. . . . .

Rymowanie jednak nie jest wcale stałém; owszem, bardzo często bywa przerywane kilku wierszami białemi.

Okresy logiczne w dumie, złożone z dowolnéj ilości wierszy, stanowią pewną harmonijną całość zakończoną, która się szczególniéj w śpiewie uwydatnia. Zwykła zwrotka pieśni ludowéj jest także zakończonym okresem logicznym, lecz nie może być porównywaną do okresów w dumach. W pieśni wszystkie zwrotki zbudowane są zupełnie podobnie, według stałego szematu; jak melodya tak i szyk zgłosek we wszystkich zwrotkach są jednakie. W dumie, przeciwnie, okresy logiczne, którym odpowiadają jednocześnie zakończone okresy muzykalne, wcale nie są do siebie podobne.

Forma muzykalna wszystkich dum jest mniéj więcéj jednaką. W osnowie melodyi jest niewielki i nieskomplikowany frazes muzyczny, wolny, bez taktu, dający się modulować w najrozmaitszy sposób, zastosowywać do najrozmaitszéj miary wiersza. Muzyka więc dum nie posiada *rytmu*, nie wiąże się w takty muzykalne i melodya w niéj dość uboga i nieurozmaicona. „Piewca nie dba o rozmaitość kolorytu; zasada i głębokie znaczenie muzyki dum historycznych polega głównie na muzykalnéj deklamacyi, oryginalnéj, szerokiéj, swobodnéj, z fermatą po każdéj myśli muzycznéj, nie dającéj się ująć w ciasne ramki rytmiczne“ (1). Słowem, są to swobodne kantaty bez powtarzających się zwrotek, przedstawiające ciągle nowe waryacye melodyi zasadniczéj. Dziwnéj téj pieśni towarzyszy bandura, na któréj pieśniarz podegrywa melodyę, przyczém dla odetchnienia, a także dla wybitniejszego oddzielania jednego okresu muzykalnego od drugiego, wstawia w odstępach niewielkie przygrywki, po których znów wraca do pieśni. Ogólny ton muzyki jest zawsze minorowy, poważny, czasem silny i namiętny, przeplatany uroczystym reczytatywem i fermatami.

Jak wyżéj wspomniałem, dumy są wyłącznie kozackim eposem. Wszystkie prawie znane nam dumy powstały nad Dnieprem i tylko w téj miejscowości je zebrano. Na zachodnim Wołyniu, na Podolu, w Galicyi, ni téż na pomorzu Czarném Rusini dum nie słyszą i nie

---

(1) *Łysenko*. Charaktieristika muzykalnych osobiennostiej maloruskich dum. Zapiski Jug.-Zap. Otd. Geogr. Ob. I, 350—352.

przechowali też o nich nawet wspomnienia. Nic więc dziwnego, że język wszystkich znanych nam dum posiada wszystkie cechy tak zwanego dyalektu ukraińskiego. Mowa ludowa rusińska daje się podzielić na trzy główne dyalekty: *Północny* (Podlasie, Pińszczyzna i gub. Czernihowska), *Galicyjski* (Huculi, Podgórze-Pokucie, Podole, Lemki i Bojki) i wreszcie *Ukraiński*. Pierwsze dwa dyalekty znacznie od siebie różne, zachowały jak w głosowni, tak w składni wiele pierwiastków starożytnych; trzeci zaś—Ukraiński miał powstać po XIV w. z narzecza wołyńskiego, jest wytworem najnowszéj formacyi, pozbawionym starych słowiańskich form i dyftongów, uważany jest za najpiękniejszy i został przyjęty jako język literacki. Dumy więc mają język najwytworniejszy, że tak powiem, klasyczny. To też wobec niewyrobienia języka literackiego Rusinów, dumy pozostają dotąd wzorem czystości dla autorów ukraińskich.

Porównywując wszelako język dum z mową dzisiejszą ludu ukraińskiego i z pieśniami zebranemi równocześnie z dumami i w tejże miejscowości, łatwo dostrzegamy pewną pomiędzy niemi różnicę. Daje się ona poniekąd tłómaczyć jak sferą, w któréj się te dawne pieśni przechowywały, tak też i właściwością charakteru samych dum.

Kobzarze, którzy wyłącznie dumy śpiewali, szanowali je z religijną czcią, jako stare pieśni o dawnych lepszych czasach. Młodzi pieśniarze uczyli się od starych, nie tworzyli sami, uważali te zabytki za pieśni skończone, zachowywali o ile mogli każdy wyraz, jako relikwie, częstokroć nawet nie rozumiejąc niektórych wyrazów, tyczących się dawnego ustroju i obyczajów. Tak przechowane pieśni dawnych czasów, lubo tylko żyły w pamięci kobzarzy, tchną pewnemi archaizmami i w wyrazach i w składni nawet. Takie wyrazy, jak „potała“ (pastwa), „pyszczal“ (piszczel, lufa), „barzo“ (bardzo) i t. p. dawno już wyszły u ludu z powszechnego użycia, przechowując się tylko w dumach.

Ściśle epiczna treść dum wymagała poważnéj formy. Piewca opowiadał prawdziwe dzieje i traktował swój przedmiot nie lekko, nie anegdotycznie, lecz z świadomością i przekonaniem, że treść jego opowiadania jest pouczającą, ma wielkie znaczenie, powinna być szanowaną. Dobierał też formy ku temu odpowiedniéj; ztąd w doborze wyrazów i w szyku ich widzimy oryginalny ton uroczysty, niewłaściwy zupełnie w mowie potocznéj, ni też zwykłéj piosence, nawet treści historycznéj.

Zaznaczoną tu różnicę w wysławianiu się dumy w mowie potocznéj—odczuwają i sami pieśniarze. Tak lirnik Kononenko śpiewając p. Kuliszowi dumę o Iwasiu Wdowiczence, wyraził się raz tak: *„Szapku iz hołowy znymaje“*, lecz gdy spostrzegł, że p. Kulisz jego sło-

wa zapisuje, wstrzymał go mówiąc: ce po prostomu, a wy ta tak zapysujte: „szłyk iz hławy zdijmaje“ (1),— słowem tak, jak się dziś żaden Rusin nie wyrazi.

Forma dum jest epiczną: są to bowiem opowiadania obiektywne o czynach i wypadkach. Subiektywizm dramatyczny spotykany we wszystkich pieśniach ludowych, nawet w historycznych, nigdy w dumach nie daje się dostrzedz. Charakterystyczną cechą pieśni rusińskich jest forma dramatyczna, polegająca na tém, że myśli i uczucia zwykle się wyrażają w pierwszéj osobie. Jeśli pieśń opowiada o jakimś wypadku, to osoby grające w nim rolę, zawsze wiodą rozmowę od siebie, bez omówienia nawet piewcy, że te słowa mówi ta, a nie inna osoba, tak np. w pieśni o Neczaju w takiéj formie przedstawioną jest rozmowa Neczaja z kozakiem, który go przyszedł uprzedzić o zbliżającém się wojsku polskiém:

(*słowa Neczaja*) Ne bijtesia, ne bijtesia pany atamany:
Postawyw ja storożeńku usimy szlachamy.
Jak ja maju, kozak Neczaj, zwidce utikaty,
Sławu swoju kozaćkuju marne uterlaty?
(*słowa kozaka*) A ja tebe, mij Neczaju, ne ubespeczaju:
Derży sobi konia w sidli dla swoho zwyczaju!
(*słowa Neczaja*) Oj, je w mene Szpak, Szpak, — ot to dobryj chłopeć:
Oj, toj meni daje znaty, koły utikaty.

W dumach nie napotkamy nigdy rozmowy w téj formie; przed każdym ustępem słów cudzych piewca oznajmia od siebie, że to ta osoba przemawia, lub odpowiada, tak np.

A menszyj brat, pisza-piszanycia, za kinnymy bratamy whaniaje,
Koni za stremena chwataje,
I słowamy promowlaje,
Slizamy oblywaje:
„Bratiky moi ridneńki,
Hołubeńky syweńki!
Ne choczete mene miż koni uziaty,
Woźmit' mene postrilajte-porubajte,
I zwiru i ptyci na potału ne podajte.“
A ti braty teje zaczuwały,
Słowamy promowlały:
„Bratiku myłyj,
Hołubeńku sywyj!
Szczo ty każesz,
Mow nasze serce nożem probywajesz“ i t d.

Obiektywność wszakże formy nie usuwa zupełnie subiektywizmu w saméj treści; to téż w dumach zawsze widać myśli i uczucia

(1) Zap. o Już. Rusi I, 179.

samego piewcy, jego sympatye i antypatye, wyrażające się zwykle w epitetach towarzyszących imionom bohaterów.

Takie epitety, stale w dumach używane i nie znane w pieśniach ludowych, stanowią jedną z charakterystycznych cech eposu ludowego. Każda osoba, nawet przedmiot ważniejszy mają swoje epitety, zawsze powtarzane przy każdém wspomnieniu o tymże przedmiocie lub osobie. Epitety dają się podzielić na stałe i przypadkowe. Pierwsze używają się jako stałe przymioty, niezmiennie używane jednakowo we wszystkich dumach; są one wyrazem jakiejś charakterystycznéj trwałéj cechy przedmiotu i towarzyszą téż im zawsze. Nap. orły *syzoperi*, *sywa* zozula, *jasnyj* sokił, *synie* more, *bujnyj* witer, *czorna* chmara i t. p. Takie stałe epitety znane są i w pieśniach ludowych i nie stanowią wyłącznéj właściwości dum. Można tylko wskazać jeszcze kilka tego rodzaju epitetów wyrobionych wyłącznie przez dumy—jak np. *bidnyj* newolnyk, wowky *siromanci* (szare), tiło *bile*, *kozaćke mołodećke*, Dnipr-*Slawuta* i t. p. spotykane chyba wypadkowo w pieśniach; są one jednak téj saméj, co i poprzednie, natury i mają znaczenie tylko poetyczne. Prawdziwe zaś epitety epiczne występują w dumach przy każdéj nowéj okoliczności, mają nie ogólnikowe znaczenie, lecz tylko wypadkowo zastosowane bywają do pewnéj osobistości. Tak np. duma o pojedynku kozaka z tatarem daje obydwom zapaśnikom charakterystyczne nazwy: kozak nazywa się *hołotą*, t. j. oberwańcem, biedakiem, i ten epitet hołota używa się przy każdém powtórzeniu wyrazu kozak; tatarzyn jest *siwy brodaty i na rozum niebogaty*; przy każdém téż wspomnieniu tatara towarzyszy mu ten dosadny epitet.

W dumie o Samijle Kiszce każda ważniejsza osoba ma także powtarzający się epitet charakterystyczny: Lach Buturłak — *Sotnik Perejasławski*, *klucznik galerski*, *niedowiarek chrześciański*, Kiszka Samijło—*hetman zaporożśkyj*, Ałkan pasza—*Trapezońśke kniaża*. W dumie o Chmielnickim i Barabaszu, ten ostatni ma stały epitet *hetman mołodyj*, nawet jego żona nazywa się zawsze *heťmanowa mołoda*. W dumie o ucieczce trzech braci z Azowa, najmłodszy brat, pieszo uciekający, jest zawsze „menszyj brat *pisza-piszanycia*.“ Duma o Marusi Bohusławce zawsze swoją bohaterkę tytułuje: „*diwka-branka*, Marusia *popiwna Bohusławka*.“

Takie epitety stale nadawane przez piewców pewnym osobom lub przedmiotom spotykamy i w Słowie o pułku Igora. Tam Bojan dwakroć nazwany jest *wieszczym*, Wsewołod—*bój-turem*, lub *jar-turem*, Połowczyn jest zawsze *pohany* i zastępy połowieckie także są *pohane*, Don nazwany po trzykroć *wielkim*. Toż samo zupełnie spotykamy i w rapsodach Serbskich. Tak np. w pieśni o ożenieniu knia-

zia Łazara (1) Łazo stale nazywa się *wiernym sługą*, a narzeczona jego Milica jest *młoda krasawica dziewięciorgu siostra Jugowiczów.* Zupełnie analogicznemi do wspomnianych epitetów wydają się wyrażenia w rapsodach Homera; w nich każdy bohater ma swój epitet, określający główny jego przymiot, który piewca chce uwydatnić; Achillesa Homer nazywa zwykle *bystronogim*, Hektora—*lśniącym hełmem*, Odyseusza—*mądrym i równym bogom* itd.

Wszystkie takie przymiotniki epiczne przypominają poniekąd przydomki dziejowe, jak Rudobrody, Łysy, Śmiały, Chrobry, Groźny nadawane przez lud swym władcom i być może są jednego z niemi pochodzenia.

Oprócz powtarzania epitetów, dumy, jak w ogóle utwory epiczne wszystkich ludów, bardzo często w toku opowiadania powtarzają pokilkakroć ustępy zastosowywując je do każdego bohatera lub każdego miejsca. Tak w dumie o ucieczce trzech braci z Azowa powtarza się kilka razy po każdéj rozmowie lub zatrzymaniu się w podróży braci następny dwuwiersz:

I teje promowlały,
Widtil pobihały.

Lub w tejże dumie powtarza się jeden i ten sam obraz przyrody temi samemi słowy, raz przy opisie podróży dwóch starszych braci, drugi raz przy opisie podróży młodszego:

Dali z bajrakiw i Mijusiw wybihały,
I ne stało ni bajrakiw ni Mijusiw stawaty,
I tilky pole łyllje,
Na jomu trawa zełena zełenije.

Powtarzanie ustępów zauważyć się także daje zwykle w odpowiedziach na pytania; odpowiadający pospolicie używa tych samych wyrazów, w jakich podane zostało zapytanie, dodając do nich przeczenie lub potwierdzenie, tak nap.

(*pytanie*) „Dżuro Jaremo! ce ty ne swojimy kińmy hulajesz,..
A deś ty swoho pana wbyw, abo strebyw,
Abo mołodoho duszi ta izbawyw!"
(*odpowiedź*) „Oj, bat'ku Koszowyj, Otamanu wijskowyj!
Ja swoho pana ni wbyw, ni strebyw,
Ni mołodoho duszi ne izbawyw,
A mij pan łeżyt' u łuzi Bazałuzi
Postrelanyj i porubanyj."—(Ant. i Dr. I, 254).

Takie powtarzanie ustępów całych jest ogólną cechą, epicznéj twórczości słowiańskiéj; spotykamy ją i w serbskich rapsodach bo-

(1) Lazarica, przekład R. Zmorskiego Wor. 1860.

haterskich i w bylinach ołoneckich i we wszystkich słowiańskich baśniach legendarnego typu, powstałych wedle mniemania większości etnografów z zapomnianych pieśni epicznych (1).

Oprócz powtarzania ustępów w jednéj i téj saméj dumie, częstokroć zauważyć można powtarzanie się stałe pewnych obrazowych wyrażeń, a nawet całych ustępów w rozmaitych dumach. Takie wyrażenia i ustępy stały się ogólnikowemi miejscami, ulubionemi przez piewców. Tak nap. w każdym wypadku, kiedy się wyraża prożba o niedopuszczenie zniewagi bądź nad ciałem niepogrzebaném, bądź nad wiarą prawosławną, stale używa się stare wyrażenie: na potału (pastwa) ne podajte." Mamy więc w dumach i

„Tilo moje kozaćke-mołodećke zwiru-ptyci na potału ne podajte,"—i
„Wiry chrystyjańśkoji na potału w wicznyj czas ne podajte." (Ant. I Dr. II 14).

Wyrażenie: „dobre dbajte" używa się prawie we wszystkich dumach, jeśli potrzeba wyrazić, że rozkazujący pragnie zalecić pilność w wykonaniu rozporządzenia. Gdy się opowiada o jakim czynie, że ktoś w pewnym wypadku z pobudek subiektywnych w ten lub inny sposób sobie postąpił, duma zawsze dodaje, że „czohoś dohadawsia:"

Todi lachy czohoś dohadałyś,—
Na żydiw narikały.—(Ant. Drag II)

Przed cudzymi słowami duma zawsze używa stereotypowego wyrażenia: „słowamy promowlaje," z rzadka dodając do wyrazu „słowamy" przymiotnik „tychymy." To ostatnie wyrażenie spotykałem i w rapsodach serbskich, jak nap. w rapsodzie o Carycy Milicy. (Lazarica 50, 52).

Oprócz takich stereotypowych wyrażeń, jak wspomniałem, spotykają się ustępy zupełnie jednakowe w rozmaitych dumach. Tak np. w dwóch dumach o niewoli, jednéj o niedoli na galerze, drugiéj o rozmowie dwóch towarzyszy o wykupie, zupełnie jednakowo wyraża się przekleństwo ziemi tureckiéj i wiary bisurmańskiéj, powtórzone prawie dosłownie w dwóch waryantach dumy o ucieczce trzech braci z Azowa. Tak samo w jednakich zupełnie wyrazach opisane są

---

(1) Porównaj Serbskie ustępy z Lazaricy:

(*król zapytuje*): „Powiedz: koń twój czyli złamał nogę?
Czy ci ciężą szaty wyszarzane?...
Wierny sługa Łazo mu odpowie:
Ani koń mi wierny złamał nogę,
Ani mi się szaty wyszarzały.... (*Lazarica* 10)

W rapsodzie o Carycy Milicy po rozmowie każdego z braci, którzy kolejno koło siostry przejeżdżają, śpiewak powtarza jednako:—Rzekłszy, konia pogonił ulicą... (*Lazarica* 51, 52).

zdzierstwa żydów jak w dumie o Arendarzach żydach, tak i o bitwie pod Korsuniem, w której Lachy narzekając na żydów, wypominają im te zdzierstwa. Jeszcze p. Kulisz (*Zap. o Już. Rusi*) zrobił uwagę, że takich ogólnych miejsc dużo i u Homera i takie daje ich wyjaśnienie: „Dla ludu takie ogólne miejsca nie wydają się nudnemi powtarzaniami, jakiemi byłyby w poezyi klas wykształconych. Na nich odpoczywa uwaga słuchaczy, jak na przygrywkach w odstępach pieśni i lud z przyjemnością śród nieznanych sobie wierszy spotyka i dawniéj słyszane. Pojmując to przeczuciem poetycznem, piewcy naszych dum ukraińskich wcale się nie krępują w zapożyczeniu gotowych zwrotów mowy i nawet obrazów poetycznych ze znanych recytatywów ludowych“ (170). Wiele w tych słowach może jest i słuszności, szczególniéj odnośnie do ulubionych form wyrażania się i jednakich obrazów poetycznych, lecz nie myślę by dały się tém wytłómaczyć powtarzania całych dość obszernych ustępów, tém bardziéj, że częstokroć dumy wcale nie w miejscu przechodzą do tych powtórzeń, jak to można zauważyć z dumy o 3 braciach Azowskich, mającéj w dwóch waryantach ustęp o przekleństwie ziemi tureckiéj, ustęp mało mający wspólnego z zasadniczą treścią dumy. Uważałbym za prawdopodobniejsze widzieć w tém skażenie dum przez piewców. Zebrane waryanty świadczą niewątpliwie, że są tylko resztkami dawnych rapsodów. Kobzarze zapomnieli stopniowo znacznéj części swego repertoaru i te ustępy, które się w ich pamięci zachowały, musiały się poplątać i pogmatwać, ztąd też w razie niedopisania pamięci, piewcy zapożyczali gotowe odpowiednie ustępy z innych dum. Tak przynajmniéj tłómaczy się kobzarz Fedor z Kriaczkówki: „Kołyż ne zhadaju; tut ystynno kotoru znajesz, toj to ne nabrede na tołk; a to tak spiwajesz de jakych: stych (wiersz) z odnojeji, da z druhoje, da izwiażesz tak, a szczob to usiu!... dak ne znaju; niczohoj brechaty; ot, bożestwennych, dak ja taky bohato *dojszow* (nauczył się)“ (Ant. i Dr. I, 332).

Poezya dum przepełnioną jest obrazami poetycznemi, których tu daleko większe bogactwo, niż w eposie serbskim i w bylinach. Barwy poetyczne, przenośnie, porównania, epitety—są czysto ludowe rusińskie, bez najmniejszéj przesady i hyperbolicznych obrazów, w jakie przeważnie obfitują byliny, a w części i rapsody serbskie. Dla ubarwienia myśli i obrazów, dumy nigdy nie wprowadzają pierwiastku nadprzyrodzonego lub fantastycznego. Zasadą obrazowości w nich, jak i w ogóle całéj poezyi rusińskiéj, jest głęboko odczuwana symbolika przedmiotów, pozostała ze wspomnień mitologicznych geo- i zoomorficznych. Symbolika to taż sama, co i w starych pieśniach słowiańskich, taż sama, co i w Słowie o Pułku Igora, znana jest ona

powszechnie, to też dłużéj się nad nią rozwodzić nie mamy potrzeby. Zwrócę tu tylko uwagę czytelnika na kilka rysów w obrazowaniu, mających znaczenie epiczne.

Wiele bardzo obrazów właściwych dumom, nie spotykanych w zwykłych pieśniach ludowych, znajdujemy w rapsodzie o Wyprawie Igora na Połowców, z którym w ogóle dumy wiele mają wspólności. Tak nap. w opisach klęski na polu walki i tak zwanego w dumach „ciemnego pogrzebu kozackiego“ w czystém polu, niezbędnymi aktorami są szare wilki i orły klekoczące. Porównajmy następne dwa obrazy.

Jedna duma maluje nam kozaka umierającego od ran na pobojowisku i w te słowa opis poczyna:

Oj, na tatarśkych polach,
Na kozaćkych szlachach,
Ne wowky-siromanci kwylat'—prokwylajut',
Ne orły-czornokrylci kłekoczut' i pidnebesamy litajut',
To sedyt' na mohyli kozak stareseńkyj.....

Duma o ucieczce trzech braci z Azowa tak maluje śmierć w stepie młodszego brata:

K jomu wowci-siromanci nachożdały,
Orły-czornokrylci nalitały.
Na kudri nastupały,
Pylno kozakowi w oczi zahladały:
Wony smerti joho dożydały,
Chotiły zazdałehody żywota temnyj pochoron odprawlaty.

Takich że samych barw używa i piewca Igora dla wyobrażenia grozy pobojowiska:

(23) Igor k Donu wol wedet',
Uże bo bida jeho paset' pticzi po dubiju,
Wołci grozu wsraszajut' po jarugam,
Orły klektom na kosti zwiry zowut';
Łysyci breszut' na cz'rlenyja szczyty.

W dumie o klęsce pod Korsuniem, bitwa przedstawia się w obrazie ucztowania piwem, które warzą kozacy wraz z Lachami, Chmielnicki w te słowa daje kozakom hasło do walki:

Hej druzi mołodci,
Brattia kozaky zaporożci!
Dobre dbajte, barzo hadajte,
Iz lachamy pywo waryty zaczynajte:
Ladśkyj sołod, kozaćka woda,
Ladśki drowa, kozaćki truda!“

Krwawa walka znajduje także porównanie do uczty i w Wyprawie Igora:

(54) Tu krwawaho wina nedosta,
Tu pir pokonczasza chrabryji Rusiczi:
Swaty popoisza,
A sami polegosza za zemlu Ruśskuju,

Takie podobieństwo obrazowania jest dość częstém. Zaznaczę tu jeszcze jeden zwrót epiczny w porównaniach, nieznany w pieśniach lirycznych. Symboliczne porównania są dość pospolite w pieśniach słowiańskich, zwykle połowa pierwsza zwrotki jest symbolem, druga zaś przedstawia treść rzeczywistą, porównywaną do symbolu, nap.

(*symbol*) Oj, czużaja storonońka bez witru szumyt',
(*treść realna*) Czużyj bat'ku, czuża maty, ne bje, ta bolyt'.

Pieśni epiczne, jak dumy, byliny, rapsody serbskie, nigdy w téj formie nie używają porównania, a zawsze przytaczają symbol z przeczeniem, jakby mówiąc, że opisywana treść rzeczywista wcale nie jest tém, co się mówi w symbolu, do którego jest podobną. Tak nap.

U swiatu nedilu *ne* syzi orły zakłekotały.
Jak to bidni newolnyky u tiażkij newoli zapłakały....

Ne jasnyj sokił kwyłyt'—prokwylaje,
Jak syn do bat'ka do materi z tiażkoji newoli w horoda chrystyjański pokłon posyłaje....

Ne czorna chmara nalitała,
Ne bujni witry winuły,
Jak dusza kozacka mołodecka z tiłom rozłuczałaś.

Podobny zupełnie sposób porównań symbolicznych przedstawia Wyprawa Igora, nap:

Bojan że bratije *ne desiat' sokołow* na stado łebedej puszczasze,
On swoja wiszczija prsty na żywyja struny wskładasza....

Nemizi krwawi brezi *ne bologom* biachut' posijani:
Posijani kost'mi Ruśskych synow.

Taki sam sposób porównania spotykamy w ołoneckich bylinach i w rapsodach serbskich (1).

---

(1) *Porów. z byliny o Ilji Muromcu*:

Nie syrój dub k ziemli kłótnitsa,
Nie bumáżnyje listoczki razstiłájutsa,
Razstiłájetsa syn pieried bátiuszkom,
On i prósit siebié błagosłowiénjia.

I z rapsodu serbskiego:

Rosły społem dwa świerki zielone,
Między niemi jodła wybujała.
To *nie były* dwa świerki zielone,
Nie wysmukła jodła między niemi,
Lecz to byli dwaj bracia rodzeni,
I Jelica, siostra między niemi.
(Narod. Pieś. Serbs. 1855, I, 132).

Do charakterystycznych cech formy wyróżniających dumy z pomiędzy innych utworów ludowych, należy zaliczyć oryginalny, tylko dumom kobzarskim właściwy sposób ich zakończenia. Pełne zakończenie dumy przedstawia dwie odrębne części: oddanie hołdu czci i sławy bohaterom dumy i modlitwę do Boga o zdrowie i powodzenie albo dla całego narodu, lub przynajmniéj dla słuchaczów, tak np.

(*Chwała*) Prawda, panowe, polahla
Kiszky Samijla hołowa
W Kyjewi-Kanewi manastyri...
Sława ne wmre, ne polaże!
Bude sława sławna
Pomiż kozakamy,
Pomiż druziamy,
Pomiż łycariamy,
Pomiż dobrymy mołodciamy.
(*Modlitwa*) Utwerdy Boże ludu carśkoho,
Narodu chrystyjańskoho.
Wijśka Zaporożśkoho
Z syjeju czerniju Dniprowoju,
Nyzowoju,
Na mnohaja lita,
Do koncia wika!

Bywają téż zakończenia znacznie krótsze, zwykle jednak zawierające obie te części, tak nap.

Polahła dwoch bratiw hołowa wyszcze riczky Samarky,
Tretia u Osawur mohyły,
A sława ne wmre ne polaże,
Od nyni do wika!
A wam na mnohyja lita!

Sposób ten zakończenia bez modlitwy wszakże, lecz tylko z zaświadczeniem chwały bohaterom, widzimy i u piewcy Wyprawy Igora:

Sława Igoriu Swiatoslawliczlu,
Bój-turu Wsewołodu.
Wladimiru Igorewiczlu!
Zdrawi kniazi i drużina, poboraja za chrystjany na pohanyja płky,
Kniazem sława a drużyni!

Podobne zakończenia, chociaż nie stale, spotykają się i w rapsodach serbskich, nap.

Wszystkimże im wieczna cześć i chwała,
I u Boga wieczna radość w niebie. (*Lazarica* 47)
Miły Boże, we wszystkiem ci chwała,
A co było, niech nie wróci więcéj! (*Nard. Pieś. Serbs.* 1855, I, 98).

Zupełnie analogiczne zakończenia, w których obok wysławiania rozmaitych osób jest złożenie różnych życzeń słuchającym, pozo-

stały w rusińskich szczedrówkach i kolędach; napotykają się także i w kolędach polskich. Nie wątpliwém jest przeto, że te zakończenia wysławiające bohaterów, należą do prastarych zabytków poezyi słowiańskiéj. Nie bez pewnéj zasady utrzymuje pan Kulisz, że mogły one powstać z powodu zwyczaju układania pieśni na cześć pewnych osób, w obec których bywały śpiewane (1). Liczne przykłady daje nam historya, jak chętnie dawali nawet wielcy ludzie ucho pochwalnym mowom i pieśniom. Większość téż rapsodów historycznych bohaterskich niewątpliwie składaną była jednocześnie prawie z opiewanemi wypadkami. Słowo o Pułku Igora, jak świadczy o tém sam rękopism, śpiewaném było opiewanym książętom. To samo prawdopodobnie należy sądzić i o naszych dumach, już z tego powodu, że niektóre z nich tak są historycznie prawdziwe w drobnych nawet szczegółach, iż trudno myśléć, by mogły być ułożone znacznie późniéj od wydarzonych wypadków, które opiewają. Na potwierdzenie tego mniemania p. Kulisz przytacza świadectwo dokumentalne: „W *kratkoj Istorji o buntach Chmielnickawo*, napisanéj przez autora spółczesnego tym buntom powiedziano (str. 44), że narzeczona Tymofija Chmielnickiego, w przeddzień odwiedzin jego, kazała sobie śpiewać o nim „*dumę kozacką*“ (2).

Cesław Neyman.

---

(1) Zap. o J. R. I, 194—195.
(2) Zap. o Już. Rusi I, 179.

DRUGI WALNY ZJAZD

TOWARZYSTWA NAUCZYCIELI SZKÓŁ WYŻSZYCH

WE LWOWIE.

(*Dokończenie*).

Z kwestyą zmiany instrukcyi w najściślejszym stoi związku kwestya odpowiedniego opracowania podręczników szkolnych. Bo to rzecz jasna, że układ tych ostatnich zastosować się musi ściśle do całego planu lekcyjnego, jaki przepisuje instrukcya. Wprawdzie w nowszych czasach postawiono w dydaktyce twierdzenie, całkiem zresztą słuszne, iż nauczyciel nie ma być niewolnikiem podręcznika, że powinien mieć wobec niego pewną swobodę w traktowaniu przedmiotu, że nawet może częściowo odstąpić od układu, przeprowadzonego w podręczniku; mimo to jednak potrzeba racyonalnie ułożonych podręczników okazuje się nieodzownie potrzebną, jeżeli się wogóle nie chce zmuszać uczniów ażeby zakładali skrypta i notowali w nich skrzętnie każde słowo nauczyciela, i jeżeli się ich nie chce pozbawiać środka, za pomocą którego zdołaliby odświeżyć wiadomości w klasie nabyte. W Galicyi, gdyby nawet nie przyszło do zmiany instrukcyi, gdyby cała nauka postępowała i nadal dotychczasowemi, utartemi torami, potrzeba gruntownéj reformy podręczników okazuje się konieczną. Wykazał to w sposób przekonywający dr. Ćwikliński w osobnym referacie, poświęconym téj sprawie. Kiedy przed laty kilkunastu we wszystkich prawie galicyjskich gimnazyach i szkołach realnych wprowadzono język polski jako wykładowy, nie stało w pierwszéj chwili książek, któreby można było bezzwłocznie wprowadzić do nauki w tych szkołach. Nagłéj potrzebie starano się zaradzić w ten sposób, iż dokonywano przekładów i przeróbek aprobowanych i używanych książek niemieckich. Pojawiło się wprawdzie w ciągu tych lat kilkunastu także i kilka samodzielnie pomyślanych podręczników polskich, ale liczba ich nie jest bynajmniéj znaczną. Otóż nie potrzeba dowodzić szcze-

gółowo, że tłómaczenia i przeróbki z dzieł niemieckich nie czynią zadość swojemu zadaniu, że nawet rozmaite dodatki, jakie w przekładach polskich do tekstu oryginalnego powsuwano, niedogodnościom zaradzić nie mogą, bo nie stanowią z pozostałemi częściami dzieła organicznéj całości. Kilka przykładów wystarczy do uzasadnienia tego twierdzenia. W wyższych klasach galicyjskich szkół średnich używany jest do nauki historyi przeważnie trzytomowy podręcznik Pütza. Pomijając już nużącą oschłość wykładu, która bynajmniéj nie ma warunków po temu, aby zachęcić ucznia do przedmiotu i rozmiłować go w nim, zaznaczyć należy, że podręcznik ten może, co najwięcej, być rzeczą odpowiednią dla szkół niemieckich, ale nie polskich. Podręczniki niemieckie traktują bowiem historyą przeważnie ze stanowiska niemiecko-liberalnego albo prusko-protestanckiego—kierunek, który świadomie czy téż bezwiednie przyjęli także i pisarze austryaccy. Przy takich podręcznikach, również i w Galicyi nauka historyi musi iść mimowoli w ślad za tą doktryną. Najgorzéj zaś wychodzi w tych książkach historya Słowiańszczyzny, zbywana zazwyczaj przez Niemców kilku krótkiemi ustępami; dodatkowe zaś ustępy, jakie tłómacze wtrącają do przekładów polskich, nie są w stanie uzupełnić tego, czego brak w całokształcie dziejów w tłómaczonym podręczniku. Podobnież ma się rzecz także i z podręcznikami do filologii klasycznéj, właśnie dla tego, że i one są w przeważnéj części tłómaczeniami lub przeróbkami książek niemieckich. Gramatyki obcéj uczyć można z pożytkiem tylko w takim razie, jeżeli się obcy język zastosuje do właściwości i zasad języka własnego. Tymczasem w podręcznikach naszych nie zawsze tak się dzieje. Opierając się bowiem na opracowaniach niemieckich, zwracają one częstokroć uwagę na takie kwestye, których wyjaśnienie jest wprawdzie potrzebném dla ucznia Niemca, ale zbędném dla Polaka, a pomijają inne, których nie potrzeba tłómaczyć Niemcowi, ale pożądaną byłoby rzeczą wyjaśnić Polakowi. Stąd nasuwają się rozmaite trudności między innemi także i ta, że nauka języka wykładowego (polskiego) i języków klasycznych nie mogą się skutecznie uzupełniać nawzajem, ani téż postępować naprzód jednostajnym krokiem. W innych przedmiotach wykładowych sprzeczności między duchem podręczników niemieckich a polskich nie objawiają się może już w tak rażących konturach, nie ulega jednak wątpliwości, że i tutaj dałyby się zaprowadzić pewne ulepszenia, zmierzające do baczniejszego uwzględnienia właściwości młodzieży polskiéj tudzież jéj potrzeb naukowych. Jedném słowem, chodzi o to, aby cały system podręczników przeistoczyć, przenieść je z obcéj dziedziny na

grunt swojski, przybrać je nie tylko w szatę języka polskiego, ale zarazem także wlać w nie ducha swojskiego.

Rzecz oczywista, że do opracowywania podręczników powołani są głównie nauczyciele sami; upoważnia ich do tego zarówno wiedza fachowa, jako też nabyte doświadczenie. Jeżeli mimo to nie posiadamy dotychczas odpowiednich dla wszystkich przedmiotów książek szkolnych, to nie można jeszcze winić z tego powodu nauczycieli, ale szukać należy przyczyn w innych okolicznościach, na wskróś zewnętrznéj natury. Najprzód nie umiano wytworzyć godziwéj w kołach nauczycielskich konkurencyi w opracowywaniu podręczników. Konkurencya taka może wydać tylko najlepsze owoce; bo oczywiście wtedy jedynie można się spodziewać dobrych książek szkolnych, jeżeli się będzie mogło wybierać pomiędzy kilku lub kilkunastu pracami. Konkurencya taka dałaby się wywołać przez zachęcanie, a szczególniéj przez rozdzielanie nagród i w ogóle przez zabezpieczenie pewnych materyalnych korzyści dla autorów podręczników, napisanych dobrze i ze zrozumieniem rzeczy. Fundusze na ten cel dałyby się łatwo znaleść; tak np. sejm galicyjski wstawiał przez dłuższy czas corocznie w budżet wydatków kwotę 1000 złr. przeznaczoną na nagrody dla najlepszych książek szkolnych. Dziwnym trafem nikt dotychczas z tego nie korzystał, skąd też sejm widząc bezskuteczność swoich zabiegów, wykreślił tę pozycyą z ostatniego budżetu; nie ulega jednak wątpliwości, że skoroby się tą sprawą zajęto na nowo gorliwie, sejm okazałby wszelką gotowość dalszego popierania wydawnictwa książek szkolnych. Drugą, najważniejszą wadą całéj sprawy jest brak systematycznéj i racyonalnéj organizacyi tychże wydawnictw. Pojawianie się podręczników zostaje nie tyle w związku z okazującą się w danéj chwili potrzebą, jak raczéj zawisło prawie wyłącznie od uznania i dobréj woli jednostek. Każdy układa książkę szkolną, kiedy chce, i do tego przedmiotu, który sobie dowolnie obierze; stąd zdarza się, że okazują się podręczniki mniéj potrzebne, na pojawienie się zaś innych, których należałoby sobie życzyć przed wszystkiemi innemi, trzeba czasem czekać długi czas bezskutecznie. Wynika stąd także, iż do jednych przedmiotów jest kilka lub kilkanaście podręczników, do innych zaś nie ma ich wcale. Tym niedogodnościom zapobiegnie się jednak, jeżeli całą sprawę ujmie się w pewien system, jeżeli się pracę nalezycie uorganizuje i rozdzieli. Z tego powodu byłoby wielce pożądaném, ażeby rada szkolna krajowa, jako władza powołana do aprobaty książek szkolnych, stworzyła osobną komisyą, któraby ułożyła cały program pracy, któraby program ten, w miarę zmieniających się potrzeb i warunków, odpowiednio modyfikowała i uzupełniała,

któraby udzielała wskazówek, jakie książki pisać należy, któraby jednem słowem, owładnęła cały ruch wydawniczy i stanęła na jego czele. Rzeczą tej komisyi byłoby także oceniać nadesłane rękopisy, czy i o ile stosują się do użytku szkolnego, wobec czego należałoby powołać do jéj składu najwybitniejsze w kraju siły fachowe w każdéj gałęzi umiejętności.

W myśl tych uwag, przedstawionych przez referenta, powzięto po wyczerpującéj dyskusyi następujące uchwały: 1) walne zgromadzenie wyraża przekonanie, że instrukcye dopiero wtedy dadzą się wszechstronnie wykonać, gdy do każdego przedmiotu wydane będą podręczniki i inne środki naukowe, ściśle do instrukcyi zastosowane; 2) walne zgromadzenie, uznając usiłowania prywatnych przedsiębiorstw na polu wydawnictw podręczników szkolnych za niedostateczne, poleca wydziałowi udać się do władz szkolnych z prośbą o ustanowienie komisyi, któraby wypracowała zasady i szczegółowe programy do podręczników szkolnych, a zarazem zajęła się rewizyą i oceną nadesłanych książek; oraz poleca wydziałowi, aby się zajął wyjednaniem u wysokiego sejmu stałéj subwencyi, przeznaczonéj na nagrody konkursowe za najlepsze podręczniki dla szkół gimnazyalnych i realnych.

Więcéj lokalny charakter nosi na sobie sprawa anormalnych stosunków gimnazyum realnego w Brodach (ref. prof. Bańkowski). W gimnazyum tém nauka odbywa się tylko pięć dni tygodniowo, gdyż przez wzgląd na znaczną liczbę uczniów wyznania mojżeszowego, sobota nie należy do dni szkolnych. Skutkiem tego cały materyał naukowy, jaki gdzieindziéj przeznaczony jest na sześć dni nauki, tutaj musi być przerobiony w przeciągu dni pięciu. Nadto obowiązkową jest w tym zakładzie nauka rysunków (czego w gimnazyach, w ścisłém tego słowa znaczeniu. nie ma), prócz tego zaś przypada większa niż gdzieindziéj ilość godzin na naukę historyi naturalnéj. Tak więc uczniowie mają tam przeciętnie o pięć godzin więcéj tygodniowéj nauki, która nadto rozłożoną być musi na mniejszą ilość dni, aniżeli gdzieindziéj. Na każdy dzień przypada zatém 6—7 godzin szkolnych, do czego jeżeli doliczymy 3—4 godzin nauki domowéj, celem odpowiedniego przygotowania się, wypadnie 10—11 godzin umysłowéj pracy dziennéj. Jest-to przeciążenie, które pociągać za sobą musi fatalne skutki; uczeń bowiem albo się nienależycie przygotowuje w domu do szkoły, albo téż, chcąc podołać swemu zadaniu, rujnuje zdrowie nadmiarem pracy. Ten ostatni wzgląd przedstawia tém więcéj niebezpieczeństwa. ile że młodzież gimnazyum brodzkiego jest przeważnie ubogą. głodną i źle odzianą, że zatém już ze względu na to nie należałoby jéj zmuszać

do zbytnich wysiłków w pracy. Zresztą istnienie dwudniowéj przerwy w nauce (sobota i niedziela) jest już ze względów dydaktycznych do odrzucenia; przerwa ta sprawia bowiem, że uczeń zapomina niejedno, co sobie przyswoił, a nadto wyprowadza go to z karbów szkolnych, czyni gnuśnym i niejednostajnie pracowitym. Chcąc tym niedogodnościom zaradzić, powzięło walne zgromadzenie uchwałę, polecającą wydziałowi poczynić stosowne kroki celem ich usunięcia. Najstosowniejszym krokiem, według zdania referenta, będzie, obok uszczuplenia godzin wykładowych pewnych przedmiotów, usunięcie święcenia soboty. W dniu tym uczęszczają nawet obecnie starozakonni uczniowie w Brodach na naukę religii i niektórych przedmiotów nadobowiązkowych; dla czegóżby tedy nie mieli uczęszczać na przedmioty obowiązkowe? Zresztą, w t. z. gimnazyum niemieckiém we Lwowie frekwencya żydów jest jeszcze o wiele znaczniejszą, a mimo to sobota jest dniem szkolnym; nie ma tedy powodu robić dla Brodów wyjątku w tym względzie.

Z omówionéj tu sprawy, jak nie mniéj z kilku innych poprzednio poruszonych punktów widać, jak baczną uwagę zwrócił zjazd na to, ażeby choć w części ulżyć panującemu dotąd zbytniemu przeciążeniu młodzieży. Dążność ta jest w Galicyi uzasadnioną może bardziéj niż gdziekolwiek indziéj. Pomijając już bowiem, że skutkiem wyjątkowych stosunków, trzeba tu więcéj ogarniać przedmiotów naukowych, aniżeli w innych prowincyach, podnieść należy i ten wzgląd, że ucząca młodzież zaciąga się przeważnie z ludności ubogiéj, że czasami rozporządza zaledwie najniezbędniejszemi a bardzo szczupłemi środkami do życia, a i te niejednokrotnie zdobywać sobie musi ciężką pracą pozaszkolną, która jeszcze bardziéj wyczerpuje jéj siły. Licząc się z tym stanem rzeczy, Towarzystwo nie poprzestało jedynie na saméj walce przeciw przeciążeniu, ale wystąpiło nadto z czynną inicyatywą w sprawie racyonalnego urządzenia fizycznego wychowania młodzieży, za pomocą którego możnaby choć częściowo zneutralizować zgubne skutki, wynikające z nadmiaru pracy. Poruszenie téj sprawy (referent profesor Palmstein) było téż w istocie naglącą koniecznością. Gdzieindziéj, jak w Niemczech, Francyi, Anglii, wychowanie fizyczne młodzieży jest przedmiotem najżywszéj troskliwości; u nas, pomijając już wzgląd, że bywa zazwyczaj lekceważoném w wychowaniu domowém, odgrywa ono nadto i w systemie szkolnym rolę istnego kopciuszka. Jedném słowem, kierunek wychowania jest w Galicyi więcéj jednostronny; kosztem ciała chce on kształcić ducha, tak jak gdyby ciało i duch stanowiły dwie odrębne, związku ze sobą nie mające strony istoty ludzkiéj. Są w Galicyi szkoły, w których nau-

ka gimnastyki nie bywa wcale udzielaną; liczba ich nie jest już wprawdzie znaczną i objawia coraz większą skłonność do zmniejszenia, ale nawet i tam, gdzie naukę gimnastyki wprowadzono, system nauczania pozostawia jeszcze dużo do życzenia. W wielu zakładach nie ma nawet osobnych sal gimnastycznych, a ćwiczenia odbywać trzeba na korytarzach nieopalanych (w zimie), wśród przeciągów, albo w zwykłych salach wykładowych, w których oczywiście niepodobna umieścić wszystkich potrzebnych przyrządów. Gdzieindziéj są wprawdzie osobne sale gimnastyczne, ale wilgotne, źle urządzone, grożące zawaleniem się. Jedném słowem, zakład, któryby posiadał warunki do odpowiedniego nauczania gimnastyki, jest prawdziwą rzadkością.

Co ważniejsza, gimnastyka nie należy do przedmiotów obowiązkowych. W gimnazyach jest ona w całéj Austryi przedmiotem nadobowiązkowym, w szkołach realnych należy ona we wszystkich innych prowincyach do przedmiotów obowiązkowych, z wyjątkiem Galicyi, stąd wynika, że korzystanie z ćwiczeń gimnastycznych zależy tylko od dobréj woli i uznania młodzieży saméj, a że młodzież ta nie zawsze umie ocenić ich ważność, przeto uczęszczający na gimnastykę w porównaniu z ogólną liczbą uczniów danego zakładu przedstawiają stosunek bardzo niekorzystny. Są szkoły, w których zaledwie trzecia, czwarta, a nawet piąta część uczniów korzysta z téj nauki; pozostała część pozbawia się własnowolnie pożytku dla zdrowia, jakiby stąd ciągnąć mogła. Okazuje się więc potrzeba wprowadzenia gimnastyki jako przedmiotu obowiązkowego w szkołach średnich, bo tylko w ten sposób zmusi się niejako uczniów do kształcenia ciała i wzmacniania zdrowia. W duchu tym oświadczyło się téż walne zgromadzenie jednogłośnie. Rozumie się samo przez się, że nauka gimnastyki, jeżeli ma wydać pomyślne owoce, musiałaby być urządzona w sposób racyonalny. Więc przedewszystkiém należałoby się postarać o odpowiednie sale i przyrządy gimnastyczne, następnie zaś urządzić rzecz tak, ażeby t. z. zastępy gimnastyczne, tj. ogół uczniów odbywających równocześnie ćwiczenia, nie zawierały zbytniéj ilości uczących się, w ten sposób bowiem na każdego z nich przypada bardzo mało czasu do ćwiczeń na przyrządach. Przytém należałoby powiększyć liczbę przeznaczonych na to godzin, dotychczas przypadała na każdy zastęp zaledwie jedna godzina w tygodniu, a więc rocznie (odtrąciwszy czas feryi) nie więcéj jak 40, liczba zresztą teoretyczna tylko, zmniejszająca się w rzeczywistości znacznie skutkiem rozlicznych świąt, spowiedzi, chorób uczniów itp. W końcu nie potrzeba wyjaśniać, iż gimnastyka, wprowadzona nawet jako przedmiot obowiązkowy, nie mogłaby być uważaną za rzecz,

której wszyscy bez wyjątku uczniowie mieliby się poddać; tam gdzie wady organiczne wskazywałyby gimnastykę jako rzecz szkodliwą, mogącą je bardziéj jeszcze spotęgować, lub w ogóle zagrażać zdrowiu, należałoby ucznia usunąć od ćwiczeń. Stąd zaś wypływa, że gimnastyka powinna zostawać pod nadzorem lekarskim, nie w tém oczywiście rozumieniu, jakoby przy wszystkich lekcyach lekarz miał być obecnym—bo byłoby to ze względów praktycznych trudne do wykonania,— ale w tém, że od oględzin i orzeczenia lekarskiego miałoby zależéć dopuszczenie ucznia do ćwiczeń. Prawda, że i potém jeszcze, przez cały ciąg nauki należałoby do pewnego stopnia rozciągać nadzór, że się tak wyrazimy, lekarski nad ćwiczącymi się, a mianowicie uwzględniając właściwości organizmu ucznia, jednego dopuszczać tylko do pewnych ćwiczeń, innemu zabronić ich, a natomiast nakazać inne; gdy wszakże w tym kierunku ciągły nadzór lekarzów jest, jak wspominałem, niemożliwy, przeto pożądaną byłoby rzeczą, ażeby sam nauczyciel znał się do pewnego stopnia na somatologii. Wychodząc z tych zapatrywań uchwaliło walne zgromadzenie rezolucyą, uznającą potrzebę wprowadzenia na uniwersytetach wykładów somotologii i hygieny, z którychby korzystać mogli kandydaci stanu nauczycielskiego.

Jeżeli wszystkie poprzednio omówione sprawy dotyczyły przeważnie reformy szczegółów w obecnym systemie szkolnym, to sprawa, o któréj nam teraz z kolei wspomniéć wypada, sięga znaczeniem swojém znacznie daléj, dotyczy bowiem gruntownéj reorganizacyi całéj kategoryi szkół średnich. Mówimy tu o wnioskach w sprawie reformy szkół realnych, uzasadnionych dwoma obszernymi referatami prof. Dziwińskiego i Rottera. W przeciwstawieniu do gimnazyów, dążących przedewszystkiém do nadania uczniom wykształcenia humanitarnego na podstawie studyum języków klasycznych, mają szkoły realne cel więcéj praktyczny, mają nauczyć młodzież pojmować przyrodę, uzdolnić ją do zrozumienia ducha teraźniejszości i jego potrzeb. Taki cel wytknięty został tym szkołom i w Austryi, w chwili wydania planu, dla szkół realnych, w r. 1849. Pozostawiając szczegółowe ich urządzenie przyszłości, zakreślił plan ten na razie ogólne tylko zarysy organizacyi szkół realnych; wprowadził mianowicie niższe i wyższe szkoły realne, wyznaczając im dwa cele: 1) bezpośrednie przygotowanie do zawodów przemysłowych przez nadanie młodzieży pewnego średniego stopnia wykształcenia ogólnego, jako też wykształcenia fachowego, potrzebnego w zawodach przemysłowych; 2) umiejętne przygotowanie do wyższych zakładów technicznych. Pomiędzy niższemi a wyższemi szkołami realnemi zachodzić miała co do zakresu nauczania tyl-

ko różnica ilościowa, nie zaś jakościowa. Do przedmiotów teoretycznych zaliczył plan: religią, języki ojczyste, drugi język żyjący, geografią i historyą. matematykę i nauki przyrodnicze, rysunki cyrklowe i odręczne, wreszcie kaligrafią; do przedmiotów praktycznych: buchalteryą, budownictwo, technologią i towaroznawstwo.

Jeszcze dzisiaj trzeba przyznać planowi temu niepospolite zalety, to téż szkoły, które na jego podstawie urządzono, były istotnie wzorowe. Przepełnione zazwyczaj uczniami, wychowały ludzi, którzy dziś stoją przeważnie na czele ruchu przemysłowego, rękodzielniczego, a nawet technicznego w Galicyi i którzy zawsze jeszcze wspominają o nich z szacunkiem. Pierwotnie jeden tylko Lwów miał wyższą szkołę realną; w innych większych miastach kraju były tylko szkoły niższe; atoli wobec dodatnich owoców, jakie szkoły te przynosiły, objawiła się w wielu miejscach dążność do przekształcenia szkół niższych na wyższe, co téż nastąpiło rzeczywiście w Krakowie, Stanisławowie, Stryju i Jarosławiu. Kiedy w r. 1867 wprowadzono język polski jako wykładowy, szkoły realne zyskały jeden warunek więcéj do pomyślnego oddziaływania na wychowanie młodzieży; jakoż w istocie, w pierwszych zaraz chwilach objawił się u nich bardzo znaczny napływ uczniów; i tak np. szkoła realna we Lwowie liczyła ich w okresie 1869—1873 przeszło po 1000 rocznie. Ten znaczny napływ miał zresztą przyczynę i w innéj jeszcze okoliczności. W czasie tym, w t. z. erze ekonomicznego rozwoju Austryi, kiedy budowa nowych kolei na większą skalę w Galicyi była w perspektywie i kiedy w ogóle zawody techniczne przedstawiały widoki korzyści materyalnych, pchnięto młodzież do szkół realnych, chcąc jéj zapewnić dobrą a zarazem łatwą do zdobycia przyszłość. Tymczasem jednak nastąpiły fakta, które położyły nagłą tamę rozwojowi szkół realnych i spowodowały zmniejszenie liczby uczniów do niebywałych poprzednio rozmiarów.

A naprzód, przesilenie finansowe z r. 1873, które oddziałało również i na Galicyą w sposób niekorzystny. Powtóre, brak odpowiednio rozwiniętego przemysłu w Galicyi, skutkiem czego, w miarę rosnącego napływu uczniów do szkół realnych, zmniejszały się również widoki łatwego zdobycia przyszłości. Głównie zaś wpłynęły tu ujemnie same stosunki szkolne. Wprowadzenie języka polskiego jako wykładowego, jakkolwiek samo w sobie tyle pożądane, pociągnęło przecież za sobą pewne niekorzystne następstwa. Musiano usunąć dawniejszych profesorów niemieckich, a nie mogąc znaleść dla mnóstwa młodzieży dostatecznéj liczby ukwalifikowanych nauczycieli, zwłaszcza zaś do przedmiotów realnych, jak matematyka, geometrya wykreślna, rysunki odręczne, itp. Trzeba było przed-

mioty te powierzyć nieudolnym rękom zabranych wprost z ławek szkolnych słuchaczów Akademii technicznéj, którzy zadaniu swemu nie zawsze sprostać zdołali. Nadto poruczano kierownictwo zakładów przeważnie także kandydatom niezupełnie kwalifikowanym, bo pełniącym przedtém obowiązki profesorów gimnazyalnych, przejętym zatém więcéj duchem gimnazyum, niemającym zrozumienia ani dokładnéj znajomości, jak należy kierować szkołami realnemi. Z postępem czasu wszystkie te braki wywołać musiały skutek całkiem naturalny: okazało się mianowicie, iż wychowańcy szkół realnych nie mają potrzebnego wykształcenia ogólnego i realnego, wyrobiło się nawet w społeczeństwie przekonanie, że przeciętny poziom wykształcenia realisty stoi o wiele niżéj aniżeli u gimnazisty.

Nadewszystko jednak wpłynęła na upadek szkół realnych sama zmiana w ich urządzeniu, dokonana przez władzę prawodawczą. Dawniejszy plan z r. 1849 wymagał z biegiem czasu uzupełnienia i odpowiednich modyfikacyi. Postęp nauk technicznych, zdobycze nauk przyrodniczych, wzrost rozwoju matematyki, jakie się w ostatnich lat dziesiątkach z taką siłą objawiły, wywołały potrzebę organizacyi wyższych zakładów technicznych, a tém samém także potrzebę umiejętnéj szkoły średniéj, jako zakładu przygotowawczego do tych studyów. Plan z r. 1849 nie czynił już zadość tym wymogom, bo kładł większą wagę na stronę praktyczną, niż umiejętną całéj sprawy. Zmodyfikowano go więc w ten sposób, że usunięto z systemu naukowego wszelkie przedmioty praktyczne, jak buchalteryą, towaroznawstwo itp., zniesiono niższe szkoły realne, które nie mogły już dać należytego do Akademii technicznéj przygotowania, zatrzymano zaś tylko szkoły realne wyższe. Na tém jednak skończyła się na razie reforma; była ona, jak widzimy, natury tylko połowicznéj, odjęto bowiem dawniejszym zakładom ich praktyczność, ale nie dano jeszcze podstawy umiejętnéj, potrzebnéj dla przyszłego technika.

Rząd czuł wprawdzie bardzo dobrze niedostateczność téj reformy; nie chcąc wszakże przeprowadzać jéj w zupełności na własną rękę, przekazał jéj uzupełnienie sejmom prowincyonalnym. Sejmy zajęły się téż niebawem tą sprawą, między innemi, także i sejm galicyjski; ale projekt ustawy, jaki w téj mierze uchwalił, nie otrzymał sankcyi cesarskiéj. Gdy zaś cała sprawa poszła następnie w zapomnienie, wydało ministerstwo oświaty, chcąc zapobiec zgubnym skutkom, jakie z tego niezdecydowanego stanu rzeczy wyniknąćby mogły dla kraju, osobny p l a n t y m c z a s o w y dla nauki w szkołach realnych galicyjskich (r. 1872). W innych prowincyach rzecz przybrała o wiele korzystniejszy obrót. Uchwalone przez sejmy usta-

wy o urządzeniu tych szkół otrzymały zatwierdzenie cesarskie, a że różniły się między sobą bardzo tylko nieznacznie, przeto na ich podstawie wydało ministerstwo w r. 1879 ogólny plan normalny, z mocą obowiązującą dla tych krajów, w których ustawy sejmowe uzyskały sankcyą. Obecnie tedy przedstawia się rzecz w ten sposób, że w Galicyi obowiązuje plan tymczasowy z r. 1872, we wszystkich innych prowincyach plan normalny z r. 1879. Jestto okoliczność, która stawia szkolnictwo realne galicyjskie w najniekorzystniejszym stosunku do tegoż szkolnictwa w innych prowincyach państwa. Plan z r. 1872 bowiem, układany z widocznym pośpiechem, przeznaczony tylko dla chwilowéj potrzeby, stoi bez porównania niżéj co do wartości swojéj od planu z r. 1879. W ogóle biorąc nie odbiega on o wiele od zarysu organizacyjnego z r. 1849, a różni się tém tylko, że znosi naukę przedmiotów praktycznych; przeciwnie plan normalny oparty jest na zasadach najnowszych, postępowych i ma wszelkie warunki po temu, aby zapewnić szkołom realnym pożądany rozwój. Urządza on je do politechnik w takim samym stosunku, w jakim gimnazya stoją do uniwersytetów, a więc tworzy rzeczywistą. umiejętną szkołę średnią, mającą dostarczyć młodzieży przygotowawczego wykształcenia do najwyższych zakładów naukowych. Jako przedmioty obowiązkowe uznaje on: religią, język ojczysty, francuski i angielski, historyą i geografią, matematykę i fizykę, historyą naturalną i chemią, geometryą wykreślną i rysunki cyrklowe, rysunki odręczne, kaligrafią i gimnastykę. Z porównania tego spisu ze spisem zawartym w planie z r. 1872 wynika, że w szkołach realnych galicyjskich nie jest obowiązkową przedewszystkiém nauka gimnastyki, powtóre, że do przedmiotów obowiązkowych nie należą także język francuski i angielski. Skutkiem tego bogata literatura Zachodu, który w ostatnich czasach tyle zdziałał na polu nauk technicznych, jest dla młodzieży nieprzystępną; nadto zaś zbytnie zaniedbanie nauki języków wpływa ujemnie na wykształcenie jéj humanitarne, ogólne. Daleko bardziéj razi jeszcze przestarzała metoda nauki, jaką znajdujemy w planie z r. 1872; plan normalny stoi wobec niego znacznie wyżéj pod tym względem. Tak np. odmienny porządek w ugrupowaniu materyału naukowego w matematyce wpływa tu na większą intensywność nauki; podobnież, wykład chemii, mimo że przeznaczono dlań o dwie godziny mniéj, może według planu z r. 1879 doprowadzić do korzystniejszych rezultatów. W geometryi wykreślnéj zmniejszony jest tu plan naukowy co do ilości, natomiast położony wielki nacisk co do jakości i ścisłości wiedzy; w rysunkach odręcznych dąży on do wyrobienia samodzielności w uczniu, do wzbudzenia w nim poczucia piękna i zrozumienia doniosłości form, kiedy

tym czasem plan z r. 1872 uprawia przeważnie tylko kopiowanie wzorów, i zdolny jest chyba z uczniów stworzyć bezmyślnych naśladowców.

Cóż dziwnego, że wobec tych wszystkich czynników, sprzysięgłych niejako na sprowadzenie upadku szkół realnych, upadek ten w rzeczywistości nastąpił? Dawniéj dobijały się miasta galicyjskie o uzyskanie szkół realnych; dziś dobijają się o zamianę ich na gimnazya, i to nie bez skutku. Realne szkoły w Stryju i Jarosławiu przemienione już zostały na gimnazya; obecnie, w całéj Galicyi są tylko trzy zupełne szkoły realne: we Lwowie, Krakowie i Stanisławowie, kiedy gimnazyów jest 25. Jestto procent tak mały, że napróżno szukalibyśmy go w innych prowincyach. I tak np.

w Austryi dolnéj jest na	22	gimn.	17	szk.	real.
na Morawie	„ 20	„	16	„	„
w Czechach	„ 50	„	22	„	„
na Bukowinie . . .	„ 3	„	2	„	„
w Karyntyi . . } w Krainie . . }	„ 7	„	2	„	„ itp.

Dziwny to zaiste fakt, że na przeszło sześciomilionową ludność Galicyi wystarczyć mogą 3 szkoły realne, a i te nie są bynajmniéj przepełnione; szkoła lwowska np., chlubiąca się niegdyś tysiącznym zastępem uczniów, ma ich dzisiaj niespełna 300. Bezprzykładny ten upadek nie leży zapewne w saméj tylko wadliwéj organizacyi szkół galicyjskich; okoliczności zewnętrzne, zwłaszcza zaś niepomyślny rozwój przemysłu, grają tu także ważną rolę. Nie ulega jednak wątpliwości, że samo niedostateczne urządzenie szkół jest najgłówniejszym powodem ich upadku. Uwzględniając ten fakt, przedstawił wydział Towarzystwa następujące rezolucye: 1) walne zgromadzenie uważa za naglącą potrzebę reorganizacyą szkół realnych i poleca wydziałowi, aby w tym celu poczynił stosowne kroki; 2) zanim sejm krajowy opracuje plan dla szkół realnych galicyjskich, walne zgromadzenie uchwala przyjąć *en bloc* plan normalny dla szkół realnych z r. 1879 z dołączeniem języka niemieckiego jako przedmiotu obowiązkowego, podobnie jak się to stało w gimnazyach. (Ten ostatni dodatek był potrzebny z tego względu, że według planu normalnego, obowiązującego w prowincyach niemieckich, język niemiecki jest ojczystym; w Galicyi byłby nim język polski. ale obok tego należałoby oczywiście nauczać także niemieckiego).

W dyskusyi, jaka się wywiązała, rozmaite wystąpiły zapatrywania. Przyznano wprawdzie powszechnie, że dzisiejsze szkoły realne są źle urządzone, i że, o ile chodziłoby o ich reorganizacyą, należa-

łoby wprowadzić plan normalny z r. 1879; ale poruszono zarazem kwestyą, czy nie lepiejby było zająć, ze względu na reformę, inne jeszcze punkta widzenia. Jedni przemawiali mianowicie za tém, ażeby obecnym szkołom realnym nadać także charakter szkół praktycznych, a więc wrócić poniekąd do zasad wypowiedzianych w planie z r. 1849. Zdaniem naszém dzisiaj żądanie to nie jest już na czasie. Wszelki system nauczania przyrzeka tém lepsze owoce, im dokładniéj przeprowadzona w nim jest jednolitość planu naukowego, a nietrudno dojrzéć, że połączenie celów praktycznych z teoretycznemi zamąciłoby właśnie tę jednolitość planu. Co mogło być dobrém przed laty czterdziestu, dziś już może być przestarzałém i nieodpowiednén. Zresztą nie należy spuszczać z uwagi, że obecna szkoła realna ma być zakładem przygotowawczym do umiejętnych studyów technicznych, i że chcąc spełnić chociażby tylko to jedno zadanie, wymaga już nie małego wysiłku pracy i sporo czasu do jego urzeczywistnienia. Łączyć z temi celami teoretycznemi jeszcze i cele praktyczne, znaczyłoby to nie tylko już naruszać ideę jednolitości organizacyi, ale nadto przeciążać uczniów nawałem pracy, do czego, wobec zbytniéj ilości przedmiotów, przyłączyćby się musiało nadto mniéj ścisłe ich traktowanie, pociągające za sobą powierzchowność wykształcenia. W końcu i tę jeszcze wytknąć należy okoliczność, że dzisiaj, gdzie dla poszczególnych zawodów praktycznych istnieją lub organizują się osobne szkoły fachowe, jak handlowe, przemysłowe, itp., konieczność łączenia obu kierunków: teoretycznego i praktycznego, w ustroju szkół realnych odpada sama z siebie.

Podniesiono także myśl, którą poruszyła zresztą już dawniéj Rada szkolna krajowa, czy nie byłoby rzeczą właściwą, zamiast dwóch kategoryi szkół średnich, gimnazyów i szkół realnych, stworzyć tylko jednę, mającą przygotowywać zarówno do studyów uniwersyteckich jak i politechnicznych, a więc zlać obie te kategorye w jednę całość. Czy i o ile taki pomysł dałby się w praktyce urzeczywistnić, nie wchodzimy w bliższy rozbiór; wspomnieć jednakże należy, że przedstawiałby on nie małe trudności. Nikt nie zaprzeczy, że do studyów uniwersyteckich potrzebną jest znajomość języków klasycznych; do studyów technicznych znajomość języków nowożytnych; chcąc ucznia takiego wspólnego zakładu średniego przysposobić do studyum w jednym lub drugim zakładzie wyższym, trzebaby chyba naukę wszystkich tych języków traktować równorzędnie, i stworzyć tym sposobem szkołę poliglotyczną, jak się słusznie wyraził jeden z mówców. Zresztą, przysposobienie do politechniki wymagałoby położenia większego nacisku na naukę przedmiotów matematycznych i przyrodniczych, gdy przeciwnie nauka gimnazyalna może je traktować

mniéj obszernie, bez uszczerbku zadania, jakie ma do spełnienia. We wspólnym zakładzie średnim trzebaby oczywiście uwzględnić wymagania daléj sięgające, okoliczność, która łącznie z owém rozszerzoném studyum języków groziłaby niebywałém przeciążeniem uczniów. Jakkolwiekbądź zresztą rzecz ta urządzićby się dała, to pewna, że nie można jéj było załatwiać z pośpiechem, bez należytego przygotowania; dlatego walne zgromadzenie nie rozstrzygając bynajmniéj kwestyi o połączeniu obu kategoryi szkół, a licząc się jedynie z tém, co jest i co się w danych stosunkach zreorganizować da, przyjęło w zupełności oba wnioski, przedstawione przez wydział. Prawdziwą korzyścią, jaka wypłynęła z dyskusyi, było poruszenie sprawy szkół przemysłowych, których potrzeba w Galicyi odczuwać się daje bardzo dotkliwie; to téż na wniosek prof. Sokołowskiego polecono wydziałowi zająć się bliżéj tą sprawą i spostrzeżenia swe w téj mierze przedłożyć najbliższemu walnemu zgromadzeniu.

Załatwiwszy się z temi kwestyami, dotyczącemi organizacyi i metody nauczania, zajął się wreszcie zjazd także i sprawą samego stanu nauczycielskiego, mianowicie zaś s p r a w ą p o l e p s z e n i a b y t u t. zw. s u p l e n t ó w, c z y l i z a s t ę p c ó w n a u c z y c i e l i (ref. prof. R a d z i s z e w s k i). W myśl zarysu organizacyjnego z r. 1849 istnieje przy każdym całkowitym zakładzie naukowym 11 „systemizowanych“ posad nauczycielskich (nie licząc w to dyrektora i katechetów—razem więc 13 lub 14 posad). Ci nauczyciele są urzędnikami państwowymi w całém tego słowa znaczeniu, używają więc wszelkich praw, jakie przysługują w ogóle stanowi urzędniczemu. Obok tego jednak posiada każdy zakład większą lub mniejszą liczbę zastępców nauczycieli, którzy, jakkolwiek składają przysięgę służbową, nie są jednakże uważani za urzędników i zajmują, zarówno pod względem materyalnym jak i społecznym stanowisko bardzo upośledzone. I tak mianowicie, płaca ich roczna wynosi tylko 600 złr. wal. austr., ale niekiedy zmniejsza się do połowy albo nawet czwartéj części. To zmniejszenie następuje mianowicie wtedy, jeżeli suplent nie uczy tygodniowo przepisanéj ilości godzin; w miarę uszczuplenia tych godzin, uszczupla się także stosunkowo płaca. W ostatnich czasach zdarzały się tedy wypadki, że roczne wynagrodzenie suplenta wynosiło nie więcéj nad 105 złr. 98 ct. Daléj, nie ma zastępca nauczyciela prawa do pobierania t. z. „dodatku aktywalnego“, które przysługuje wszystkim urzędnikom państwowym, ani téż prawa do pobierania „dodatku kwinkwennalnego“, t. j. odpowiedniego powiększenia płacy, w razie jeżeli przez 5 lat pełni służbę na téj saméj posadzie; zresztą, lata spędzone na suplenturze nie są mu wliczane do „kwinkwenniów“, skoro zostanie stałym profeso-

rem. Lata te wliczane bywają wprawdzie do emerytury (wszakże dopiero od czasu zdania egzaminu nauczycielskiego), ale i tutaj zachodzą pewne ograniczenia; i tak np. egzaminowany zastępca, który 15 lat służył jako suplent, a 15 jako profesor, musi dodatkowo odsłużyć jeszcze lat 10, aby otrzymać całą emeryturę, którą stały nauczyciel pobiera już po latach 30, suplent może być zresztą bez żadnéj przyczyny i wbrew swojéj woli przeniesiony z jednego miejsca na drugie, wreszcie zaś nie ma on prawa głosowania ani przy wyborach do rady państwa, ani też do sejmu, ani nawet przy wyborze do reprezentacyi gminnéj.

Łatwo zrozumiéć, że taki stan rzeczy pociągnąć może za sobą najfatalniejsze skutki. Nędzne położenie materyalne, w jakiém znajdują się suplenci, zmusza ich do szukania zarobku postronnego, nie dozwala oddać się swojemu zawodowi z całém poświęceniem, co gorsza zniechęca ich do niego. W szeregach zastępców nauczycieli zaczyna się już teraz objawiać pewna dezercya, na korzyść innych zawodów, które dają lepsze i pewniejsze utrzymanie, a liczba kandydatów stanu nauczycielskiego maleje z postępem czasu coraz bardziéj. A trzeba dodać, że liczba suplentów jest w Galicyi, w stosunku do ogólnéj liczby nauczycieli, bardzo znaczna, znaczniejsza, niż w jakiejkolwiek innéj prowincyi. Następujące zestawienie statystyczne może dać o tém dokładne wyobrażenie. I tak przypada na 100 nauczycieli rzeczywistych:

w Austryi górnéj z Salzburgiem .	11·32	supl.
na Szląsku	13·04	„
w Karyntyi i Krainie.	13·54	„
na Wybrzeżu	14·60	„
w Dalmacyi	18·31	„
w Tyrolu z ziemią przedarulańską .	18·31	„
w Styryi	23·58	„
na Morawie	38·15	„
w Czechach	42·44	„
na Bukowinie	65·81	„
w *Galicyi*	**68·62**	„

Celem usunięcia tego nieprawidłowego i z interesem szkoły na wskróś niezgodnego stanu, powzięło walne zgromadzenie rezolucyą, wyrażającą konieczność zmniejszenia liczby zastępców i polepszenia ich bytu, a to za pomocą następujących środków.

1. Przez założenie szkół średnich w liczbie odpowiadającéj zaludnieniu i obszarowi Galicyi. Pod względem obszaru przypada obecnie:

w Austryi dolnéj	na	508.31	□ km.
na Szląsku.	„	571.95	„ „
na Morawie	„	617.49	„ „
w Czechach	„	721.61	„ „
na Wybrzeżu.	„	798.86	„ „
w Tyrolu z ziemią przedarulańską	„	1629.27	„ „
w Dalmacyi	„	1827.51	„ „
na Bukowinie	„	2090.20	„ „
w Austryi górnéj z Salzburgiem .	„	2129.15	„ „
w Karyntyi i Krainie	„	2262.10	„ „
w Styryi	„	2494.89	„ „
w *Galicyi*	„	**2706.79**	„ „

Galicya zajmuje tu więc ostatnie miejsce; w porównaniu zaś z przeciętną liczbą stosunkową całéj monarchii austryackiéj, należałoby się jéj, ze względu na jéj obszar, o 37 szkół średnich więcéj, aniżeli obecnie.

Gorzéj jeszcze przedstawia się stosunek ze względu na zaludnienie. I tak mianowicie przypada jedna szkoła średnia:

w Tyrolu z ziemią przedarulańską	na	50.672	mieszk.
w Austryi dolnéj	„	56.209	„
na Morawie	„	59.980	„
na Szląsku	„	65.007	„
na Wybrzeżu	„	66.658	„
w Dalmacyi	„	70.019	„
w Czechach	„	76.972	„
w Karyntyi i Krainie	„	90.046	„
w Austryi górnéj z Salzburgiem .	„	100.886	„
na Bukowinie	„	113.975	„
w Styryi.	„	134.649	„
w *Galicyi*	„	**218·520**	„

Tu znowu, ze względu na liczbę przeciętną, należałoby się Galicyi o 43 szkół więcéj, aniżeli obecnie.

Prawda, że o pomnożeniu liczby szkół średnich, odpowiadającém w z u p e ł n o ś c i stosunkom obszaru i zaludnienia w Galicyi, nie można myśléć na razie; gdyby wszakże uczyniono choć cokolwiek w tym kierunku, gdyby w kilku tylko miastach, które dobijają się o szkoły średnie i które nawet niejednokrotnie ofiarowały na ten cel pewne fundusze od siebie, pozwolono otworzyć gimnazya lub szkoły realne, stosunek przybrałby od razu kształty o wiele korzystniejsze, raz dla tego, że powiększyłaby się liczba stałych po-

sad nauczycielskich, powtóre dla tego, że w zakładach już istniejących zmniejszyłaby się odpowiednio ilość uczniów, skutkiem czego zbytnia ilość suplentów okazałaby się tamże zbyteczną. Obecnie gimnazya galicyjskie liczą przeważnie po nad 500, 600, 800 uczniów, a są i takie, które ich mają z górą 1000. Według danych statystycznych, z 14 gimnazyów w całéj Austryi, liczących po nad 600 uczniów, 8 przypada na Galicyą, 6 na wszystkie inne prowincye. Skutkiem takiego przepełnienia, trzeba wszędzie prawie tworzyć klasy równoległe, które zostają pod kierownictwem suplentów. Gdyby ilość tych klas równoległych zmniejszono, możnaby także zmniejszyć ilość posad zastępców nauczycieli.

2. Przez utworzenie potrzebnéj liczby stałych posad nauczycielskich nadetatowych. Liczba 11 (względnie 14) stałych posad, które wprowadził zarys organizacyjny z r. 1849, mogła wystarczyć jak na stosunki ówczesne; obecnie jednak, kiedy do nauki w szkołach średnich wprowadzony został język polski jako wykładowy, bez usunięcia języka niemieckiego, okazuje się potrzeba powiększenia personalu nauczycielskiego o jednę stałą posadę. Ze względu zaś, że w Galicyi jest 25 zupełnych szkół średnich, przeto już samo spełnienie tego żądania powiększyłoby liczbę stałych posad nauczycielskich dość znacznie. Nie koniec jednak na tém. W myśl zarysu organizacyjnego z r. 1849 instytucya suplentów służy tylko do celów nadzwyczajnych, i tak np. suplent ma być użyty do zastępstwa w razie śmierci lub dłuższéj choroby profesora, w razie jeżeli na rozpisany konkurs nie zgłosi się żaden kwalifikowany kandydat i t. p. Nadto, wedle reskryptu ministeryalnego z 11 marca 1857, każda „paralelka," istniejąca nieprzerwanie przez dłuższy przeciąg czasu, powinna spowodować władze szkolne do odpowiedniego pomnożenia posad systemizowanych. Otóż wykazać się da, że w Galicyi w ciągu ostatnich lat siedmiu istniało nieprzerwanie 48 „paralelek", że zatém licząc na każdą z tych klas półtoréj siły nauczycielskiéj, wypadłoby pomnożyć jeszcze ilość posad nadetatowych o 72, co bardzo znacznie przyczyniłoby się do umniejszenia zbytniéj liczby suplentów, tém bardziéj, że dotychczas nie ma w Galicyi prawie żadnéj posady *extra statum.*

3. Przez szybsze posuwanie zastępców na opróżnione posady. Dotychczasowy system, praktykowany pod tym względem przez radę szkolną krajową, jest bardzo powolny i wymagałby koniecznéj zmiany przez szybsze załatwianie podań o nominacyą.

4. Przez zaniechanie nominacyi zastępców nauczycieli ze zmniejszoną płacą, rzecz, o któréj już poprzednio mówiliśmy.

5. Przez zaliczenie egzaminowanych suplentów do pewnéj klasy urzędników, a to co najmniéj do XI klasy. W ten sposób suplent pobierałby oprócz płacy 600 złr. nadto jeszcze i „dodatek aktywalny“, a zarazem miałby prawo do „kwinkwenniów.“ Żądanie to przedstawia się uzasadnioném tém bardziéj, ile że do XI klasy zaliczani są po największéj części urzędnicy nie mający ani studyów uniwersyteckich, ani tak trudnych egzaminów jak profesorskie.

Oto w ogólnym zarysie działalność drugiego walnego zjazdu Towarzystwa nauczycieli szkół wyższych. Ktokolwiek przypatrzy się jéj bliżéj, ten zapewne nie posądzi nas o przesadę za to, żeśmy ją nazwali żywotną i pożyteczną. Zjazd ten dotknął z całą stanowczością i zrozumieniem rzeczy rozlicznych wad w dziedzinie szkolnictwa galicyjskiego, a wykazawszy ujemne ich strony, umiał podać odpowiednie środki zaradcze. Prawda, że rezolucye zjazdu nie są jeszcze reformą szkolnictwa, że cała jego akcya w tym kierunku ma więcéj znaczenie teoretyczne aniżeli praktyczne, że urzeczywistnienie jego żądań leży w ręku władz powołanych do tego; ale już samo podniesienie tylu spraw ważnych, wyciągnięcie ich przed *forum* całego społeczeństwa daje rękojmię, iż władze te okażą się pochopniejszemi do uwzględnienia całego szeregu życzeń tamże wypowiedzianych, tyle zresztą słusznych i uzasadnionych. Widoczna zresztą, że w stawianiu swych postulatów zjazd zachował największe umiarkowanie, że nigdzie nie domagał się jakiegoś szczególnego uprzywilejowania szkolnictwa galicyjskiego, że zawsze uwzględniał stosunki w innych prowincyach austryackich, że żądał tylko równouprawnienia w téj mierze z innemi prowincyami, a i z tego żądania nie zawsze wyprowadzał wszystkie wyniki, jakieby wyprowadzić można było, jeżeli widział, że żądanie to w praktyce nie dałoby się urzeczywistnić w całości.

Jest jeszcze jeden wzgląd, który obradom zjazdu dodaje nie małego znaczenia. Oto stan nauczycielski, nie cieszący się — powiedzmy otwarcie—zbytniém uznaniem w dość licznych sferach społeczeństwa galicyjskiego, złożył tu niejako próbę przed temże społeczeństwem, jak się zapatruje na stosunki swego zawodu, jego wymagania i potrzeby, jak pojmuje swe obowiązki i w jaki sposób pragnąłby je urzeczywistnić. I wypadła ta próba na zupełną korzyść nauczycieli; z dyskusyi, jakie się toczyły, widać było wszędzie zrozumienie rzeczy, jasny a trzeźwy pogląd na nią, co zaś najważniejsza, widać było zapał dla sprawy. Widać było, że święty ogień rozszerzania oświaty w narodzie nie ostygł w nich i nie zatarł się ani z postępem czasu, ani wśród przeciwności, z którymi walczyć muszą.

I oto nasunęła się niejednemu może uwaga, że rzeczywista, wewnętrzna wartość stanu nauczycielskiego przewyższa o wiele tę, jaką mu w ostatnich czasach przyznawała opinia.

Towarzystwo nauczycieli szkół wyższych ma do spełnienia ważne jeszcze zadania. Cokolwiekbądź powiemy o urozmaiconym programie tegorocznego zjazdu, to jednak pewna, że nie dotknął on jeszcze wszystkich wad szkolnictwa galicyjskiego. Oczywiście, naprzód trzeba było uwzględnić rzeczy najważniejsze, a i tych nie można było traktować równomiernie we wszystkich szczegółach. Dalsze zjazdy pozwolą zapewne rozszerzyć program i pogłębić działalność Towarzystwa. Na razie witając z całém uznaniem to, co już zrobiono, zakończymy chyba rzecz naszą słowami organu Towarzystwa (Muzeum), wypowiedzianemi z powodu zjazdu: „Opuszczaliśmy salę obrad z podniosłém usposobieniem ducha, które było wypływem przeświadczenia, żeśmy pracowali uczciwie i z pewnym pożytkiem dla kraju, i czuliśmy, że nam przestronniéj w duszy i cieplé j koło serca. Okazało się, że umiemy poważnie myśléć, że nasze dusze nie zardzewiały i nie wyziębły pod wpływem samolubnych dążności i pragnień, że wreszcie umiemy się dostroić do wysokości tego tonu, jakiego wymaga nasze stanowisko i bieżąca chwila. A ton ten brzmiał przez cały ciąg zgromadzenia czysto i pełno, bez fałszywego przydźwięku jakiegokolwiek, i nie zniżył się ani razu do poziomu trywialności, lecz brzmiał bez przerwy równie podniośle." — Wygląda to na pochwałę własną; — tym razem jest to przynajmniéj słuszna pochwała.

R.

POGLĄDY NAEGELEGO NA DARWINIZM

I NOWA TEORYA

POCHODZENIA GATUNKÓW.

Mechanisch-physiologische Theorie der Abstammungslehre von Prof. Dr. C. v. Naegeli, Leipzig. 1884.

I.

Od czasu, gdy w roku 1859 Karol Darwin ogłosił swoją teoryą rozwoju drogą doboru naturalnego, dziwne i różnorodne losy spotykały jego naukę. Wielkie i głęboko w prawdę przyrody sięgające poglądy tém się bardzo często odznaczają, że dla niedostatecznie nawet przygotowanych umysłów wydają się najzupełniéj zrozumiałe i proste, jakkolwiek w rzeczywistości wymagają dla należytego ocenienia ich rozległéj wiedzy i odpowiedniéj wysokości inteligencyi. Ludzie, niedostatecznie przygotowani, nie umieją często odróżnić naukowego, opartego na pozytywnych danych, uogólnienia lub téż indukcyjnie wyprowadzonego systematu od spekulacyi, stanowiących chorobliwy często płód zagłębiania się w samego siebie. Stąd téż uważają się za dostatecznie kompetentnych sędziów wszelkich uogólnień, bez względu na stopień naukowego swego przygotowania. To téż więcéj znajdzie się krytyków, z nieusprawiedliwioną zarozumiałością zabierających głos we wszelkiéj *teoryi* społecznéj, aniżeli w pewnéj specyalnéj złożonéj kwestyi ekonomicznéj, zamkniętéj wyłącznie w granicach wiedzy faktycznéj; zupełnie to samo dzieje się z teoryami biologicznemi. Do rozbioru jakiéjś złożonéj sprawy z dziedziny anatomii mikroskopowéj, lub embryologii przystępują zazwyczaj tylko ludzie z lepszém i gruntowniejszém bez porównania przygotowaniem, aniżeli wielu z tych, którzy porywają się na krytykę teoryi rozwoju świata organicznego, opartéj wszakże na ścisłéj wiedzy biologicznéj, bez któréj stanowczo nie może być zupełnie i dokładnie oceniona.

Bo i któż, proszę, nie miał się za kompetentnego sędziego i krytyka teoryi Darwina, tak ścisłego, głęboką i rozległą posiadającego wiedzę i tak ostrożnego w wypowiadaniu zdań stanowczych, przyrodnika? Uczeni naturaliści, lekarze, ekonomiści, duchowni i świeccy literaci i literatki, fejletoniści i reporterzy — wszyscy uważali i uważają się za jednakowo dobrze przygotowanych do należytéj oceny poglądów wielkiego myśliciela angielskiego, do zarzucania mu braku jakoby logiki i ścisłości naukowéj. O ile więc literatura, poświęcona nauce Darwina, jest rozległą, o tyle jest ona różnorodną ze względu na wartość swą naukową. Z pośród olbrzymiéj ilości krytyk darwinizmu, kilkanaście zaledwie zasługuje na miano prawdziwych, naukowych jego rozbiorów, i te przyczyniły się rzeczywiście w wysokim stopniu, jak wszelkie poważne roztrząsania, do bliższego wyjaśnienia wielu stron nauki darwinistycznéj.

Przez słowo „darwinizm“ pojmuje się zazwyczaj dwie różne rzeczy, a mianowicie: teoryą powolnego i stopniowego rozwoju świata organicznego od form najniższych do coraz wyższych, oraz teoryą walki o byt i doboru naturalnego, jako czynników, które ten ciągły rozwój oraz to ustawiczne doskonalenie się jestestw organicznych powodowały i wciąż je jeszcze podtrzymują. Co do pierwszéj, to jakkolwiek Darwin dopiero dostatecznie ją ugruntował na niewzruszonych i pewnych podstawach, przed nim już jednak niektórzy uczeni wypowiadali ze stanowczością pogląd, iż gatunki są zmienne i rozwinęły się jedne z drugich. Lamarck w słynnéj swéj „Filozofii Zoologii“ (1809), a następnie w roku 1815 we wstępie do „Historyi naturalnéj zwierząt bezkręgowych“ wypowiedział zdanie, że wszystkie gatunki, nie wyłączając nawet człowieka, pochodzą od innych gatunków. Przyjmował on również prawo postępowego rozwoju. Po nim znajdujemy cały szereg przyrodników i filozofów, będących obrońcami teoryi powolnego i stopniowego rozwoju i doskonalenia się świata organicznego. Wymienię Geoffroy St. Hilaire'a (1795), dra Granta (1826), dra Freke (1851), który twierdził, że wszystkie istoty organiczne powstały z jednéj formy pierwotnéj, Herberta Spencera (w 1852 r., oraz w r. 1855) dowodzącego w swéj Psychologii konieczności *stopniowego* zdobywania każdéj władzy i zdolności umysłowéj w szeregu rozwojowym istot organicznych, botanika francuzkiego Naudina, dra Schaffhausena itd. Darwin atoli wszechstronnie i gruntownie teoryą przemiany gatunków roztrząsnął, dał jéj silną podstawę i uczynił ją niewzruszoną prawdą naukową, jako opartą na tysiącznych dowodach anatomicznych, embryologicznych, fizyologicznych, geologicznych i paleontologicznych. Najgłówniejsza zasługa Darwina polega wszelako nie na tém, iż dowiódł on przemiany ga-

tunków w ogóle, lecz na tém, iż wskazał przyczyny, przemianę tę wywołujące, a jakkolwiek i tu miał kilku w dziejach wiedzy poprzedników (Dr. W. C. Wells, P. Matthew, Naudin) był on jednak głównym prawdziwym twórcą idei walki o byt i doboru naturalnego, jako najważniejszych czynników przemiany i doskonalenia się organizmów.

Przystępując więc do rozbioru jakiejś krytyki darwinizmu, musimy naprzód spytać, czy krytyka ta odnosi się do teoryi przemiany gatunków w ogóle, czy téż tylko teoryi doboru naturalnego, jako głównéj przyczyny owéj przemiany. Otóż, obecnie nie ma żadnego gruntowniejszego naturalisty, któryby wierzył w stałość form zwierzęcych, któryby przypuszczał, że odrazu powstał na ziemi wymoczek i człowiek, i że pomiędzy gatunkami nie ma żadnego pokrewieństwa rodowego. Ci, co się na tę wielką porywają prawdę, nie są ludźmi nauki, nie znają kardynalnych zasad wiedzy biologicznéj, a prawdziwa nauka musi pozostać w takim do nich stosunku, w jakim pozostaje względem ludzi, nie wierzących w krążenie krwi, lub istnienie komórki organicznéj!

Zupełnie rzecz inna, o ile różni naturaliści oceniają doniosłość teoryi doboru naturalnego, jako najgłówniejszego czynnika w rozwoju jestestw żyjących. W téj sprawie występowali dawniéj i dziś jeszcze istnieją uczeni, twierdzący na zasadzie pewnych danych pozytywnych, że idea doboru naturalnego nie może wytłómaczyć nam całéj różnorodności organicznego świata i ustawicznego jego rozwoju. Niektórzy badacze, nie odmawiając ważnego znaczenia doborowi naturalnemu przy przemianie gatunków, twierdzili tylko, że on sam nie wystarcza do wytłómaczenia nam wszelkich objawów téj przemiany; inni atoli, mniéj liczni, starali się ją wyjaśnić zupełnie bez pomocy doboru naturalnego. Do tych ostatnich należy prof. C. v. Naegeli, znakomity botanik niemiecki, autor wydanego niedawno dzieła, którego tytuł podaliśmy w nagłówku.

W dziele tém uczony niemiecki przedstawia mechaniczno-fizyologiczną teoryą rozwoju, według któréj ani walka o byt, ani téż dobór naturalny, lecz tylko przyczyny, leżące w saméj protoplazmie, w saméj materyi żywéj, stanowiące wewnętrzne jéj siły, powodują powolny i stopniowy rozwój organizmów. Aby zapoznać czytelnika z poglądami Naegelego, zatrzymamy się naprzód cokolwiek nad teoryą doboru naturalnego Darwina, nad zarzutami, jakie czynili jéj niektórzy uczeni, i nad krytyką jéj przez Naegelego; potém powiemy, co stawia uczony ten na miejscu teoryi doboru naturalnego i wreszcie zestawimy z sobą poglądy jego i Darwina.

U istot żyjących widzimy dwa wielkie, współcześnie działające prawa rozwoju: dziedziczność i zboczenie. Znaczenie pierwszego jest powszechnie znaném, dzieci odziedziczają cechy rodziców swoich, i to nie tylko cechy gatunkowe (lew rodzi lwa, lipa—lipę) lecz i indywidualne, wiadomo bowiem, że dzieci odziedziczają po rodzicach ich rysy, postawę, charakter, zdolności, zboczenia patologiczne itd. Jednakże, dzieci nie są nigdy absolutnie podobne do rodziców, często bardzo cechy indywidualne ulegają znacznym zmianom u potomstwa, a to mniejsze lub większe zboczenie od typu rodzicielskiego jest tak samo prawem ogólném, jak i dziedziczność. Otóż, jak wiadomo, hodowcy korzystają często z pewnych przypadkowych zboczeń (powiadamy przypadkowych, gdyż zwykle nie znamy przyczyny danego zboczenia, nie idzie wszelako za tém, aby nie były one *koniecznym* wynikiem całego szeregu przyczyn i skutków), krzyżują z sobą osobniki posiadające w najwyższym stopniu dane zboczenie i w ten sposób przelewają je na ich potomstwo, zpośród którego znów parzą z sobą te osobniki, u których zboczenie najsilniéj jest wyrażone. W taki sposób hodowcy wytworzyli różne rasy bydła i rozmaite odmiany roślin uprawnych; gromadzili tedy drogą t. z. doboru sztucznego w swych tworach domowych takie cechy, jakie dla danego celu były najodpowiedniejsze; tu szło im o owce z grubą wełną, tam o owce z krótkiemi nogami, indziéj ptastwo domowe szczególnéj jakiejś odmiany itd. W taki sposób powtórzyły się setki ras zwierzęcych i roślinnych. Przez ciągłe nagromadzanie pewnych właściwości, rasy mogą po wielu pokoleniach bardzo znacznie różnić się od siebie. Tak więc może mieć miejsce coraz większe i silniejsze różnicowanie się, rozbieżność cech (dywergencya), mogąca wreszcie wytworzyć rasy tak dalece różne, że możnaby je podnieść do wysokości gatunków odmiennych.

W naturze, podobnie jak w hodowli domowéj, istnieje także dziedziczność i zboczenie, ale gdzież jest tu siła, któraby wybierała do życia pewne tylko osobniki, odznaczające się jakiémś zboczeniem? Co zastępuje sobą jedném słowem w naturze dobór sztuczny, którego trzymają się hodowcy? Otóż, w przyrodzie rodzi się zawsze więcéj istot żyjących, aniżeli może się utrzymać przy życiu w obec istniejących warunków. Skutkiem tego pomiędzy tworami żywemi wywiązuje się zacięta walka o byt; najróżnorodniejsze i najbardziéj odległe od siebie gatunki roślin i zwierząt znajdują się w ciągłéj z sobą kolizyi, ulegając różnym przejawom współzawodnictwa życiowego. Ponieważ zatém wiele jest istot powołanych do życia, a mało może się przy niém utrzymać, pozostają zwycięzcami te tylko jednostki, które obdarzone są najkorzystniejszemi dla siebie zbocze-

niami; tak więc zupełnie bezwiednie działa w naturze dobór, czyli wybór naturalny, zachowujący przy życiu osobniki, mające jakiekolwiek bądź cechy pożyteczne; osobniki te przelewają cechy swe na potomstwo i w taki sposób dane zboczenia coraz silniéj się utrwalają, coraz bardziéj nagromadzają, z czego wynika ciągłe różnicowanie się, ciągła rozbieżność cech i bezustanna przemiana form żyjących. Oto możliwie jaknajzwięźléj wyrażona darwinowska idea doboru naturalnego.

Zobaczmy teraz, jakie zarzuty stawiano téj teoryi? Jeden z najpoważniejszych, wygłoszony przez Brouna, Broca a głównie przez Nägelego (Entstehung und Begriff der naturhistorischen Art. München. 1865) polegał na tém, że istnieje wiele cech, które nie przynoszą, przynajmniéj o ile wiemy, żadnego pożytku organizmowi, które więc nie mogły były powstać przez dobór naturalny. Broun (1), jako przykład, przytacza długość ogona i uszu u rozmaitych zającowatych i myszowatych, skomplikowane fałdy na emalii zębów u wielu zwierząt ssących i mnóstwo innych analogicznych wypadków. Co się tyczy roślin, to przedmiot ten obszernie i szczegółowo rozebrał prof. Naegeli w wyżéj wymienionéj rozprawce. Uczony ten przyznaje, że dobór naturalny wiele zdziałał; ale przytém kładzie nacisk i na to, że bardzo często u roślin rodziny różnią się pomiędzy sobą takiemi głównie cechami, które mają, zdaje się, bardzo mało znaczenia dla pomyślnego rozwoju gatunku. Jako przykład cech takich, służyć mogą: układ komórek w tkankach, układ liści na około osi, liczba działów w częściach kwiatowych, położenie zalążków, forma nasion, o ile nie przynosi żadnego pożytku przy ich rozsiewaniu itp.

Karol Darwin w nowych wydaniach dzieła swego „O powstawaniu gatunków“ starał się odpowiedzieć na powyższe zarzuty, stawione teoryi jego, zarzuty, które sam nazwał bardzo poważnemi. Naprzód, powiada uczony angielski, powinniśmy być w ogóle bardzo ostrożni przy rozstrzyganiu pytania, jakie cechy są obecnie, lub były dawniéj korzystne dla gatunku. Co do przypuszczalnéj nieużyteczności rozmaitych części i organów, prawie zbyteczną będzie uwaga, że u najwyższych nawet i najlepiéj znanych zwierząt istnieje wiele organów tak wysoką i złożoną posiadających budowę, że niepodobna wątpić o ich fizyologiczném znaczeniu, a jednak użytku ich aż dotąd nie poznano wcale, lub téż bardzo tylko niedokładnie; o pożytku zaś niektórych dowiedziano się dopiero niedawno. Tak np. jakże długo nie mieli fizyologowie najmniejszego pojęcia o zna-

(1) K. Darwin „O powstawaniu gatunków.“ Warszawa. Nakład Przeglądu Tygodniowego 1885.

czeniu śledziony, a i dziś jeszcze jak niedokładnie znana nam jest rola życiowa tego wielkiego i tak złożonego organu. Profesor Broun przytoczył długość uszu i ogona, jako niezbyt ważny wprawdzie, przykład różnic w budowie, nie przynoszących żadnego specyalnego pożytku. Ale, jak wykazały późniejsze poszukiwania dra Schöbla, zewnętrzne ucho myszy opatrzone jest w niezwykłe mnóstwo nerwów, tak iż bez wątpienia służy jako organ dotyku; długość więc uszu nie może być, jak to się na pozór wydaje, zupełnie bez znaczenia. Podobnych wypadków można by przytoczyć z państwa zwierzęcego bardzo wiele. To samo stosuje się téż do roślin. Tak np. kwiaty storczyków (*Orchidiaceae*) przedstawiają mnóstwo ciekawych i bardzo złożonych urządzeń, które przez długi czas uważane były wprost za różnice morfologiczne, nie spełniające żadnych specyalnych funkcyi. Dziś atoli wiadomo, że mają one niezmiernie ważne znaczenie przy zapładnianiu gatunków przez pośrednictwo owadów i że zapewne zostały nabyte drogą doboru naturalnego. Tak samo téż nie wiedziano przez długi czas, czy jakakolwiek korzyść wypływa z tak zwanéj wielokształtności roślin, tj. istnienia dwóch lub trzech osobników danego gatunku, odznaczających się rozmaitą długością pręcików i słupka. Zdawało się, że jest to także cecha czysto morfologiczna, żadnego pożytku roślinom nie przynosząca. Tymczasem przeciwnie, późniejsze poszukiwania wykryły, iż urządzenia takie pomagają roślinom krzyżować się, co znów ze swéj strony wzmacnia w wysokim stopniu potomstwo. Tak więc i te cechy, jako korzystne dla gatunku, mogły były powstać drogą doboru naturalnego.

Daléj w odpowiedzi na powyższy zarzut Naegelego i innych, że widzimy u istot organicznych, mnóstwo ważnych cech morfologicznych, nie przynoszących im jednak żadnéj korzyści, Darwin kładzie nacisk na tak zwane zjawisko współczynności, czyli korelacyi organów. Biologia mianowicie uczy, iż różne organy i części ciała znajdują się w tak ścisłym związku fizyologicznym, że modyfikacya jednéj części sprowadza téż pewne, mniejsze lub większe, przemiany w pozostałych. Objaśnić to sobie można bądź tém, że skoro do pewnego organu powiększa się dopływ pożywienia, inne tracą na tém i cierpią w skutek tego, bądź téż tem, że pewna część powiększając się lub zmniejszając, uciska inne, sąsiednie, lub téż pozwala im bardziéj się rozrastać itd.; jak głęboka i tajemnicza bywa niekiedy ta zależność, dowodzą takie zjawiska jak np. związek głuchoty z barwą oczu i skóry u niektórych zwierząt, albo téż związek koloru skóry z wrażliwością organizmu na pewne trucizny itp. Z faktów tych wynika, że możemy napotykać liczne cechy morfologiczne u zwierząt

i roślin, które jakkolwiek nie przynoszą same żadnéj widocznéj korzyści osobnikom, rozwinęły się jednak w skutek współczynności fizyologicznéj z innemi organami, które, jako korzystne, powstały drogą doboru naturalnego. Wreszcie, niektóre cechy mogły też powstać wprost w skutek działania wpływów zewnętrznych, niezależnie od doboru naturalnego; cechy te mogą być naturalnie najzupełniéj pozbawione pożyteczności; jako przykład, przypomnijmy chociażby olbrzymiéj nieraz wielkości narośle galasowe na liściach, wywołane, jak wiadomo, na roślinie wprost w skutek nakłócia jéj przez owad.

Inny przez kilku uczonych, szczególniéj zaś przez *Mivarta* (On the genesis of species. London. 1871) podniesiony zarzut przeciwko teoryi doboru naturalnego jest następujący. Dobór naturalny nie może wytłómaczyć początkowych stadyów pożytecznych organów, albowiem każdy organ pożyteczny, gdy tylko zaczął występować i był jeszcze nierozwinięty, nie mógł najczęściéj żadnéj jeszcze korzyści osobnikom przynosić. Jakże objaśnić sobie np. podobieństwo barwy licznych zwierząt do zabarwienia miejscowości, na któréj żyją lub podobieństwo owadów do przedmiotów otaczających, jako to: liści, suchych gałęzi, kwiatów i t. d., jeśli przyjmiemy, że zjawiska te powstały drogą doboru naturalnego i jeśli nie przypuścimy przytém z góry, że podobieństwa te w pewnym stopniu zrazu już istniały, a dobór mógł je tylko wzmocnić, powiększyć, jako cechy korzystne dla osobników. Ale to zarzut tylko pozorny, albowiem zboczenia bywają bardzo różnorodne, a osobniki w małym chociażby stopniu zbliżone barwą swą do przedmiotów otaczających, już pewną, jakkolwiek z początku bardzo nieznaczną, osiągać mogły korzyść dla siebie. W bardzo wielu wypadkach nieznaczne już modyfikacye dostarczyć mogą ochrony i korzyści osobnikom. Darwin ma najzupełniejszą słuszność, jeśli powiada, że u owadów, prześladowanych przez ptaki i inne zwierzęta z silnie rozwiniętym wzrokiem, wszelkie stopniowanie w podobieństwie do otoczenia, zmniejszające niebezpieczeństwo łatwego dostrzeżenia, sprzyja zachowaniu się przy życiu osobników i rozmnażaniu się ich. *Mivart* chciał na licznych pojedynczych przykładach wykazać niedostateczność teoryi doboru naturalnego dla wyjaśnienia początkowych stadyów wszelkich pożytecznych cech morfologicznych. Darwin zaś rozbiera w dziele swém te zarzuty pojedyncze i z przekonywającą siłą obala je jeden za drugim. Tak np. co do powstania gruczołów mlecznych, tych tak charakterystycznych i ważnych organów dla całéj grupy zwierząt ssących, *Mivart* zapytuje: czy da się to zrozumiéć, że młode jakiegoś zwierzęcia zostało kiedykolwiek uratowane od zagłady przez

to, że wypadkowo wyssało kroplę mało pożywnego płynu (takiém musiało być początkowo mleko) z wypadkowo przerośniętego gruczołu skórnego swéj matki; a gdyby nawet zdarzyło się to istotnie, jakież zachodzi prawdopodobieństwo, że taka modyfikacya nieznaczna przeleje się na potomstwo i nazawsze utrwali? Ale oto, jak logicznie Darwin zarzut ten zbija. Przedewszystkiém, powiada on, kwestya postawioną tu została w sposób niewłaściwy. Większość ewolucyonistów przypuszcza, że ssawce pochodzą od formy, zbliżonéj do zwierząt workowatych. Jeśli tak jest rzeczywiście, to gruczoły mleczne rozwinąć się musiały naprzód w worku (torbie). U ryby pławikonika (*Hippocampus*) młode wykłuwają się i wychowują także w podobnéj torbie. Otóż naturalista amerykański *Mr. Lockwood* sądzi, na podstawie swych spostrzeżeń nad rozwojem młodych, że karmią się one wydzielinami gruczołów skórnych téj torby. Czyż więc to niemożliwe przynajmniéj, powiada Darwin, że młode najdawniejszych przodków zwierząt ssących, zanim zasługiwały jeszcze na tę nazwę, żywiły się w sposób podobny. W takim zaś razie osobniki, wydzielające płyn do pewnego stopnia lub z pewnych względów pożywniejszy, mający własności zbliżone do mleka, mogły w ciągu długiego czasu wychować większą ilość dobrze odżywianego potomstwa, aniżeli osobniki, wydzielające płyn mniéj pożywny. Tym sposobem gruczoły skórne, homologiczne z mlecznemi, udoskonaliły się czyli stały się bardziéj zdolnemi do funkcyi. Zgodnie zaś z zasadą specyalizacyi, mającą szerokie bardzo zastosowanie, gruczoły skupione mogły się na niektórych punktach worka rozwinąć więcéj aniżeli na innych, a wtedy utworzyły one zlokalizowane gruczoły mleczne, które u wyższych ssaków coraz silniéj mogły się rozwijać.

Tego rodzaju rozumowań, jak powyższe, dla przykładu przytoczone, znajdujemy u Darwina bardzo wiele, a wszystkie dostatecznie wykazują, że zarzut, jakoby dobór naturalny nie mógł tłómaczyć początkowych stadyów cech morfologicznych, jest słaby i nie wytrzymuje krytyki.

Oto najważniejsze zarzuty, jakie wybitniejsi naturaliści stawiali teoryi doboru naturalnego. Przytoczyłem je dla tego, aby czytelnik ocenił, o ile nie nowemi i uwzględnionemi już przez samego Darwina (w późniejszych wydaniach dzieła jego) są zarzuty, jakie profesor Naegeli uwydatnia w ostatniem swém dziele (1884) i które skłaniają go nietylko już do zmniejszenia znaczenia teoryi doboru naturalnego, lecz do zupełnego jéj nawet odrzucenia.

Naegeli rozpatruje następujące punkta, które, że wyrażę się jego słowami, „uniemożliwiają przyjęcie doboru naturalnego.“

Co do ogólnéj doniosłości teoryi doboru naturalnego, to nieokreślone działanie nieokreślonych przyczyn, oraz rozstrzyganie drogą doboru naturalnego, zbyt silnie pozostawione *przypadkowi* (dem Zufall)—nie odpowiada, według Naegelego, dzisiejszym naszym poglądom przyrodniczym. Daléj zaś teorya doboru naturalnego, któréj zasadą jest pytanie o korzyść, osiągniętą przez zjawisko, staje, jak powiada Naegeli, w sprzeczności z prawdziwém i ścisłém badaniem przyrodniczém, które przedewszystkiém stara się poznać działające przyczyny zjawisk (*causae efficientes*). Zarzut powyższy nie tylko że najzupełniéj nie wytrzymuje krytyki, lecz dowodzi, niestety, iż ludzie rozległéj nauki i głębokich myśli nie umieją niekiedy zrozumiéć należycie pewnéj idei. Nietylko Naegeli ale i mnóstwo innych naturalistów i nie-naturalistów zarzucało Darwinowi, że wprowadza on do nauki pojęcie przypadku i celowości (*teleologii*) (1). Jest to jeden z tych fałszów naukowych, które zbyt głęboko zapuściły korzenie w umysłach wielu ludzi, by nie miały często paraliżować siły logiki i zdrowego rozumowania. Jeśli darwinista powiada, że osobniki rodzą się niekiedy z pewnemi przypadkowemi zboczeniami organizacyi, które mogą im w pewnym kierunku przynosić korzyść, natenczas przez wyraz „przypadkowe“ określa on tylko nieznajomość przyczyn, jakie zboczenie to wywołały. Pojęcie przypadkowości w tym poszczególnym szeregu zjawisk nie różni się w niczém od takiegoż pojęcia wogóle. Trzeba najzupełniéj być pozbawionym wykształcenia przyrodniczego, by wierzyć, iż w naturze lub życiu człowieka może się cokolwiekbądź stać przypadkowo, bez pewnych przyczyn, któreby zjawisko to wywołały. A nie pojmuję zaiste, jak można oskarżać Karola Darwina o nadawanie jakiejkolwiek bądź wagi przypadkowi! Co zaś do zdania Naegelego, że ścisłe badania przyrodnicze dążą tylko do wykrycia przyczyn działających (*causae efficientes*), nie zaś celowych (*causae finales*), to i ono w niczém absolutnie nie sprzeciwia się poglądom Darwina, tylko silnie popiera ich doniosłość i ścisłość naukową. Kto przypisuje darwinizmowi celowość, ten błądzi dlatego, że nie umie odróżnić skutku od przyczyny. Nie *dlatego* rodzą się osobniki z pożytecznemi zboczeniami i nie *dlatego* przyroda robi pomiędzy niemi wybór, *aby* gatunki się zmieniały i doskonaliły, lecz naodwrót przemiana i postęp organizacyi istnieje jako konieczny skutek tego, że przy życiu utrzymać się mogą jednostki tém snadniéj, im lepiéj przystosowane są do staczania walki ze współzawodnikami, oraz z warunkami bytu; a *mu-*

(1) Kwestyę tę doskonale rozebrał prof. A. Wrześniowski w artykule swym o Karolu Darwinie („Wszechświat“, rok 1882).

szą być jedne przystosowane lepiéj, inne gorzéj, a niektóre, wymierające, najgorzéj, dlatego, że cechy ich ulegają *wahaniom* wskutek prawa zboczenia. Taką więc drogą przyczyny działające najzupełniéj bezwiednie, bezcelowo – wywołują zjawiska, noszące na sobie pozorne piętno celowości. •

Naegeli stara się w inny jeszcze sposób przemówić do przekonania czytelnika. Należy, powiada on, przyznać raz nazawsze, że zjawiska w świecie organicznym odbywają się tak samo zupełnie jak w nieorganicznym, a to dlatego, że drugie poprzedzały pierwsze i warunkują je sobą. Gdybyśmy więc zechcieli zastosować zasadę teoryi doboru naturalnego do przyrody nieorganicznéj, cóż możnaby było powiedziéć o pożyteczném przystosowaniu zjawisk téj ostatniéj do innych objawów świata nieorganicznego i organicznego? Na szczęście, powiada Naegeli, chemia i fizyka zajmują się tylko poszukiwaniem przyczyn, a nikt nie stawia tam hipotez spekulatywnych co do tego, jakie korzyści lub szkody przynosi postać sześciokątna płatkowi śniegu, lub téż postać kulista kropli deszczu. Przyroda nieorganiczna, mówi daléj krytyk, jest w ogóle oraz w szczegółach uważana przez ścisłą wiedzę, jako systemat sił i ruchów, pozostających we wzajemnéj równowadze i dążących wciąż do takowéj, jeśli tylko zostaje ona zakłóconą. Przyroda organiczna jest również tak w całości, jakotéż w każdéj pojedynczéj swéj części, systematem sił i ruchów, a zadaniem wiedzy filogenetycznéj winno być przedewszystkiém: wykrycie zakłócających równowagę przyczyn, oraz wskutek tego ciągle występujących przemian! Brzmi to rzeczywiście na pozór bardzo przekonywająco! Ale tylko na pozór. Dowcipne i słuszne niby zdanie znakomitego botanika, że jeśli upatrujemy jakąś korzyść w stosunkach morfologicznych istot żyjących, to tém samém winniśmy téż szukać jéj w świecie martwym i pytać, jaką korzyść przynosi np. płatkowi śniegu kształt jego, zdanie to, powiadam, okazuje nadzwyczajną powierzchowność, jeśli tylko głębiéj zastanowimy się nad różnicą, jaka zachodzi pomiędzy ciałami organicznemi, a światem mineralnym. Istota żyjąca znajduje się w bezustannéj zależności od otoczenia swego, odżywia się, poszukuje pokarmu, rusza się, powiększa swą objętość, wydziela i t. d. Nie możemy sobie ani na chwilę wyobrazić życia bez ciągłego wpływu wzajemnego istoty żywéj na otaczające warunki i tych ostatnich na nią (Herbert Spencer). Wskutek tego o życiu każdéj istoty stanowią tysiączne warunki, najbardziéj złożone. Ponieważ zaś istot organicznych rodzi się więcéj, niż żyć może, te, które tym złożonym warunkom bytu mniéj odpowiadają, żyć przestają, powracając na łono przyrody martwéj. Pozostające zaś przy życiu twory przekazują swe

przymioty potomstwu, a to rozmnażanie się i odziedziczanie cech stanowi także własność jedynie tylko tworów organizowanych. Jakże więc to jest możliwe, aby minerały, nie walczące o byt, nie rozmnażające się i nie dziedziczące cech swoich, mogły nabywać drogą doboru pewne korzystne właściwości? Owszem, przypuśćmy tylko na chwilę, że owe płatki spadającego śniegu walczą z sobą o pokarm i miejsce, że wydają potomstwo, które odziedzicza ich cechy; a jeśli wtedy najczęściéj pojawiać się będą postacie sześciokątne i jeśli one wyprą sobą w szeregu czasu wszelkie inne, będziemy musieli przypuścić, że taka właśnie forma najbardziéj odpowiada ich warunkom bytu i dlatego utrzymała się na drodze wyboru naturalnego.

Moglibyśmy nawet ze swéj strony pójść jeszcze daléj i powiedziéć, że bezwiedna siła (dobór naturalny) niszcząca jedne, a pozostawiająca i zachowująca inne twory przyrody, najlepiéj danym warunkom bytu odpowiadające, występuje nieraz widocznie i w martwéj nawet naturze. Karol du Prel w sposób wcale nie naciągany stosuje ideę walki o byt i doboru do powstawania systematu planetarnego. W ciągłém dążeniu do równowagi, jedne światy, mające gorsze warunki bytu tak ze względu na objętość swoją, gęstość, jakotéż ruchy i położenie we wszechświecie, ulegały zniszczeniu, ustępowały innym, najlepiéj do zachowania się przystosowanym.

Drugi zarzut, postawiony przez Naegelego teoryi doboru naturalnego, polega na tém, że nie można stosować wyników, dotyczących sztucznego tworzenia ras zwierzęcych do kwestyi powstawania odmian w naturze, co stanowi, jak wiadomo, podstawę teoryi doboru naturalnego. Oba te bowiem szeregi zjawisk są, jak twierdzi Naegeli, najzupełniéj odmienne, gdyż same rasy (sztucznie wytworzone), oraz odmiany (naturalne) różnią się pomiędzy sobą zasadniczo. Stosowanie zatém idei doboru *sztucznego* (stwierdzonego faktami) do przyrody i stwarzanie na jéj zasadzie teoryi doboru *naturalnego*, jako czynnika analogicznego, jest co najmniéj ryzykowném, jeśli już nie najzupełniéj fałszywém i błędném. Ale zobaczmy, w czém znajduje prof. Naegeli tak olbrzymią przepaść pomiędzy rasami i odmianami. Najważniejszą różnicę upatruje on tu ze względu na zjawisko krzyżowania. Podczas gdy rasy jednakowego pochodzenia, nawet gdy widoczne ich cechy bardzo się od siebie różnią, nader łatwo krzyżują się z sobą; odmiany, bardzo nawet zbliżone do siebie, okazują wielką trudność w mieszaniu się wzajemném czyli krzyżowaniu. Otóż, tę różnicę w łatwości krzyżowania się ras i odmian przypisać należy, zdaniem naszém, tylko temu, że pierwsze i drugie różnią się bardzo dawnością swego powstania. Rasy istnieją przecie tylko stosunkowo bardzo niedawno (jako wytworzone już

przez człowieka), pokrewieństwo ich dlatego jest bardzo bliskie, stałość, jaką osiągnęły, bardzo mała. Odmiany zaś są bez porównania daleko starsze, dlatego też wzajemne pokrewieństwo ich jest o wiele słabsze (są one daleko bardziéj odległe od formy pierwotnéj), a stałość osiągnęły daleko większą.

Profesor Naegeli twierdzi daléj, że rasy różnią się zupełnie tém także od odmian, iż pierwsze zachowują czystość krwi przy powstawaniu, t. j. gdy tworzy się pewna rasa o szczególném jakiémś zboczeniu, nie miesza się z inną, cechy téj nieposiadającą (albowiem człowiek przeszkadza takiemu krzyżowaniu się), drugie zaś, to jest odmiany, wciąż mieszają się z sobą i dlatego utrudniają wyróżnicowanie się nowych odmian o nowych, specyalnych cechach. Zarzut ten bez wątpienia ma pewne znaczenie, ale niezmiernie małe, jeśli tylko zważymy, jak znaczną jest przewaga doboru naturalnego nad sztucznym. W pierwszym trudniéj wprawdzie by miało miejsce krzyżowanie z sobą osobników, mających pewne cechy silniéj rozwinięte i mogące się w taki sposób coraz bardziéj utrwalić — aniżeli w ostatnim, gdzie następuje ciągła domieszka krwi obcéj, przeszkadzając czystości odmiany. Ale za to zważmy, jak słabą i krótkotrwałą jest działalność doboru sztucznego w porównaniu z naturalnym. Człowiek — powiada Darwin — może oddziaływać jedynie na cechy zewnętrzne i widzialne; przyroda zaś oddziaływać może na każdy organ wewnętrzny, na każdy odcień różnicy w budowie, na cały mechanizm życia; pole jéj działalności jest dlatego o wiele, że tak powiemy, szersze i głębiéj sięgające. Człowiek dobiera cechy tylko dla własnéj swéj korzyści; przyroda zaś dobiera to, co korzystne jest dla życia samego organizmu. Każda wybrana przez nią i utrwalona cecha znajduje zupełne zastosowanie, o czém zresztą świadczy sam fakt wyboru. Człowiek rzadko tylko zwraca specyalną i systematyczną uwagę na każdą cechę; jednakowym pokarmem — powiada Darwin—żywi on rasę krótko i długo-dziobego gołębia; nie traktuje rozmaicie zwierząt o długich nogach i o wydłużonym grzbiecie; hoduje w jednym i tym samym klimacie krótko i długowełniste owce; nie pozwala najsilniejszym i najpiękniejszym samcom walczyć o posiadanie samic (dobór płciowy). Człowiek rozpoczyna często dobór od nawpół potwornéj formy lub przynajmniéj od takiéj zmiany, która rzucała mu się w oczy, lub też wyraźnie była korzystna dla niego. W przyrodzie zaś najdrobniejsze różnice w budowie lub konstytucyi mogą przechylić szalę w dokładnie zrównoważonéj walce o byt i tym sposobem się utrzymać. Przytém—powiada wreszcie Darwin—pragnienia i usiłowania człowieka są tak ulotne, życie tak krótkie! Jakże więc słabe muszą być rezultaty jego pracy, jeśli porównamy je

z pracą natury, działającéj w ciągu olbrzymio długich epok geologicznych. Czyż w obec tego podobna twierdzić, że działanie doboru naturalnego mniejsze ma znaczenie, aniżeli sztucznego. Przeciwnie, jeśli nawet pod pewnemi względami (o jakich mówi prof. Naegeli) dobór sztuczny skuteczniéj działa od naturalnego, to z wielu innych względów naturalny przewyższa nieskończoną potęgą swoją sztuczny, a powstawanie odmian naturalnych tém snadniéj objaśnić sobie można przez porównanie i analogią do powstawania ras, drogą doboru sztucznego.

Trzeci z rozbieranych przez prof. Naegelego zarzutów ma, zdaje mi się, największą może doniosłość. Według zasady doboru naturalnego, cała organizacya jest skutkiem wpływów odżywiania się w najszerszém tego słowa znaczeniu, czyli w ogóle zewnętrznych warunków życia, na istoty żyjące oddziaływających. Wywierają one wpływ na wszystkie, pojedyncze części organizmu i powodują różnorodne zboczenia, z których następnie dobór naturalny zachowuje i utrwala pożyteczne.

Gdyby zatém zewnętrzne warunki życia pozostawały wciąż niezmienione, zboczenia byłyby się nie tworzyły, i na odwrót, im większą była by różnica warunków, tém silniejsze i różnorodniejsze występowałyby zboczenia. Ale jeśli przejdziemy do faktów, to przynajmniéj, co się tyczy roślin, liczne zjawiska sprzeciwiają się temu teoretycznemu wnioskowi. Naegeli przypomina, że niektóre gatunki roślin w końcu okresu lodowego żyły poczęści na Alpach, poczęści zaś powędrowały na daleką północ i że pomimo różnych warunków, jakie tu i tam spotkały, pomimo odmiennych współzawodników i stosunków fizycznych aż do dziś dnia pozostały w obu miejscowościach zupełnie jednakowemi; inne znów gatunki przybyły dawno do Niemiec ze wschodu i dotąd pozostały niezmienione itd. Jeśli przyczyny odżywiania, w najszerszém tego słowa znaczeniu, mają jedynie powodować przemianę dziedziczną, dlaczego nie uczyniły one tego—pyta Naegeli w tych wypadkach?

Zresztą musimy sobie wystawić, że tak nieokreślone przyczyny tylko w tym razie wywołać by mogły wszystkie różnorodne i charakterystyczne cechy zwierząt oraz roślin, jeśli powodowały by zrazu najrozmaitsze zboczenia, a z tych dopiero pożyteczne zostały by wybierane. Stąd téż w zmieniających się gatunkach—a niema powodu, dla którego by wszystkie i zawsze nie miały się zmieniać,—musiałyby powstawać u różnych osobników początki wszelkich możliwych cech, albowiem wtedy tylko była by pewność, że i właściwa tj. korzystna w pewnym kierunku, znajduje się pomiędzy niemi. Ale ilość tych zboczeń musiałaby być w takim razie olbrzymią, a teorytycznie na-

leży przyjąć, że wszystkie one, chociażby najdrobniejsze, chociażby pojedynczych dotyczące komórek, musiałyby być dziedziczne, albowiem w przeciwnym razie nie mogłyby się utrwalać filogenetycznie. Dobór dobréj jakiéj, początkowéj cechy w obec tak wielkiéj a ogólnéj zmienności i dziedziczności, staje się dosyć trudnym do zrozumienia. A zresztą, przypuśćmy, że jakieś okoliczności wywołały już pewne zboczenie, w danych warunkach korzystne; że przemiana w jakimbądź kierunku zaczęła się już tworzyć. Otóż, czy to zboczenie pożyteczne, mogące drogą dziedziczności przejść na potomstwo, utrwali się w tém ostatniem, będzie to zależało przedewszystkiém od tego, czy kombinacya zewnętrznych warunków wciąż będzie dokładnie taką samą. Naegeli zaś oblicza na zasadzie rachunku prawdopodobieństwa, że to bardzo jest wątpliwe.

Dwa następne zarzuty Naegelego dadzą się streścić w sposób następujący. Zboczenia pożyteczne mogą wtedy dopiero posłużyć do pokonania współzawodników, gdy osiągnęły wysoki stopień rozwoju i występują u licznych osobników. Ponieważ zaś w początku są one w długim szeregu pokoleń bardzo tylko nieznaczne, a według teoryi doboru naturalnego występują u małéj ilości osobników—pokonywanie współzawodników, a tém samém i wybór form najodpowiedniejszych zaledwie mógł istniéć. Jak czytelnik sam dostrzega, zarzut powyższy nie jest bynajmniéj nowy, jest to właściwie zupełnie taka sama trudność, jaką zaznaczył *Mivart*, a mianowicie, iż dobór naturalny nie jest wstanie wytłómaczyć początkowych stadyów cech korzystnych. Ponieważ poprzednio już przytoczyłem niektóre argumenta Darwina, zbijające zarzuty Mivarta, nad kwestyą tą dłużéj się nie zatrzymamy. Do téj saméj kategoryi nie nowych i często przez przeciwników darwinizmu nadużywanych zarzutów, należy ostatni z najważniejszych dowodów, nad jakiemi rozwodzi się Naegeli. A mianowicie, dlaczego, pyta on, istnieje tak wiele stałych cech morfologicznych, które nie przynoszą jednak żadnego pożytku posiadaczom? I tę kwestyą rozebraliśmy także powyżéj, wykazując, iż zarzut ten tylko na pozór wydaje się groźnym, w rzeczywistości zaś nie nastręcza wcale zbyt wielkiéj trudności teoryi doboru naturalnego. Wszelako nie podobna rzeczywiście przypuścić, aby wszelka bez wyjątku cecha morfologiczna przynosiła jakąś korzyść organizmowi; że istnieje mnóstwo cech, obojętnych pod względem fizyologicznym, na to zgodzi się każdy naturalista. Dlatego też nie podobna zaprzeczyć, aby niektóre przynajmniéj z cech tych nie miały powstać niezależnie od doboru naturalnego. W takim zaś razie przyjdziemy do wniosku, że jakkolwiek dobór objaśnia nam bardzo wiele zagadnień morfologicznych, to jednak nie wystarcza do wytłómaczenia

wszystkich bez wyjątku przejawów, dotyczących form organicznych. Zestawiając wszystkie powyższe zarzuty Naegelego oraz poprzedników jego, przychodzimy do wniosku, że żaden z nich *nie obala* teoryi doboru naturalnego, jak sądzi uczony niemiecki; ale z drugiéj strony wyprowadzić musimy wniosek, iż są zjawiska, których dotąd teorya ta nie tłómaczy że zatém dobór nie może być uważany jako jedyna i wyłączna przyczyna przemiany i rozwoju rodowego istot organizowanych. Przyznając tedy najzupełniéj wielką doniosłość i ważną rolę doborowi naturalnemu w sprawie rozwoju istot żyjących, tém niemniéj jednak mamy prawo domagać się poznania nowych, innych jeszcze czynników naturalnych, które wraz z doborem działały. Profesor Naegeli, odrzucający, jak wiemy, całkowicie wpływ doboru naturalnego, stawia na jéj miejsce własną swą teoryą, która ma tłómaczyć przemianę i doskonalenie się istot organicznych. Poznamy ją w drugiéj części artykułu.

Józef Nusbaum.

ROZBIORY, SPRAWOZDANIA
I WRAŻENIA LITERACKIE.

Prace filologiczne, wydawane przez J. Baudouina de Courtenay, J. Karłowicza, A. A. Kryńskiego i L. Malinowskiego. Z zapomogi Kassy pomocy dla osób pracujących na polu naukowém imienia Józefa Mianowskiego. Tom I, zeszyt I. Warszawa. Skład główny E. Wendego i Sp. 1885.

Lingwistyka porównawcza w stosunku do innych gałęzi piśmiennictwa, mimo licznego na tém polu szeregu skrzętnych badaczy, niezbyt pomyślném cieszy się u nas powodzeniem. Wielu téż uczonych polaków prace swoje specyalne w cudzoziemskich ogłasza językach i w braku odpowiedniego organu specyalnego, posiłkuje się pismami zagranicznemi. Stąd téż pozbawieni jesteśmy wiadomości o postępie téj gałęzi wiedzy, oraz o niezbędnych w tym przedmiocie podręcznikach, które-by jakiekolwiek światło rzuciły na budowę głosową i formalną języków słowiańskich wogóle, a polskiego w szczególności. To téż gdyśmy się zaledwie oswoili z Boppem, Grimmem, Miklosiczem i Schleicherem, aliści zagranicą nowy zgoła pod przewodem Brugmanna, Osthoffa, de Saussure'a i innych, przewrót w lingwistyce nastąpił. O ile prąd ten, świeży jeszcze, przyczyni się do rozwoju nauki i nowych w téj dziedzinie odkryć, nie naszą jest rzeczą, abyśmy sądami kategorycznemi kierunek ten przedwcześnie uprzedzali.

Wobec więc zastoju nauk w chwili bieżącéj u nas, podziwiamy godne uznania przedsięwzięcie przedstawicieli lingwistyki polskiéj, którzy wbrew ogólnemu prądowi, uganiającemu się za błahostkami, zasilani pomocą kasy imienia ś. p. Mianowskiego, nie szczędzili pracy i czasu, aby obdarzyć nas wydawnictwem, streszczającém postęp spółczesny lingwistyki. Prace filologiczne ze względu na bogactwo treści prawdziwie naukowéj, nietylko specyalistom lecz i ogółowi oświeconemu gorąco zalecamy. Imiona spółpracowników stanowić mogą rękojmię wartości prac tamże zamieszczanych. Ponieważ lin-

gwistyka, będąc stosunkowo nauką dosyć jeszcze młodą, przechodzi obecnie fazy rozwoju swojego, niezbyt ściśle określonego, przeto sądzimy, że uwagi nasze co do rozpraw umieszczonych w „Pracach filologicznych“, czynione w celu wyjaśnienia niektórych punktów spornych i wątpliwych, w niczém nie uchybią wartości tak chwalebnych usiłowań, które nietylko na poparcie lecz i na pochwałę zasługują.

Łączność samogłoski z następującemi albo poprzedzającemi płynnemi *l r* między dwiema spółgłoskami, które Miklosicz wyraża w formułach: trat, trêt (1), trŭt i trĭt (2), zwracały już niejednego badacza uwagę. Godną jest naznaczenia praca Jana Schmida (*Zur Geschichte des indo-germanischen Vocalismus*. Weimar 1878), utrzymującego, iż postaci *ar*, *al* i t. p. są dawniejsze od *ra*, *la*. Prawo to, przez siebie odkryte, Schmid *swârabhakti* nazywa. Pominąwszy rozbiór tego twierdzenia, zwracamy tylko uwagę, iż prof. Nehring zastanawiając się nad pomienionemi Miklosicza formułami (patrz art. O wyrazach z wątłą samogłoską, obok *l r* pomiędzy spółgłoskami) nic o tak ważnéj pracy prof. Schmida nie wspomina, co utrudnia nam nieco rozgląd w jego rozprawie.

Że jer twardy w łączności z płynną *r l* wytworzył się z jeru miękkiego, będącego osłabieniem pierwotnego *e* według prof. Jagića, nie dowodzi to jeszcze, jakobyśmy co do miękkości albo twardości następujących spółgłosek po grup. *ra*, *la* lub *ar*, *al*, wspólną już dla wszystkich narzeczy słowiańskich odkryli formułę. Szczupłe ramy artykułu p. N. nie dozwoliły mu rozwinąć w sposób zasadniczy i przekonywający subtelności tego przedmiotu. Należałoby tu objaśnić, dlaczego tylko niektóre zachowały się w narzeczach: słowackiém, serbskiém, chorwackiém i słowieńskiém spółgłoski miękkie? Czy jotacya w tych narzeczach zniknęła, czy téż wcale ich niedotknęła? Mając już w tym względzie pewne dane, moglibyśmy nareszcie zrozumiéć owę wspólną dla wszystkich narzeczy słowiańskich formułę, odkrytą przez prof. Jagića. Jeżeli więc weźmiemy np. grup. d*r*ê w starosł. drêmati, serbsko-chorwackie darmati, gdzie następująca spółgł. (m) jest twardą, jakże tu objaśnić zjawisko ê w starosł. i à w serbochorwackiém? Należałoby udowodnić, czy formy południowo-słow. bu*r*a (burza), zo*r*a (zorza), *r*ep (ogon), *r*epatica (kometa) i t. p. są pierwotnémi, czy téż z utraty jotacyi powstałemi? Dlaczego więc é, będące wymianą jeru miękkiego w połu-

(1) Starosł. jatj wyrażamy w postaci ê. — (2) Na oznaczenie starosł. ъ twardego i ь miękkiego używamy czcionek: ŭ ĭ.

dniowo-słowiańskich w wyrazie dérwo, chociaż w starosł. w słowniku Miklosicza jest jer twardy (drŭwo), stoi w grup. *ér* przed spółgłoską twardą (w)? Skąd w narzeczu słowieńskiém jerj miękki wymienia się raz na *a:* wás (wieś), porówn. starosł. wĭsĭ, to znowu na *é*: pés (pies), porównaj starosł. pĭsŭ, chociaż w serbo-chorwack. jest p*a*s (pies) t. j. *a*, będące wyręczeniem jer twardego? W ciągu dalszym swéj rozprawy prof. N. przytaczając dwie formy Sarbia, Sarbinów (ŭr) zam. Sierzbia, Sierzbinów (ĭr), przypuszcza dwa pierwiastki: sŭrb i sĭrb zam. tylko jednego sĭrb, albowiem u Kosmasa mamy Zribia zam. Sĭrbia, co wskazuje, iż ĭr, *ri* jest tu istotnie formą pierwotną, a Sarbia pochodną, powstałą z upodobnienia *ar* do następującego *b* w wyrazie przypuszczalnym s*a*rb, a nie Sarbia, gdyż tutaj jeno analogizm, bo spółgłoska *b* z powodu sufiksu ij*a*, skrócone j*a*, jest miękką. Nieobjaśnia téż autor, dlaczego piersi, serce, śmierć i t. p., mają z dawna *e* zam. spodziewanego *ĭ* od ĭ, chociaż w słowniku Miklosicza jest prŭsi, srŭdĭce. Co do przejścia *el* na *ol* i *ul* np. żełty-żółty, Pełtowsk-Pułtusk, pełk (Święto-pełk)- pułk, zda się, że formy południowo-słowiańskie, zachowujące w tym względzie formę jednostajną, np. żut, żuta, żuto (żółty), puk (vulgus, porównaj pułk słw. plŭkŭ, czesk. pluk, u niektórych pisarzy pł*u*g w Światop*ług*) pewne światło rzucają. W słown. Miklosicza jest złŭtŭ, co dowodzi, że *e* w żełty stanowi wymianę ŭ a nie ĭ. Podobne zjawisko widzimy w sufiksach czeskich moh-utný, slaw-utný odpowiednio polskiemu: sławetny. Lud czeski mówi nawet sedum, osum, zam. sedm, osm. Wnosimy więc z tego, że *e* z *ŭ* wymienia się na *u*, wytwarzając w serbo-chorwackiém wyrzutnię sąsiedniego *l* czy *ł* = sanskr. *r* (np. dug, dugaczak = sanskr. darghas, chociaż w łacińskiém i niemiec. zamiast samogłoski czystéj zachowała się nosówka: l*on*gus, l*ang* etc.

P. Baudouin de Courtenay obdarza nas cennemi nader materyałami co do tak zwanych zboczeń językowych (art. „Z patologii i embryologii języka“). Praca ta może być wzorem podobnego rodzaju obserwacyi. Ponieważ każdy szczegół w téj rozprawie uważamy za niezbędny do zrozumienia całości, przeto streszczenie jéj musiałoby się równać prawie powtórzeniu całego artykułu, na co nam tu brak miejsca.

P. Ad. Ant. Kryński ogłasza cenny mowy naszéj zabytek p. t. „Powieść o papieżu Urbanie, druk krak. z 1514 r.“ Opierając się na wydaniu Marchołta Wietorowego, bibliografowie polscy uważają r. 1521 za datę wyjścia pierwszéj książki polskiéj; gdy tymczasem w r. 1475 drukowano już *Ojcze nasz*, *Zdrowaś* i *Wierzę*, w 1506 *Bogarodzicę*, a 1514 powieść o papieżu Urbanie. Uwagi lingwistyczne

p. Kryńskiego nacechowane są ścisłością, uwzględniającą nawet latynizmy i germanizmy tekstu.

P. Kruszewski, uczeń Baudouina („Przyczynek do pierwotnych samogłosek długich. według, Hermana Osthoffa, *Die Tietstufe im indogermanischen Vocalismus. Morphologische Untersuchungen*, t. IV"), utrzymuje, iż tak zwana affektacya dźwięku, to jest zmiana formy, dźwięku, zgłoski i t. p. zależna jest od sąsiedztwa zjawisk fonetycznych i morfologicznych; jednak *k* przed *i* nie zmienia się w *k'* (miękkie), lecz następujące *i* łączy się już z gotowem *k'* miękkiem, powstałem na zasadzie czysto fizycznéj, niezależnéj od woli i świadomości mówiącego. Stąd téż i pochodne *cz*, które powstało z *k'* miękkiego i bynajmniéj od następującéj niezależy samogłoski, gdyż ono *cz* łączy się nawet z samogłoską twardą (czas) i spółgłoską (ocz-ko). Tu przypominamy, że następstwo samogłoski twardéj po *cz*, prof. Miklosicz tłumaczy przemianą ê na *ja*, następnie zlaniem się joty (je), z poprzedzającą spółgłoską, o czém p. K. nie wspomina; dlatego rzecz ta trudną nam się wydaje: bo należałoby pierwéj rozebrać gruntownie zdanie Miklosicza. Ten to profesor wszechnicy wiedeńskiéj przytacza w słowniku formę oczĭ-nŭ, to znaczy, że w ocz-ko, spółgłoska *cz* powstała według niego od *k* z powodu następstwa ĭ, ztąd oczĭ-ko. Szkoda, że szanowny autor nie rozstrzygnął tego twierdzenia, coby może rozproszyło pewne w tym względzie wątpliwości. Jeżeli więc według p. K. przypuścimy dwa wyrazy jednakiéj formy, wtedy różnicy onych nie znajdujemy wewnątrz wyrazu. Sprowadziwszy obie te formy do spólnego mianownika, również nie odkryjemy stosunku samogłoski długiéj do krótkiéj i odwrotnie. Owóż nowsza lingwistyka oparta na badaniach Brugmanna, Osthoffa i Saussure'a, odkrywszy tak zwaną praindyjską samogłoskowość, trudność tę stara się usunąć w sposób przypuszczający w greckiém potrójną w pierwiastku formułę: skróconą *lip*, pierwszą pełną *leip* i drugą pełną *loip*. Sam p. K. utrzymuje, że dowodzenia Osthoffa „nie są ani dość jasne, ani dość przekonywające" i „że forma skrócona powstała z pierwszéj pełnéj drogą powolnego osłabienia aż do zera samogłoski szerokiéj w wypadku, kiedy ta samogłoska stała przed akcentem (t. j. leip-ón dało (e)-lipón, podczas gdy dawniéj polegając na bezpodstawném zdaniu gramatyków indyjskich utrzymywano, że leip „wyrosło" z lip." Według tego więc, leip przed akcentem na liip (asymilacya) i līp, feug na fuug i fūg. Wskutek tego *ei* i *eu* jak w przykładach widzimy, przed spółgł. przechodzi na ī ū; np. peik-pīctus, kreu-krūtos i t. p.; przed samogłoskami pierw *ei* zaś na *ij* albo *j*, tudzież ŭv albo v (wpierw. eu): g-ei=sanskr. jiyâgas (mocny); dùuô=sanskr. duvâ (dwa) i t. p. Nadmieniamy, że w sanskr. znaną

jest nam forma: dwá, dwi, a nie davâ. Spółgł. *j* i *v* w formach *ei eu* przed samogłoskami, są po prostu wtrąceniem dla uniknienia rozziewu.

Co do samogłosek, zdaniem p. K. język starosłowiański przedstawia tę osobliwość, że obok formy wĭczera (w'czera) ma weczerŭ (weczer), obok žĭgomŭ (ż'gom)—żegą etc., co ma być osłabieniem pierwotnego *e* powstałego na gruncie słowiańskim, co ma świadczyć, że język starosłowiański niema wcale form bezsamogłoskowych, albo ĭ jest samogłoską *wtórną*, powstałą w czasie ustalenia się prawidła, że zgłoska nie powinna się kończyć na spółgłoskę. Twierdzenie p. K. lubo nie bez zasady, jednak dla niepewności samego autora nie jest zbyt przekonywającém.

P. J. Karłowicz („Projekt terminologii językoznawczéj polskiéj") radzi usunąć wszelkie nazwy cudzoziemskie i zastąpić je swojskiemi, przedstawiając do wyboru lingwistów stosowny zbiór wyrazów z polszczonych. Co do nas, przyznać musimy, że od czasów Kopczyńskiego dosyć już u nas w téj sprawie uczyniono, radzibyśmy jednak byli, abyśmy się ze względów czysto dydaktycznych, raczéj więcéj utartemi wyrazy niż nowszemi zadawalali. Z tych to powodów zamiast „odpad" wolimy wyrzutnię, zam. „przebrzmienie (Umlaut)"—przegłoszenie, „przygłos (akcent)"—przycisk; zam. „odimienne, odprzymiotne", w znaczeniu: denominativa, zgodniéj z duchem języka: imienne, przymiotne. Gwara jest raczéj podrzeczem czyli odmianą narzecza (*Varietaet*), aniżeli narzeczem (*Mundart*—dyalekt). I tak: język polski jest narzeczem słowiańskiém w stosunku do ogólnéj rodziny mowy pobratymczéj, narzecza zaś: małopolskie i wielkopolskie, mazurskie, górno- i dolno-szląskie tudzież kaszubskie, są znowu narzeczami polskiemi: mowa jednak np. mieszkańców z okolic Gniezna jest tylko gwarą czyli odmianą narzecza wielkopolskiego. Wyraz „odojcowskie" w znacz. patronymica zastąpionym być może terminem: rodowy. Pocóż tworzyć „dwugłos (dyftonga)", „pierwszy (primaer)" jeżeli mamy: dwugłoska, pierwotny, Zam. przyp. 1, 2, 3, i t. p. lepiéj: mianownik, dopełniacz, celownik i t. p. Autor nie objaśnia, co właściwie znaczy głośne i ciche *j*, *m*, *n* i t. p. Wogóle całą nomenklaturę brzmień należałoby uprzedzić stosowną rozprawką fonologiczną. Znaki skrócone w postaci rozmaitych linii pionowych i poziomych, krzyżyków, gwiazdek i t. p. zbyt utrudniają pamięć i uwagę czytelnika, któréj-by trochę oszczędzić należało.

Godną jest uwagi wyborna rozprawka tegoż autora p. t. „Imiona zbiorowe polskie typu *bracia*. Z art. tego okazuje się, że forma szlachta nie należy do typu „bracia, księża", gdyż pochodzi od górno-niemieckiego slahta; gdyby bowiem imię to urobiono z formy

„szlachcic“ powinnoby być „szlachcia.“ Zbiorowym więc jest ten wyraz co do znaczenia, a nie co do formy. Wyraz w słowniku Lindego „gurdziel“ czyli „kurdziel“ oznacza wrzód na języku konia. W Galicyi koło Kołomyi lud nazywa „kurdiukiem.“

Wyraz „asyn“ w mowie ludu w powiecie wadowickim używany w znaczeniu krwi, według L. Malinowskiego pochodzi z greck. „azymos“ (przaśny), co zdaniem p. Karłowicza nie oznacza ciała Pańskiego, lecz macę żydowską, a raczéj „chleb przaśny.“

PP. Hanusz i Karłowicz zbijają p. Fierlingera, który w *Zeitschrift für vergleichen de Sprachforschung* Kuhna, pierwiastek Wisły germanom przypisuje. P. L. Malinowski (art. „Niektóre wyrazy pochodzenia litewskiego“) wbrew innym dziegieć z litewsk. de gutas wywodzi. Panu Józefowi Przyborowskiemu należy się wdzięczność, iż umieszczając glosy polskie z urywku kazań łacińskich z XV w., wielką nauce uczynił dogodność. P. Windakiewicz ogłosił „Niektóre szczegóły o rodzinie Kochanowskich.“ Całość tych prac zbiorowych kończą rozbiory i sprawozdania pióra pp. Hanusza i Kryńskiego.

Przegląd ten zamykamy wyrażeniem życzenia, aby wydawnictwo to zdołało rozbudzić w ogóle naszym zamiłowanie poważniejszéj nieco niż obecnie lektury, która istotną i trwałą lubo nierozgłośną każdego społeczeństwa stanowi zaletę. Spodziewamy się, iż po wyjściu następnego zeszytu, pisma nasze, jeżeli chcą spełnić dobrze swój obowiązek, nie zechcą zapewne obojętném sprawę nauki zbyć milczeniem, które ani jest korzystném, ani chwalebném.

Justyn Feliks Gajsler.

Najnowsze wydanie dzieł Adama Mickiewicza.

Księgarze lwowscy Gubrynowicz i Schmidt w połączeniu z synem wielkiego wieszcza, Władysławem Mickiewiczem, postanowili ogłosić wszystkie poezye, oraz najważniejsze utwory prozaiczne Adama w nowém, o ile możności jaknajtańszém a zarazem jaknajpoprawniejszém wydaniu; istniejące bowiem dotychczas edycye pod względem ceny nie mogły być przystępne dla mniéj zamożnych klas ogółu czytającego, a pod względem układu i poprawności tekstu nadzwyczaj wiele pozostawiały do życzenia, stanowiąc krzyczący dowód lekkomyślności wydawców. Zamiar powyższy obudził wielkie wśród inteligencyi zajęcie; z niecierpliwą téż ciekawością oczekiwano jego spełnienia, żywiąc nadzieję, że przecież raz zdobędziemy się na wydanie dzieł mistrza poezyi godne jego pamięci. Ukazały się nareszcie dwa pierwsze tomy nowéj edycyi, która jest czy ma być stereoty-

powaną, a więc ma pozostać niezmienioną na długo. Czy spełniły one oczekiwania, a zwłaszcza czy mogą być uważane za takie, że już bez zmiany nadal oddrukowywane być winny—oto pytania, które sobie zadaje każdy, co się sprawą dzieł największego naszego poety interesuje. Różne już pod tym względem w prasie naszéj objawiono zdania, ale przewaga zostaje po stronie tych, co są w wysokim stopniu z nowéj edycyi dzieł Mickiewicza niezadowoleni.

Co do nas, wyróżniamy w zdaniu naszém tom drugi od pierwszego stanowczo; widzimy wprawdzie i w tomie drugim zawierającym *Grażynę*, *Wallenroda* i *Dziady*, liczne usterki zarówno w poprawności tekstu, jak w objaśnieniach; ale ponieważ miano tu trzy tylko utwory do uszeregowania, ponieważ wydania tych utworów nie przedstawiają różnic zbyt wielkich, wydawcy łatwiejszą mieli pracę i wywiązali się z niéj nieźle, tak że można uznać tom ten drugi za możliwy do użytku, z wyrażeniem tylko życzenia, ażeby w następnych odbiciach mogły się znaleźć przynajmniéj wykazy omyłek drukarskich oraz sprostowania błędnych objaśnień, np. że Grażyna napisana została r. 1820, że Konrad Wallenrod poświęcony został Zaleskim „na pamiątkę lata tysiąc ośmset dwudziestego *ósmego*“ (zam: *siódmego*) itp. Byłoby także rzeczą pożądaną, ażeby t. z. przypiski wydawcy, będące zresztą powtórzeniem tylko objaśnień z dawniejszych edycyi, stanowczo oddzielone zostały od przypisków samego poety a nie mieszały się z niemi w sposób najniesmaczniejszy; ale jeżeli wydanie już jest stereotypem odbite, zmiana ta przedstawiałaby trudności a głównie koszta, na które może trudno będzie wydawcom się zdecydować. W tych przypiskach powtórzono błędy dawniejszych wydań, chociaż starano się powiększéj części nadać tym notom znaczenie nowo napisanych. Jeden przykład dostatecznie twierdzenie to udowodni. Pierwsze objaśnienie do *Grażyny* brzmi tak: „Waryanty Grażyny, wyjęte z autografu znajdującego się w zbiorze hr. Aleksandra Przeździeckiego, ogłoszone były w wydaniu warszawskiém z r. 1858. W autografie tytuł powieści jest „*Korybut, książe nowogródzki.*“ Takie objaśnienie z drobną zmianą jednego wyrazu (*wyjęte*—zamiast *według*) powtarza się od lat dwudziestu z górą w edycyach dzieł Mickiewicza; nikt już oczywiście nie zaglądał do autografu, ale żaden wydawca nie uważał za potrzebne zmienić stylizacyi objaśnienia. Tymczasem hr. Aleksander Przezdziecki już dawno umarł, a zbiory jego należą już do synów; ale to mniejsza i ważniejszą jest rzeczą, iż w autografie na prawdę jest inny tytuł niż podają owe wydania, a za niemi ostatnie lwowskie. Tytuł ten w rzeczywistości brzmi tak: „Korybut Xiąże *Nowogrodka* poema z Dziejów Litewskich.“ Jest to zapewne szczegół drobny, ale jeżeli ktoś zapewnia,

że czerpie swe wiadomości z autografu, to powinien i w takich drobiazgach ścisłość zachować.

Takie i tym podobne zarzuty zrobić można wydaniu tomu drugiego; o wiele atoli liczniejsze i ważniejsze odnoszą się do tomu pierwszego. Tu przedewszystkiém nastręczała się trudność w uporządkowaniu pism poety; tom I bowiem miał objąć wszystkie mniejsze rozmiarami utwory poetyckie Adama. Dotychczasowe wydania przedstawiały pod tym względem takie zamieszanie, że potrzeba było dość długiéj wprawy, ażeby odnaleźć wiersz pożądany, jeżeli się nie chiało za każdym razem odczytywać długiego spisu na końcu tomu. Ani chronologia, ani rozumne rozstawienie utworów według działów literackich nie przewodniczyły myśli wydawców, gdy pisma Mickiewicza do druku oddawali; przypadek rządził nią wszechwładnie. W najnowszém wydaniu widać wyraźnie chęć zrobienia jakiegoś ładu w tém zamieszaniu, ale chęci téj nie towarzyszył dojrzały rozmysł. Ponieważ czas powstania bardzo wielu mniejszych poezyi Mickiewicza nie da się oznaczyć dokładnie, przeto o zachowaniu ścisłego porządku chronologicznego w ich układzie myśléć niepodobna; bardzo często bowiem napotykałoby się takie wątpliwości, że wobec nich wydawca rozumiejący wymagania naukowe musiałby się bezradnie zatrzymać. Zresztą taka wyłącznie chronologiczna zasada w uszeregowaniu utworów czyniłaby zadość potrzebom głównie badaczy, historyków literatury; dla ogółu zaś czytającego nie miałaby ani interesu ani znaczenia; owszem dziwiłaby się mocno, gdyby ujrzeli po sobie następujące utwory, należące do najróżnorodniejszych działów literackich. Dla wydawnictw obliczonych na szerokie koła ogółu jedyną dziś dobrą zasadą jest układ według działów literackich z zachowaniem w tych działach następstwa chronologicznego, o ile się to zrobić daje. Wydawcy najnowszéj edycyi zasadę tę za słuszną uznali i starali się jéj trzymać; jest to niewątpliwą ich zasługą; ale w przeprowadzeniu téj zasady okazali takie niekonsekwencye i błędy, iż ich układ nie może sobie zasłużyć na uznanie. Niekonsekwencyą było wydzielenie „Pism z lat uniwersyteckich“ i umieszczenie ich na samém czele zbioru dzieł. Jeżeli bowiem zasadą podziału miały być rodzaje literackie, to uszeregowanie pism z lat uniwersyteckich powinnoby jéj było uledz. Przypuściwszy jednak, iż tym sposobem chciano te pisma umieścić niejako w przedsionku do gmachu, jako nie dające nam jeszcze poznać poety we właściwéj mu wielkości, to znowuż musimy wydawców obwinić o niekonsekwencyę, iż nie dali nam poznać Mickiewicza studenta w całéj zupełności, że odłożyli do 4-ego tomu jego recenzyą Jagiellonidy Tomaszewskiego. Jeżeliby ktoś bronił wydawców tém, iż recenzya ta jest pracą

krytyczną, którąby dziwnie wyglądała obok poezyi, to możnaby mu odpowiedzieć, że i przedmowa do pierwszego wydania poezyi Mickiewicza o romantyzmie ma również charakter krytyczny, a jednakże wydawcy nie wahali się jéj właśnie przy zbiorze utworów poetycznych pomieścić.

Wszystkie inne poezye mniejszych rozmiarów uszeregowano w 6 następnych działach: I) Ballady i romanse; II) Sonety; III) Sonety Krymskie; IV) Wiersze różne; V) Przekłady z obcych języków; VI) Bajki własne a naśladowane. Pomijam drobne zarzuty, jakie takiemu ustawieniu poczynić-by można; dotknę tylko punktów najważniejszych. Najobszerniejszy dział zatytułowany jest „Wiersze różne.“ Znajdują się tu i „Oda do młodości“ i „Warcaby“ i „Farys“ i wiersze albumowe i erotyki i utwory religijne i oda łacińska do Napoleona i urywek z przekładu Zofijówki na język łaciński. Dogodne to było dla wydawców, którzy nie potrzebowali sobie suszyć głowy nad ułożeniem tych utworów w grupy, ale wysoce niedogodnem jest dla czytelnika, który w tym lesie „Wierszy różnych“ zoryentować się nie może. A nadto, czyż to istnieje jaki dział literacki, któryby się „Wiersze różne“ nazywał? Jeżeli w pismach Mickiewicza, drukowanych za jego życia, istniał dział taki, to stało się to w sposób czysto przypadkowy, iż do pierwszego tomiku z r. 1822 zawierającego ballady i romanse dodał nasz poeta cztery utwory (Hymn, Żeglarz, Warcaby, Przypomnienie), które ani balladami ani romansami nie były; póżniéj zaś, gdy przybywało drobniejszych utworów, nie myślał wcale o znalezieniu działów literackich. Ale co wolno było poecie, tego już nie wolno zrobić wydawcy jego pism zbiorowych; potrzeba koniecznie wydzielić i ugrupować utwory do siebie podobne, aby Farys nie sąsiadował z czterowierszem do księcia Golicyna lub wierszami do imiennika panny Jaenisch; a „Zaloty“ nie znalazły się pomiędzy dwoma utworami głęboką melancholią nacechowanemi. Przy ściśle chronologicznėm uszeregowaniu pism takie zetknięcia byłyby nieodzowne, ale gdy się za zasadę wzięło działy literackie, to takie zetknięcia nie uchodzą, bo są w najwyższym stopniu niesmaczne.

Co do chronologii w tych działach, wydawcy użyli trojakiéj normy: pewnego roku napisania, przypuszczalnego czasu powstania i roku wydrukowania danego utworu. Przeciwko pomysłowi samemu nic mieć nie można, ale przeciw jego wykonaniu—bardzo wiele. Wydawcy często błędne mają pojęcie zarówno o czasie napisania jak i o czasie wydrukowania utworów. Z licznych przykładów przytoczę jeden tylko, gdyż odnosi się on do całéj grupy poezyi. W całym dziale Sonetów jeden tylko sonet podznaczyli rokiem 1822 jako czasem wydrukowania; wszystkie zaś inne to jest 39 opatrzyli rokiem

1825 jako czasem napisania. Skądże wydawcy o tém wiedzą tak napewno; jak mogą podpisywać tak śmiałą ręką rok 1825, kiedy nie mają najmniejszego dowodu, iżby wszystkie 39 sonetów powstały rzeczywiście w tym roku. Że były one, (z wyjątkiem jednego) wydrukowane pod koniec roku 1826; to jeszcze bynajmniéj nie dowód, iżby wszystkie powstały w roku poprzednim, bo równie część ich mogła być napisana w ciągu r. 1826; o sonecie „Do Niemna“ wiadomo napewno, iż napisany był r. 1823, o kilku innych (II, III, IV, V, VI, VII, IX, X, XI) *musimy* przypuszczać, że powstały *przed* rokiem 1825, o XII można twierdzić, iż napisał go poeta pod koniec r. 1826 tj. po wydrukowaniu innych Sonetów, albo w początkach 1827. Wobec takiego stanu kwestyi niewolno było wydawcom stawiać r. 1825 jako niewątpliwéj daty napisania tych utworów; raczéj należało dać r. 1826 jako datę druku tych sonetów, które istotnie wtedy wydane zostały.—Wydawcy źle wiedzą, kiedy po raz pierwszy była drukowana Oda do młodości, i kiedy napisana została Switezianka; a pod wierszem Do przyjaciół podpisują błędną datę itp.

W sprawdzeniu autentyczności utworów nie zadali sobie wydawcy trudu najmniejszego, idąc ślepo za edycyami dawniejszemi. Rażącym przykładem takiéj bezkrytyczności jest pomieszczenie, wzorem wydań poprzednich, wiersza „Panicz i Dziewczyna“ jako utworu Mickiewicza z takim dopiskiem, tradycyjnie przedrukowywanym: „Pierwsza część tego wiersza jest pióra A. E. Odyńca, a dwie drugie Mickiewicza. Gdyby wydawcy zechcieli byli poszukiwać prawdy, toby się przekonali, że tak wcale nie jest. Niechże raczą zajrzéć do pierwszego wydania poezyi Odyńca (Wilno, 1825, 1826), a tam w tomie II od str. 108—113 znajdą ten wiersz w całości z takim przypiskiem: „Ostatnie *dwie strofy* są pióra p. Adama Mickiewicza. nie dwie części zatém, ale tylko dwie strofy, to jest *osiem wierszy*, należy w tym utworze do Mickiewicza. Nie należy ograbiać Odyńca, bo najprzód to brzydko, a powtóre Mickiewicz mógł darować 8 wierszy młodzieniaszkowi, ale nie życzyłby sobie, iżby wierszyki Odyńca powiększały zbiór własnych jego poezyi. „Panicz i Dziewczyna“ zniknąć powinny nazawsze ze zbioru pism Adama (1). Dowodem lekkomyślności w traktowaniu kwestyi pochodzenia utworów przyznawanych Mickiewiczowi jest znowuż zamieszczenie wiersza „W imionniku M. S.“ (str. 175) z następnym przypiskiem: „Wiersz Adama Mickiewicza drukowany w Birucie 1838 roku, przedrukowany

(1) Po raz pierwszy wiersz ten wcisnął się, naturalnie bez wiedzy Mickiewicza. do pierwszego poznańskiego wydania jego poezyi a stąd zaraz przeszedł do pierwszéj paryskiéj edycyi (tom III z r. 1829 str. 147 — 153), którą zajmował się Leonard Chodźko.

w kalendarzu Jana Jaworowskiego (*sic*) na rok 1876, w Warszawie str. 125." Ze szczegółowego podania stronnicy kalendarza oraz z objaśnienia przy wierszu, iż nie ma przy nim oznaczenia dnia, wnosić wolno, iż ten, kto pierwszy przypisek ten układał, nie widział pisma zbiorowego „Biruty," ale tylko kalendarz. Zajrzyjmyż do „Biruty." Tam w części II na str. 4 wydrukowany jest wiersz „W imionniku M. S." przyczém podano datę: „1824 aug. *16* d. *Kowno*." Ta data jeżeli jest wiernie z rękopismu ogłoszona, mocnoby zachwiała autentyczność wiersza, gdyż 16 sierpnia 1824 Mickiewicz był w Wilnie pod dozorem, i wydalać mu się z miasta nie było wolno, nie mógł zatém pisać tego wiersza w Kownie. Wydawcy lwowskiéj edycyi w nadpisie położyli datę 1823, o rok wcześniejszą, i tym sposobem uprawdopodobnili napisanie tego wiersza przez Mickiewicza, ale na jakiéj zrobili to podstawie; czy mieli autograf, czy mieli choćby jakiekolwiek objaśnienia od osoby posiadającéj album, w którém wiersz ten się mieści? Zdaje się, że nie, gdyż byliby się z tém niewątpliwie pochwalili. A zatém zrobili to dowolnie dlatego może, ażeby datę pogodzić z okolicznościami życia Mickiewicza. Tak postępować krytyka literacka nie pozwala, uważając to za wykroczenie bardzo ciężkie. Podobnie lekkomyślnie wciągnięto improwizacyę do Suzina, która prawdopodobnie jest utworem Odyńca.

Jak sobie wydawcy postępowali z odmiankami, to pomijając drobiazgi, wskażę na jednym wypadku. Jako nowość, nigdzie przedtém niedrukowaną podają wydawcy wiersz do K. Rz. (Karoliny Rzewuskiéj, późniéj Lacroix, zmarłéj w lipcu r. b.). Wiersz ten bez początku nie jest bynajmniéj żadną nowością; znajduje się od dawna w poezyach Mickiewicza — tylko w formie doskonalszéj p. n. „Do D. D. Elegia." Wiersz podany w najnowszéj edycyi jest widocznie pierwszym szkicem późniejszego utworu i przedstawia interes tylko jako odmianka; winien być zatém pomieszczony nie oddzielnie na honorowém miejscu, ale w przypisku pod wspomnianą elegią; rzeczywiście nie znajdujących się w téj elegii wierszy jest tu tylko 16. Takich wierszy, których dotychczasowe edycye zbiorowe nie zawierały, wydanie to mieści 2, to jest dokończenie „Majtka" z albumu jenerałowéj Pągowskiéj, rzecz bardzo słaba—i równie małéj wartości czterowiersz do księcia Golicyna, ogłoszony tu bez żadnego objaśnienia skąd wzięty.—Tak więc prócz dobrych chęci w uporządkowaniu pism poety i prócz taniości, nowe wydanie Pism największego naszego wieszcza nie posiada zalet, któreby mu zaszczytne wyróżnienie w szeregu licznych dotychczasowych edycyi zapewnić mogło. Gorąco życzyćby wypadało, ażeby dopóki jeszcze pora, błędy, omyłki i usterki poprawiano i nie uwieczniano ich stereotypem. *P. Ch.*

George Duruy: Le Cardinal Carlo Carafa, étude sur le pontificat de Paul IV. Paris (Hachette) 1882.

Carlo Carafa nie odziedziczył po ojcu, jako najmłodszy z trzech synów, fortuny, którаby mu mogła umożebnić i ułatwić zdobycie zaszczytnego stanowiska, zwłaszcza że ród Carafów w ogóle nie był znakomitym. W młodości Carlo był condottierem, ale niebawem widzimy go na dworze stryja, kardynała Piotra, w sukni duchownéj, nie dla tego, aby miał do stanu duchownego powołanie, ale uważał go, jak wielu wówczas, jedynie za środek do zrobienia karyery; starał się więc przedewszystkiém zjednać sobie względy stryja, pragnąc gorąco ujrzeć go na stolicy apostolskiéj, by potém obok i przez niego stanąć wysoko, jak najwyżéj. Po zgonie Marcellego II, Piotr Carafa wstępuje wreszcie na stolicę apostolską jako Paweł IV. Wkrótce umiał Carlo stać się pożytecznym papieżowi a z czasem niezbędnym, bo był przenikliwy, giętki, zdobny a znał ludzi znakomicie; lubo więc przeszłość jego nie była nieskalaną—zarzucano mu nawet. że ręce krwią miał zbryzgane,—nie odmówiono mu jednakże godności kardynalskiéj. Kardynał Carafa niepohamowaną, bezdenną miał ambicyą, zmierzającą do tego, aby ród Carafów wznieść wysoko, postawić na równi z udzielnymi książętami włoskimi, choćby z Medyceuszami. Pozbawiono Antoniego Colonnę księstwa Palliano, udzielając je bratankowi papieskiemu Janowi a młodszy jego brat zostaje markizem de Montebello po wypędzeniu hr. de Bagni.

We Włoszech największą potęgą od początku w. XVI była Hiszpania; przeciw niéj zwrócił się Paweł IV, jak sądzi Duruy, wyłącznie pod wpływem kardynała, by w związku z Francyą położyć kres gospodarce hiszpańskiéj a zarazem zapewnić Carafom poczynione już zdobycze a o ile możności ją powiększyć. Zaingaurowano więc w Rzymie politykę francuską w chwili, gdy całkiem niespodzianie między Francyą a Hiszpanią w Vancelles zawieszenie broni przyszło do skutku. By zapobiedz zawarciu pokoju, udaje się kardynał Carafa, jako legat papieski do Francyi z świetnym orszakiem. Była to jedna z pięknych chwil w życiu kardynała; uroczyście i wspaniale witano go jako posła stolicy apostolskiéj, dopiął téż celu, a po krótkiéj przerwie na nowo zaczęła się wojna, tym razem znów na widowni włoskiéj. Trudno było jednakże o jednolitą akcyą przeciw Hiszpanii; nieporozumienia z Francyą i niepowodzenia zniewoliły Pawła IV do zawarcia pokoju. Kardynał zgrabnego obecnie dokonywa zwrotu; to, co w walce z Hiszpanią chciał zdobyć tj. zapewnienie dla rodu swego wybitnego stanowiska a zwłaszcza posiadłości im przyznanych

(Pallino i Montebello), o to stara się obecnie w zgodzie z nią; niedawno temu agitował we Francyi przeciw Hiszpanii, obecnie dąży do Brukseli na dwór hiszpański, w celu pozyskania względów Filipa II, co w znacznéj części się udało. Sporo Carafom porobiono koncesyi, przyznano im nawet Bar po zgonie królowéj Bony, Sienę, ale natomiast trudno było Filipowi, mającemu w Colonnach wiernych sprzymierzeńców, potwierdzić okupacyą ks. Palliano. Trudności téj kardynał nie mógł usunąć, zawsze jednakże z obfitemi wracał owocami swéj misyi dyplomatycznéj. Mimo to, wkrótce nastąpił jego i braci upadek. Paweł IV, słysząc z wielu stron słuszne skargi na postępowanie i ucisk nepotów, uczuł wstręt do nich, w obec licznie zebranych kardynałów długo mówił o doznanych zawodach ze strony najbliższych, którym tyle zaufał, wołając kilkakrotnie w uniesieniu: „reforma, reforma.“

Kardynałowie milczeli długo; wreszcie najstarszy z nich, kard. Pacheco przerwał milczenie, mówiąc: „tak! reforma, ale zacząć od siebie.“ Papież wziął to do serca; w téj chwili Carlo Carafa musiał mu się wydawać jego złym duchem. Wydalenie kardynała i braci jego było zerwaniem z nepotyzmem z przeszłością, z polityką niezgodną z interesem katolicyzmu. Ale jeszcze wypłynął kardynał na krótki czas, jednakże dopiero po zgonie tego, któremu wszystko zawdzięczał. Jeszcze Paweł IV żył a już stronnicy kardynala powołali go do Rzymu, gdzie podczas konklawe „manewrując między stronnictwem francuskiém a hiszpańskiém, w krótkim czasie stał się panem sytuacyi; nie mogąc sam zostać papieżem, przeprowadził wybór swéj kreatury kardynała Medici (z Medyolanu). Wszyscy przyklasnęli mistrzowskiéj grze.“ Duruy przecenia wpływ kardynała Carafy na wybór Piusa IV, powodując się zbyt Bromata (Carrara): żywotem Pawła IV. Pius IV nie był bynajmniéj *kreaturą* Carafy, nie należał wcale do jego stronnictwa; owszem kard. Carlo oświadczył się zrazu stanowczo i to kilkakrotnie przeciw kardynałowi Medici. Faktem jest, że o głosy, któremi Carafa rozporządzał, starano się usilnie tak ze strony francuskiéj jak hiszpańskiéj, ale nie z powodu „mistrzowskiéj“ polityki kardynała, a raczéj z powodu rozbicia kolegium kardynalskiego; panem sytuacyi nie był, nieraz stroskany, bo niepewny przyszłości chwiał się między Francyą a Hiszpanią, chcąc jak najwięcéj dla znienawidzonego swego rodu wytargować. O tém znakomicie można się było poinformować z *pominiętych* niestety całkiem listów posła hiszpańskiego do Filipa II, (Döllinger: Beiträge zur kirchl. polit. u. Cultur-Geschichte I).

Powtórny upadek kardynała, proces i katastrofa Carafów także nie całkiem wyczerpująco i dostatecznie napisane, po części dla tego,

że nie wszystkie może materyały dla autora były przystępne. Nad jedném ku zdziwieniu naszemu D. wcale się nie zastanawia, pisząc, że „zbrodnią Carafów, rzeczywistą przyczyną procesu było to, że zwrócili się przeciw Hiszpanii.“ D. zapomina całkiem, że duszą procesu byli właśnie przeciwnicy Hiszpanii, że kardynała podczas konklawe uważano ostatecznie za zwolennika i sługę Filipa II, że na dworze hiszpańskim ubolewano nad upadkiem kardynała (cfr. Papiers d'Etat de Card. Granvella, IV).

W ciekawym z wielu stron procesie osobista nieprzyjaźń walnym była czynnikiem; win było niemało po stronie oskarżonych, ale czy kara śmierci nie była zbyt srogą, zwłaszcza dla kardynała? Kilka lat późniéj nastąpiła rewizya procesu i rehabilitacya Carafów.— D. napisał rzecz nader zajmująco, starał się wniknąć w duszę bohatera, uważając psychologiczną analizę historycznych postaci za bardzo ważne zadanie historyka. Carlo Carafa był nieodrodnym synem swego wieku, który w nim pod niejednym względem się odzwierciedla, a jako *ostatni* z nepotów papieskich zasługiwał na osobne studyum. D. przecenia jednakże znaczenie i wpływ kardynała. Czy polityka zwrócona przeciw Hiszpanii była wyłącznie dziełem kardynała? Osobiste zapatrywanie Pawła i wstręt do panowania Hiszpanii we Włoszech niepoślednią pewno był sprężyną akcyi politycznéj. Paweł marzył o niepodległości Włoch, ubolewając nad inwazyą obcych. Autor za rozbicie i „nieszczęście“ Włoch w XVI w. czyni papieży odpowiedzialnych a zwłaszcza Aleksandra VI, Juliusza II, Leona X, Klemensa VII, Pawła III i IV. Dlaczego, pyta D., duch Grzegorzów i Innocentych nie ożywiał ich następców, dla czego papieże, którzy niegdyś czuwali nad polityką książąt a z wysokości stolicy apostolskiéj przemawiali za zgodą i pokojem, jako stróże i mściciele moralności świata, sprzeniewierzyli się swemu wzniosłemu powołaniu zajęci gromadzeniem fortuny dla swéj familii?“ „Smutna to epoka.“ Nie można zaprzeczać, że nepotyzm wręcz przeciwnym był dobru kościoła, ale nie był bynajmniéj przyczyną rozbicia Włoch i inwazyi obcych potęg, a w. XVI czy można uważać za „smutną epokę“ w historyi Włoch, jak się to autorowi wydaje? Pod wielu względami epoka ta właśnie złotym była wiekiem a niemałą w tém była zasługa papieży. A jeżeli autor miał na myśli moralne zachwianie kuryi, to może zapomniał, że pod koniec XVI w. dokonało się świetne odrodzenie papiestwa.

B. Dembiński.

— **Wspomnienia szkolne Leonarda Sowińskiego** (*Warszawa*, *1885*, *str*. *309*).—Bardzo niewiele posiadamy opowiadań i obrazów, któreby nam pozwoliły głębiéj wejrzéć w życie wewnętrzne szkół naszych, poznać charakter i stopień umysłowego przygotowania nauczycieli, zaznajomić się z praktyką i porządkami szkolnemi, ocenić sposób życia i uczenia się wychowańców. Stosunkowo najwięcéj mamy takich szczegółów u Kitowicza, a następnie u Jełowickiego, Chodźki, Micowskiego, Syrokomli, wreszcie u Jeża (w „Historyi o pra... pra... wnuku"). Od tych autorów dowiedzieliśmy się o niejednym rysie znamiennym, który rozjaśnił nam wewnętrzny ustrój szkół naszych; ale bądź-co-bądź wystarczyć ich prace i w zupełności zadowolnić nie mogą, jeżeli się będzie miało na oku różnorodność składowych części dawnéj Rzeczypospolitéj i znaczny przeciąg czasu, jaki pomiędzy życiem pierwszego a ostatniego ze wzmiankowanych autorów upłynął. Pożądanym więc jest bardzo każdy w téj dziedzinie przybytek a tembardziéj z ręki takiego pisarza jak Leonard Sowiński. Czas, w którym on chodził do szkół, jest bardzo zbliżony do tego, jaki odmalował Jeż w Historyi pra... pra... wnuka, a prowincya, w któréj szkoły te istniały, przytyka do téj, któréj obraz u Jeża widzimy; to téż niepodobna nie widzieć podobieństwa, zachodzącego pomiędzy obu opowiadaniami, tylko że Jeż mówi o szkole jako o jednym ważnym wprawdzie, ale nie jedynym epizodzie historyi swego bohatera, Sowiński zaś wyłącznie temu przedmiotowi wspomnienia swoje poświęcił, a więc mógł z większemi nieporównanie szczegółami przedstawić. Z zadania tego wywiązał się wybornie. Z niepowszednim talentem opowiadawczym, zaznaczył wszystkie ważniejsze rysy, jakie mu pamięć przechowała z tych lat dziecinnych i młodzieńczych, które najdłużéj i najżywiéj się w niéj zapisują. Uczniowie, profesorowie, dyrektorzy, kuratorzy, wszelakiego zresztą rodzaju zwierzchnicy powstają pod piórem Sowińskiego w żywych postaciach, jakbyśmy na nie własnemi patrzyli oczyma. Nigdzie nie mogłem tu dopatrzyć tego mimowolnego fałszu, jaki u wielu ludzi pamięć przez kojarzenie różnorodnych i różnoczasowych rysów i wydarzeń rodzić zwykła; nigdzie téż dla efektu literackiego nie są zagrubo, zanadto karykaturalnie narysowane osobistości śmieszne, których wszędzie bywa dosyć; wszędzie widnieje prawda — i to jest największa pochwała, jaką Wspomnieniom Szkolnym Sowińskiego oddać należy. Materyał w nich zawarty tak jest w nich obfity, że potrzebaby wiele nań poświęcić miejsca, ażeby go scharakteryzować; powiem więc tylko, że obraz stosunków szkolnych w Międzybożu i Żytomierzu pomiędzy r. 1839 a 1845 wszechstronnie znajdzie czytelnik w dziełku Sowińskiego odtworzony. Życzyć należy bar-

dzo, ażeby niebawem i Wspomnienia jego uniwersyteckie ukazały się w druku.

= **Opowiadania i studya Aëra.** *Serya I.* (*Poznań*, *1885*, *str. 373*).— Zmarły przedwcześnie gorliwy na niwie literackiéj pracownik, Adam Rzążewski, nakrótko przed śmiercią ujrzał w jeden snopek zebrane wyniki swojéj pracy, rozproszone dawniéj po różnych łamach dziennikarskich. Opowiada tu w przedmowie, dlaczego się chwycił formy lekkiéj opowiadania dla rozpowszechnienia pewnych wiadomości z historyi i literatury. Oto przed laty wydał naukową rozprawę o Kochanowskim, i przekonał się, że po upływie kilkunastu zim i wiosen, połowa nawet ze szczupłéj liczby trzystu egzemplarzy nie rozeszła się wśród ogółu czytającego, że zatém praca jego poszła na marne, gdyż czytało ją małe tylko kółko specyalistów, a do szerokich kół publiczności przystępu nie znalazło. Chcąc więc skutecznie do ogółu przemówić, obrał najbardziéj poczytną formę powieściową, lubo nie czuł w sobie „prawdziwych romansopisarskich zdolności", gdyż chodziło mu głównie nie o chwałę artysty, ale o zasługę pożytecznego członka społeczeństwa, który chce zapoznać ogół czytający z ważnemi lub zajmującemi rysami przeszłości. Zamiar był niewątpliwie godny pochwały, lecz jego uskutecznienie napotkało trudności właśnie w tym braku talentu romansopisarskiego w połączeniu z brakiem delikatniejszego zmysłu psychologicznego. Tam gdzie szło o postacie proste, o sytuacye niezbyt złożone psychicznie, o wyrażenie uczuć zrozumiałych odrazu, autorowi wystarczała fantazya i zwykły stopień daru spostrzegawczego, pisał więc rzeczy w mniejszym lub większym stopniu udatne (np. w opowiadaniach: „Pułkownik Wilk", a poczęści: „Dlaczego panna Teresa zwała się panią pułkownikową"). Ale gdzie potrzeba było analizy subtelniejszéj i fantazyi lotniejszéj, ażeby zrozumiéć i umiéć przedstawić osoby niepospolite, wyższe, sytuacye niepowszednie, falowania uczuć nader delikatne i pełne odcieni; tam Rzążewski okazywał się słabym, posługiwał się szablonowemi scenami i frazesami, albo nieudatnemi próbami analitycznemi; za przykład można pod tym względem wziąć ustęp z życia Chopina: „Kontrasty", gdzie trzeba było dopełniać wyobraźnią sceny pomiędzy tym artystą a Aurorą Dudevant (George Sand), albo ustęp z życia Mickiewicza: „Wieczerza", gdzie wypadło odtworzyć scenę nadzwyczajną, z któréj spółcześni zdać sobie sprawy nie umieli. Szablonowym sposobem przedstawienia grzeszy najbardziéj opowiadanie o „Kochanowskim w Paryżu." — Obok tych opowiadań mieści się w zbiorku powyższym artykuł ściśle historyczno-krytyczny: „Mickiewicz w Odesie i twórczość jego z tego czasu", któryśmy drukowali w *Ateneum*. Co do stylu wogóle trzeba

zauważyć, że Rzążewski jako Aër tworząc bardzo dużo, zmuszony był pisać pośpiesznie, a stąd na piękność a nawet na poprawność wyrażeń niewielką mógł dawać baczność.

— **Der Text der Gnesener Predigten, kritisch beleuchtet.** *Inaugural-Dissertation von Boleslaus Erzepki.* (*Posen, 1885, str. 50 i 5 kart nlb.*). W r. 1857 ogłosił Tytus Działyński „Zabytek dawnéj mowy polskiéj“, w którym między innemi pomieścił urywki kilku kazań w języku polskim z pierwszéj połowy wieku XV, jak należy wnosić z cech zewnętrznych (papieru i pisma) oraz z saméj ich mowy. Pierwszy L. Jagielski, który ogłoszeniem téj cennéj pozostałości z dawnych wieków się zajmował, poczynił na zasadzie naocznego przyjrzenia się rękopismowi wnioski o czasie jego powstania. Późniejsi badacze, nie mając sposobności oglądania rękopismu, poprzestać musieli na drukowanym tekście i dodanych do niego podobiznach. Dopiero obecny młody doktorant, Bolesław Erzepki, zachęcony przez prof. Nehringa, podjął pracę porównania tekstu drukowanego z rękopismem przechowującym się w bibliotece katedry gnieźnieńskiéj, a wynikiem studyów jego jest wyżéj przytoczona rozprawa doktoryzacyjna. Po opisie szczegółowym rękopismu i po ocenie prac poprzedników w tym względzie (Jagielskiego, Małeckiego, Małkowskiego, Nehringa, Makuszewa, Kryńskiego, Hanusza i Semenowicza), określa autor zawartość tekstu polskiego w tym rękopiśmie i dochodzi, skąd kaznodzieja mógł czerpać i materyał i wyrażenia do mów swoich. Okazuje, że znajdują się tu dwa całe kazania (na Boże Narodzenie, na dzień ś. Jana ewangielisty), oraz ułamki pięciu innych (na dzień ś. Jana Chrzciciela, ś. Maryi Magdaleny, ś. Wawrzyńca, ś. Bartłomieja, na Boże Narodzenie II), mogące być uważane za wstępy do kazań właściwych. Autor sądzi, że te kazania nie były pierwotnie napisane w języku polskim i że nie były samodzielnym utworem kaznodziei polskiego, lecz że są przekładem jakiegoś łacińskiego oryginału, którego dotychczas jeszcze nie odszukano. Za źródło znów główne owego domniemanego oryginału uważa Złotą Legendę Jakóba de Voragine, a stwierdza licznemi zestawieniami tekstu kazań na Boże Nar. i na dzień św. Jana ewangielisty z tekstem legendy. W większéj części zestawienia te w zupełności popierają twierdzenie autora; niektóre tylko krótsze (na str. 17 i 19) wydają mi się niepotrzebnie przywiedzione, gdyż nie mają siły przekonywającéj. Pożyczki te z Legendy są treści faktycznéj, odnoszą się głównie do wydarzeń cudownych, złączone z niemi napomnienia moralne uważa p. Erzepki za samodzielny utwór autora oryginału łacińskiego, którym posługiwał się polski kaznodzieja. Tekst rękopiśmienny kazań

poczytuje p. Erzepki za kopią z dawniejszego rękopismu, ale nie sądzi, ażeby datę powstania tego rękopismu można było cofnąć w głąb' wieku XIV; owszem twierdzi, iż tylko koniec XIV i początek wieku XV może być za taką datę uważany, gdyż język kazań w porównaniu z językiem psałterza floryańskiego jest młodszy (str. 29—31). W ostatnim dziale rozprawy, autor podaje obfity spis dostrzeżonych przez siebie różnic pomiędzy tekstem kazań drukowanym a rękopiśmiennym (str. 34—50). Dodać trzeba, że dysertacya ta jest wstępem do obszerniejszéj pracy „O języku kazań gnieźnieńskich.“ Autor w doktoryzacyjnéj swéj rozprawie okazał i wiedzę i pilność i bystrość umysłu, które najlepiéj wróżą o wartości przyszłych prac jego.

KRONIKA MIESIĘCZNA.

Wydalanie Polaków z Prus.—Arcydzieła mądrości politycznéj p. Pindtera. Rzeczywisty powód banicyi.—Nawoływania gazet zagranicznych i rosyjskich do naśladowania rządu pruskiego.—Nasz obowiązek względem wygnańców.—Niezasłużone faworyzowanie Niemców.—Stara bajka o niezdolności robotników naszych i jéj wartość. – Projekt hr. Łubieńskiego i p. Wesołowskiego —Szkoła imienia M. Konarskiego.—Reforma Banku Polskiego.—Projekty „Wieku“ w sprawie robotników.—Nowe pisma.

Smutnie wypada mi zacząć pierwsze wystąpienie w roli kronikarza „Ateneum.“ Jakkolwiek z natury swego umysłu skłonny jestem raczéj do patrzenia na rzeczy ze strony jasnéj, nie wiele dziś mam do zanotowania faktów pocieszających, a na czoło kroniki zmuszony jestem wysunąć zarówno wstrętne i bolesne dla nas, jak ubliżające tym, co na to obojętnie patrzą, postępowanie rządu pruskiego z poddanymi Rosyi i Austryi Polakami. Jak czytelnikom wiadomo z pism codziennych, barbarzyński rozkaz wydalenia przeszło 30.000 rodaków naszych płci obojéj i najrozmaitszego wieku i zajęcia z pozostających pod nieugiętém berłem sedańskiego zwycięzcy ziem polskich zaczął już wchodzić w wykonanie z okrucieństwem, właściwém sympatycznym *landsmanom* „żelaznego księcia.“ Podług listu p. Ignacego Łyskowskiego z Mileszew do „Gazety Toruńskiéj“ na konferencyi radców ziemiańskich Prus Zachodnich, odbytéj pod przewodnictwem naczelnego prezesa tejże prowincyi i w asystencyi radcy ministeryalnego, ustanowione zostały następujące terminy banicyi: ludzie nieżonaci i wolni od wszelkich umów służbowych mają być wydaleni jak można najśpieszniéj; żonaci, nie związani rocznym kontraktem służbowym, najdaléj 1 października r. b.; ludziom, skrępowanym umową roczną, przyjętą w Prusach Zachodnich, wolno pozostać do 11 listopada; wreszcie osobistości, posiadające własność, lub interesa, wymagające dłuższego czasu do załatwienia, mogą uzyskać

odwłokę do nowego roku, a nawet (!) do 1 kwietnia r. 1886. Po tym terminie nie ma już być w żadnéj z prowincyi polskich pod panowaniem pruskiém ani jednego Polaka, poddanego Rosyi, lub Austryi. Z korespondencyj do gazet rosyjskich i niemieckich przekonywamy się, że gorliwi landraci w wykonaniu powyższéj uchwały nie liczą się nawet z temi marnemi uwzględnieniami, które zbiorowo uradzili, bo ciągle spotykamy się z zakrwawiającemi serce opisami, jak wielkie straty ponoszą nieszczęśliwe ofiary tyranii pruskiéj, zmuszone już dziś na gwałt wyprzedawać całe swoje mienie. Do jakiego stopnia dochodzi brutalne bezprawie w tym względzie, da nowe pojęcie fakt, że wydalani nie zostali nawet zwolnieni od dotrzymania zobowiązań, wynikających z kontraktów o najem lokali, które bez żadnéj winy i wbrew woli własnéj łamać muszą. Gdy więc nie są w możności opłacić komornego za cały termin, objęty kontraktem, właściciele domów nakładają areszty na ich mienie. *Posener Zeitung* odwołuje się do ludzkości właścicieli domów w Poznaniu i wyraża nadzieję, że ci nie będą robili trudności osobom, dotkniętym dekretem banicyjnym, lecz zwolnią ich z kontraktów dzierżawy mieszkań, które, wedle przyjętego zwyczaju, zawierają się najkróciéj na rok jeden. Czyż jednakże na rozleglejsze przejawienie się podobnéj względności ze strony właścicieli Prusaków liczyć można? Na podstawie blizkiéj sąsiedzkiéj znajomości tego szlachetnego narodu mocno, niestety, o tém wątpić musimy.

Korespondenci niektórych z pomiędzy wrogich nam gazet rosyjskich, a w szczególności *Mosk. Wiedomosti* i *Nowego Wremia* utrzymywali, iż banicyi podlegają tylko ludzie, nie posiadający w porządku paszportów i nie mogący się wylegitymować z rodzaju stałych swoich zajęć. Twierdzenie to jednakże okazało się tendencyjném kłamstwem, gdyż zaprzeczyły mu stanowczo wszystkie, prawie bez wyjątku, wiadomości, podane przez pisma niemieckie, zazwyczaj bardzo nieprzyjaźnie dla nas usposobione. Wiadomości te potwierdzone wreszcie zostały i w prasie rosyjskiéj przez człowieka, którego w żaden sposób niepodobna posądzić o „polską intrygę,“ bo przez korespondenta świeżo zmartwychwstałéj „Rusi,“ p. Sergiusza Szarapowa. „Wiem dokumentalnie, pisze ten współpracownik organu p. Aksakowa, że podział wygnańców będzie taki: 1) Około tysiąca Polaków-emigrantów, mniéj lub więcéj skompromitowanych, którzy się udali do Austryi. 2) Około 9 tysięcy żydów, zbiegłych przed służbą wojskową. Ci rozproszyli się po Europie. 3) Pozostałe 20 tysięcy stanowią Polacy, wyłącznie włościanie i rzemieślnicy, nie mający nic wspólnego z polityką. Przemieszkali oni po kilka, a nierzadko nawet po kilkadziesiąt lat za granicą, mają żony i dzieci (z pomiędzy

tych ostatnich wielu synów służy w wojsku pruskiém) i bynajmniéj pod żadnym względem nie są skompromitowani, ani wobec nas, ani wobec Prusaków.“

I cóż za powód, co za cel tak srogiego prześladowania tych niewinnych ludzi, którzy spokojnie na chléb powszedni pracowali, nie mącąc wody nikomu? Powodów tych podaje organ księcia Bismarka, *Nordd. Allg. Zeitung*, trzy: pierwszym z nich ma być chęć pozbycia się pierwiastku rewolucyjnego, za jaki zawsze jeszcze niemieckie *biersäufery*, wspólnie z wieloma ich rosyjskimi naśladowcami, podają Polaków; drugim—jest jakoby obawa o repolonizacyą zniemczonych już do pewnego stopnia prowincyi polskich; jako trzeci, wreszcie, wymienia p. Pindter potrzebę usunięcie niebezpiecznéj dla robotników niemieckich konkurencyi, jaką niby mają im wytwarzać emigranci polscy, mogący dzięki nawyknieniu do niższéj skali życia sprzedawać swoje pracę taniéj. Przyjrzyjmy się bliżéj tym *arcydziełom* politycznéj mądrości pruskiéj.

Polacy dzisiejsi—pierwiastkiem rewolucyjnym! Doprawdy, gdyby wobec znajomości rzeczywistych stosunków na myśl o tém prokuratorsko-dyplomatyczném szalbierstwie gniew i oburzenie w gardle tchu nam nie tamowała, trzebaby z téj iście himalajskiéj niedorzeczności śmiać się do rozpuku. My—pierwiastkiem rewolucyjnym! Kto, jak każdy z nas, Polaków, w otoczeniu swojém słyszy ciągle i na każdym kroku na rozmaite tony i nuty powtarzaną i sam innym niezmordowanie śpiewa piosnkę, złożoną wyłącznie z wyrazów: spokój, cicha praca, oportunizm, wyczekiwanie, cierpliwość, i jak tam jeszcze na tysiączne inne sposoby te cnoty słabych zwać się mogą, a pomimo to równie często spotyka się z kłamliwemi obwinieniami o dążenia i agitacye rewolucyjne nietylko ze strony płatnych pismaków, lecz i ich rozkazodawców, tak wysoko postawionych, jak książe Bismark i Putkammer, ten musi przyjść do wniosku, że potężni prześladowcy nasi wiedzą bardzo dobrze, iż niegodziwe ich zmyślenie o „intrydze polskiéj“ nie ma żadnego realnego podkładu, lecz ukuli świadomie to straszydło, by pod pozorem walki z nim mogli dopuszczać się względem nas wszelkiego bezprawia, łudząc się nadzieją, iż zdołają nas zetrzéć z powierzchni ziemi. Bądźmy jednak spokojni, że złudzenia te bliższa, lub dalsza przyszłość rozproszyć zdoła i następcy księcia Bismarka przekonają się kiedyś, że kilkunastowiekowego dębu o milionach korzeni nie potrafi wyrwać z matki ziemi nawet tak potężny i nieugięty karczownik, jak dzisiejszy pierwszy minister pruski.

Że polonizacya Niemców w księstwie Poznańskiém jest takiém samém straszydłem, jak rewolucyjność polska, i w tym samym celu

zmyślona, dowodzić nie potrzebujemy. Jeżeli jednak na wydaleniu poddanych rosyjskich zakładał sobie książe Bismark ułatwienie zniemczenia Polaków, to sądzimy, że i pod tym względem nadzieje jego zawiedzione zostaną. Możemy być pewni, że okrucieństwo rządu pruskiego i widok niedoli wydalanych wzmocni tylko w ich poznańskich rodakach ducha odporności przeciwko zakusom germanizacyi. Prześladowania bowiem nie zdołają nigdy żadnéj jednostki, w któréj sercu tli się choć najmniejsza iskierka uczuć szlachetnych, skłonić do opuszczenia sprawy ogólnéj, jeżeli zaś zdradzą ją jednostki znikczemniałe, to żałować niema czego. Uwaga ta nasuwa nam na myśl spostrzeżenie godne zastanowienia, a mianowicie, że rząd pruski, starając się gwałtownie zgermanizować Poznańskie, wyrządza swemu narodowi moralną krzywdę, tym sposobem bowiem sprawia, że naród niemiecki wchłania w siebie z pośród społeczeństwa polskiego pierwiastki najnikczemniejsze, oddając mu wzamian z pośród siebie—w części przynajmniéj—szlachetne, o ile niektórzy, zamieszkali w prowincyach prusko-polskich, Niemcy przez sympatyą, lub współczucie dła prześladowanych łączą się z nimi i w końcu polonizują. W tém téż znaczeniu możemy przyznać słuszność gazetom niemieckim, że dekret banicyjny „*oczyści*" Poznańskie z żywiołów niebezpiecznych i niepożądanych," tylko że brudy spłyną do morza—pruskiego.

A teraz—potrzeba usunięcia współzawodnictwa, wytwarzanego robotnikom niemieckim przez napływową ludność polską. Są tu możliwe dwa tylko przypuszczenia: albo niemiecki rynek pracy jest przepełniony, albo nie jest. W pierwszym razie kilkanaście tysięcy robotników mniéj, lub więcéj w tak wielkiém państwie jak Niemcy nic nie stanowi, bo gdyby rzeczywiście grały one jakąś rolę, to przeludnieniu zapobiegłoby w zupełności dobrowolne wychodźctwo, którego upustami odpływa corocznie z cesarstwa niemieckiego po kilkakroć sto tysięcy. Tak np. do saméj Ameryki wyemigrowało w r. 1880 — 104,264, w następnym — 249,572, a w 1882 tylko do 1 lipca około 279,000 pupilów żelaznego księcia, śpiewając na odjezdném:

„Lieb Vaterland magst ruhig sein,
Am Hudson besser, denn am Rhein!"

Rudolf Meyer, od którego zapożyczyliśmy cyfr powyższych, dowodzi na podstawie danych statystycznych z ostatnich lat 60, że przyczyną tego masowego wychodźctwa nie jest bynajmniéj przeludnienie, lecz wojny i obawa wojny, oraz spowodowane, przyjętym przez Prusy, systemem militarnym przeciążenie ubogiéj ludności podatkami; w ostatnich czasach dołączył się jeszcze do tych dwu po-

wodów trzeci, a mianowicie — błędy polityki ekonomicznéj księcia kanclerza. Za śmiałe wykazanie właśnie tych błędów skazany został wzmiankowany ekonomista na pół roku więzienia i skutkiem tego zmuszony był opuścić swą miłą ojczyznę.

Sługusi jednakże księcia Bismarka twierdzą, że robotnicy polscy są niebezpiecznymi współzawodnikami niemieckich skutkiem nawyknienia do niższéj skali życia, zobaczmy więc, jak pod tym względem rzeczywiście sprawa się przedstawia. Podług urzędowego oszacowania do podatku klasowego w Prusach w r. 1881 z ogólnéj liczby zarabiających (*Erwerbende*) 9,155,885 było, mających dochodu mniéj niż 420 marek, czyli mniéj niż 210 rs. — 3,931,231, od 420 zaś do 660 marek, czyli od 220 do 330 rs. — 2,709,972; ogółem ludzi z dochodem niżéj rubla dziennie 6,641,203, to jest $^2/_3$ ogólnéj liczby zarabiających, blisko zaś połowa téj liczby zarabia mniéj niż 4 złp. na dzień. Tak świetnie przedstawia się położenie ekonomiczne ludności pracującéj w kraju, cieszącym się posiadaniem „najgenialniejszego męża stanu“, który z obawy, wyraźnie—z *obawy*, by kilkanaście tysięcy Polaków (lepiéj zapewne płatnych, bo inaczéj nie byliby wyemigrowali z kraju) nie *obniżyło skali życia* czterech milionów przymierających z głodu Niemców — wydalił ich z granic państwa. *Risum teneatis amici!* A więc trzeba zapominać, że pod wpływem w czwórnasób podwyższonego w r. b. cła od wwozu zboża do Niemiec nędza ludu bardziéj tam jeszcze wzrośnie. Wtedy już wydalać z Prus nikogo nie będzie potrzeby, ale raczéj wpędzać chyba siłą, bo pies nawet nie będzie chciał w nich osiąść dobrowolnie. Wtedy szczęśliwy ten kraj stanie się rzeczywiście, jak go nazwał jeden z jego synów — *„das Vaterland der Treue und der... Kartoffel als Arbeiterspeise und Zubrod!“*

Lecz cóż ostatecznie jest rzeczywistym powodem dekretu banicyjnego, kiedy wszystkie, trzy podane przez organ autora tego wzniosłego przejawu cywilizacyi pruskiéj, okazały się tylko czczemi wybiegami? Logika na to pytanie jednę tylko dyktuje odpowiedź—powodem tego humanitarnego czynu nie może być nic innego, jak znana rozgłośnie, a rosnąca ciągle żądza niemiecka tępienia wszystkiego, co słowiańskie, a zwłaszcza co polskie, ta dzika żądza, którą filozoficzny junkier pruski, Hartmann, tak dosadnie streścił w osławioném haśle: „ausrotten!“ W imię tego tylko hasła mógł zapaść wyrok wygnania na ludzi spokojnych, pracowitych i od wszelkiéj przewiny wolnych, wyrok, nie wyłączający nawet kobiet, dzieci i starców sparaliżowanych!... Jakkolwiek wszystkie te nieszczęsne ofiary nienawiści germańskiéj wiele bezwątpienia ucierpią, mogą się przynajmniéj pocieszać tém, że, jak dotąd, jest wszelkie prawdopodobień-

stwo, iż przykładnie pomszczone zostaną. Zrozumieli to niebezpieczeństwo publicyści niemieccy i dlatego prawie jednogłośnie prześladowczy wybryk swego rządu potępili. Grubijańska przewaga Prus sprzykrzyła się już widocznie światu, bo zaczyna on jéj dawać zasłużoną odprawę. Piraterska wyprawa na wyspy Karolińskie doprowadziła, jak wiadomo, do podeptania orłów niemieckich w Hiszpanii. Otóż z tego, co czytamy w gazetach, wnosić należy, że z okazyi dekretu banicyjnego samych już Prusaków wszędzie deptać zaczną. Ladsmanów żelaznego księcia we wszystkich krajach świata znajduje się mnóstwo, a są oni wszędzie tak niepożądani, że zewsząd rozlegają się coraz liczniejsze głosy, żeby skorzystać z danego przez rząd pruski przykładu i naśladować go względem jego poddanych. W tym duchu odezwała się nawet prasa dwóch najliberalniejszych w Europie narodów, a mianowicie: angielska i szwajcarska, nawołująca w imię patryotycznego obowiązku, ażeby przedsiębiorcy tamtejsi usunęli ze swych fabryk robotników niemieckich i oddali, zajmowane przez nich miejsca swoim współrodakom, pozbawionym zarobku.

Jakkolwiek niektóre z pism rosyjskich (dodajmy na pochwałę Rosyan, że nieliczne) przez nieubłaganą nienawiść do nas starają się rozkaz wygnania rodaków naszych moralnie usprawiedliwić, to jednakże wszystkie godzą się w tym względzie, że należy go uważać za dogodny precedens do powzięcia środków przeciwdziałania niebezpiecznemu dla państwa rosyjskiego *Drang nach Osten* ze strony emigracyi niemieckiéj. Według czeskiéj gazety *Politik* w granicach państwa rosyjskiego, przeważnie w krajach polskich, znajduje się przeszło 400,000 poddanych niemieckich, pomiędzy którymi znaczną większość stanowią Prusacy. Wszystkich Niemców w całéj Rosyi jest około dwóch milionów. Ponieważ liczba ta z każdym rokiem znacznie jeszcze wzrasta i zawiera niemały procent mężczyzn do boju zdolnych i w służbie wojskowéj wyćwiczonych, przeto prasa rosyjska zwraca uwagę sfer rządowych na to, że na wypadek wojny z Niemcami, z któréj możliwością w przewidywaniach na przyszłość w każdym razie liczyć się wypada, koloniści ci stanowiliby bardzo niebezpieczną dla wojsk rosyjskich placówkę forpocztową armii nieprzyjacielskiéj. Dla zapobieżenia temu niebezpieczeństwu jedne z pism zalecają wprost naśladowanie postąpienia rządu pruskiego z poddanymi rosyjskimi, inne, nie posuwając się tak daleko, doradzają wydalenie tych tylko Niemców, którzy się nie zechcą naturalizować, oraz przedsięwzięcie środków administracyjnych celem zjednoczenia przybyszów z ludnością miejscową i przeszkodzenia dalszemu ich napływowi.

Zanim jednakże temu ogólnemu życzeniu wszystkich słowiańskich poddanych państwa stanie się zadość ze strony sfer rządowych, musi społeczeństwo postarać się na swoją rękę o zatamowanie zalewu niemieckiego. W poglądach na tę sprawę zgadzają się w zupełności pisma rosyjskie z polskiemi, nie wyłączając z pierwszych nawet *Now. Wrem.*, które zaznaczając z zadowoleniem w osobnym artykule ten fakt rzadkiéj jednomyślności w prasie dwóch „powaśnionych z sobą przodujących gałęzi słowiańszczyzny wschodniéj“ (nie tęgi z autora geograf!), wyraziło „wdzięczność kanclerzowi niemieckiemu za politykę, rozbudzającą wzajemne uczucia pokrewieństwa Polaków i Rosyan.“ Szkoda tylko, że to samo pismo w nadmiarze braterskiego dla nas współczucia pomieściło poprzednio korespondencyą p. Mołczanowa, w któréj znany ten nasz „krewniak“ pochwalał bardzo dekret banicyjny, zapewniając, iż obejmuje on tylko niebezpieczną dla państwa niemieckiego „hołotę“.

Wiadomo, że większość fabryk naszych, nie wyłączając należących do rodowitych Polaków, przepełniona jest robotnikami niemieckimi, często nawet wtedy, gdy z wszelką łatwością i bez żadnéj szkody dla interesów pracodawcy możnaby ich zastąpić miejscowymi. Otóż prasa w imię uczuć i obowiązków obywatelskich nawołuje przedsiębiorców do dawania pierwszeństwa ludności swojskiéj. Obowiązek ten powinien wszystkim pracodawcom polskim témbardziéj leżéć na sercu, że niemieccy protegują ogólnie swoich współziomków i dają zajęcie ludności miejscowéj tylko w razach nieodzownéj potrzeby. Wobec tego, po dokonanym zwłaszcza fakcie wygnania rodaków naszych z Poznańskiego, dalsze faworyzowanie Niemców byłoby ze strony naszéj występkiem. Niestety, niepojęte to upodobanie do przyjmowania oficyalistów téj narodowości, która nas jawnie nienawidzi i nami pogardza, jest bardzo wśród naszych fabrykantów i kupców rozpowszechnione. Znam fabrykę, należącą do Polaka, w któréj ugodzony za trzyletnim kontraktem, mechanik, Niemiec, pobierał 1500 rs. rocznie i mieszkanie, z 3-ch pokojów złożone; gdy zaś za pijaństwo i niedozór wydalony został, przyjęty na jego miejsce Polak, mający daleko wyższe kwalifikacye i chlubne świadectwa z najpierwszych w Europie fabryk, zaledwie wytargować zdołał 1200 rs. bez żadnych dodatków i bez żadnéj gwarancyi przeciwko kaprysom pryncypała, który w przystępie złego humoru może go wydalić w każdéj chwili. Takimże samym przywilejem, jak ów mechanik, cieszył się inny pracownik, Prusak, zajmujący się pewną specyalną czynnością, któremu do cen, ustanowionych dla jego poprzednika, Francuza, dodawano 25%. Gdy nie do zniesienia zuchwałe i aroganckie zachowanie się względem zwierz-

chności zmusiło ją do usunięcia tego beniaminka, następcy jego, Polakowi, daleko lepiéj znającemu robotę, kazał właściciel *odtrącać* 25% od cennika. Z pomiędzy ślusarzy téj fabryki najlepiéj płatny jest Niemiec, fuszer, który nigdy systematycznie w swoim fachu się nie kształcił i czeladnikiem nie jest, lecz tylko nauczył się przez opatrzenie dokonywania pewnych reparacyi fabrycznych. Z urzędników handlowych i administracyjnych najlepsze wynagrodzenie, wyższe od pensyi dyrektora, pobiera w téj fabryce Niemiec z Poznańskiego, dysponent jednego ze składów wyrobów fabrycznych, nienawidzący do tego stopnia naszéj mowy, którą zna jednak dobrze, że nawet do pryncypała pisuje listy po niemiecku. Dodajmy, że zajmujący takie same stanowiska, Polacy są wynagradzani 3 razy gorzéj, oraz że właściciel będącéj w mowie fabryki kilkakrotnie na znaczne sumy przez swych ulubieńców, Niemców, był okradany. Wszystko to jednak nie zdołało go uleczyć z niewytłomaczonego respektu dla téj narodowości, do któréj, jak mnie zapewniał, ma czuć głęboką antypatyą. A nie są to fakty odosobnione. Mógłbym tu jeszcze przytoczyć wiele podobnych z innych fabryk polskich.

Stosunki takie dłużéj trwać nie powinny, jeżeli nie chcemy sami dobrowolnie dopomagać Niemcom do powolnego wyzuwania nas z mienia. Ci, co mówią o koniecznéj potrzebie uciekania się do niemieckich sił roboczych, albo sami są w błędzie, albo starają się okłamać innych. Robotnicy niemieccy na całym świecie znani są jako fuszerzy i ociężali. Jeżeli ich przyjmują w Zach. Europie, to jedynie dzięki temu, że sprzedają oni tam swoję pracę tanio. Wyćwiczeni przez przedsiębiorców, mających za zasadę produkcyi: *schlecht und billig*, nie mogą oni odznaczać się wysokiém uzdolnieniem techniczném, nie mogą stanowić dla nas pożądanego nabytku tak samo pod względem ekonomicznym jak i społecznym. To, co się mówi o niezdolności naszych robotników, jest starą, ale tém nie mniéj wierutną bajką, którą by już dawno był czas wyrzucić do śmietnika naszych głupstw narodowych. We wszystkich wielkich fabrykach Zachodniéj Europy można spotkać robotników naszéj narodowości i pracodawcy bynajmniéj ich za nieudolnych nie uważają, owszem, przeciwnie—bardzo dobrą o nich wydają opinią. W znanych zakładach Kruppa w Essen, jak mnie zapewniał jeden z przyjaciół, który je zwiedzał, do robót wymagających zręczności i szybkości sprowadzają umyślnie robotników polskich ze Szląska. W Paryżu sam się przekonałem, że wszyscy rodacy nasi, posiadający fach, zarabiają bardzo dobrze i trudności w znalezieniu pracy bynajmniéj nie mają. Co do pracowników wyższéj kategoryi, wiadomo, że są oni ogólnie widziani za granicą bardzo dobrze. Lesseps wyraża się o inżynie-

rach Polakach nadzwyczaj pochlebnie i chętnie daje im zajecie w swoich przedsiębiorstwach, bo przy budowie kanału Sueskiego tylko Polacy wytrwali na swych stanowiskach od początku do końca i wywiązali się z przyjętych na się zadań sumiennie. I w kraju więc moglibyśmy mieć pracowników zdolnych, gdybyśmy ich umieli szanować. Dopóki jednak, zarabiający zagranicą dobrze i traktowany jak człowiek, robotnik nasz będzie wiedział, że gdyby wrócił do kraju, będą mu płacili licho i za zwierzchnika będzie miał jakiegoś grubijańskiego Niemca, który mu rzemyka u sandałów nie wart rozwiązać, a pomimo to ma mu prawo wymyślać „*Polnisches Schwein*“, dotąd będzie wolał pracować na obcéj ziemi. Ci zaś, co zagranicę wyjechać nie mają możności, lub odwagi, płatni źle i traktowani jeszcze gorzéj, będą też robili zawsze „aby zbyć“, bo jaka płaca, taka praca. Jest to naturalne, logiczne i sprawiedliwe.

Ażebyśmy więc mogli obejść się bez Niemców, musimy przedewszystkiém zaprzestać niezasłużonego ich faworyzowania, a następnie przejąć się głęboko tą prawdą, że zarówno obywatelski obowiązek, jak i własny interes osobisty każdego przedsiębiorcy polskiego nakazuje mu oceniać pracowników swoich sprawiedliwie i przekładać siły swojskie nad cudzoziemskie. Obecnie, gdy kilkanaście tysięcy, wydalonych z Poznańskiego robotników rozmaitych fachów, przyjdzie na nasz rynek szukać zajęcia, kto ma w sercu choć iskierkę miłości dla swego kraju, a w warsztacie pracy swojéj choć jednego, stęsknionego za *Vaterlandem* Niemca, powinien go bezzwłocznie odesłać do rozporządzenia księciu kanclerzowi, a na jego miejsce przyjąć rodaka.

Po za tą jednak potrzebą chwili bieżącéj, któréj sami o własnych siłach prawdopodobnie uczynić zadość potrafimy, istnieje jeszcze dalsza konieczność zapobieżenia na przyszłość zalewowi kraju przez Niemców, co już wobec tego, że większość fabrykantów naszych jest pochodzenia obcego, przechodzi możność społeczeństwa, pozostawionego samemu sobie. Wspomnieliśmy wyżéj, że pisma rosyjskie zwróciły już uwagę, ze względów politycznych na konieczność interwencyi rządu, dla osiągnięcia tego celu. Otóż pp. Józef Łubieński i Feliks Wesołowski postanowili za pośrednictwem Towarzystwa popierania przemysłu i handlu w Petersburgu wystąpić z podobném żądaniem do władzy w imię interesów ekonomicznych. W złożonym przez się wniosku upraszają oni wymienione Towarzystwo „o wyjednanie u rządu ogłoszenia prawa, zabraniającego fabrykantom zagranicznym (tylko?) zalewania Rosyi cudzoziemskimi dyrektorami, inżynierami, technikami i robotnikami, oraz nakazującego, ażeby każdy fabrykant do produkcyi fabrycznéj używał sii

roboczych z pośród poddanych rosyjskich, a nadto ażeby zarządzający fabryką był koniecznie poddanym rosyjskim, jako osobistość odpowiedzialna przed państwem i społeczeństwem.“ Nam się zdaje, że zamiast tego zakazu i nakazu, który wobec znanych sposobów obchodzenia prawa, mógłby pozostać martwą jedynie literą, byłoby rzeczą praktyczniejszą nałożyć na cudzoziemców, przebywających w granicach państwa za pasportami niemieckiemi, tak wysoką opłatę za dozwolenie pobytu, żeby fabrykantom używanie niemieckich sił roboczych stanowczo wypadło za drogo. Wtedy z pewnością postaraliby się o wykształcenie sobie robotników z pośród ludności miejscowéj a władza również zapewne chętniéj przychyliłaby się do wydania prawa, przynoszącego korzyść skarbowi, niż kłopoty policyi. Jeżeli autorowie wzmiankowanego wniosku uwadze mojéj przyznają słuszność, możeby go zechcieli odpowiednio zmodyfikować, zanim pójdzie on pod obrady ogólnego zebrania Towarzystwa, którego staraniom powierzony został.

Pomimo wszystko jednak taić przed sobą nie powinniśmy, że dziś jeszcze bez napływowych sił obcych obejść się zupełnie nie możemy. Trzeba tylko, żebyśmy pamiętali, że źródłem téj smutnéj niemocy nie jest żadna konieczność przyrodzona, żadna niższość naszéj rasy, lecz własne błędy nasze, wynikające głównie z jednéj strony z nieliczącéj się nigdy z dalszemi następstwami czynów karygodnéj lekkomyślności naszéj, z drugiéj—z braku uczuć obywatelskich wśród pewnéj części przemysłowców naszych. Przytoczone wyżéj przez nas fakty ze świata zagranicznego dowodzą, że moglibyśmy byli oddawna mieć dostateczną liczbę robotników własnych, nietylko na równi z Niemcami, ale nawet wyżéj od nich uzdolnionych fachowo, gdybyśmy się byli o to postarali. Dzieje rozwoju ekonomicznego wszystkich bez wyjątku krajów cywilizowanych wymownie nas pouczają, że nigdzie na świecie przemysł krajowy nie powstał odrazu własnemi siłami, lecz wszędzie szczepili go cudzoziemcy, a dopiero z czasem usiłowania krajowców, wspierane przez władzę państwową, przyswajały go sobie i nadawały mu odrębne cechy, zależne od takich lub innych przymiotów, uzdolnień i wad danego narodu. Cóż jednak u nas zrobiono w tym celu, żeby sobie, zaszczepiony przez Niemców i wspierany przez rząd wysokiemi cłami, przemysł przyswoić, żeby go uczynić *rzeczywiście krajowym*?— Nic, absolutnie nic. Publiczność, nabywając towary, domaga się koniecznie zagranicznéj na nich marki, przemysłowcy więc, dogadzając jéj gustom, naśladują niewolniczo wyroby zagraniczne. Skutkiem takiego położenia rzeczy uzdolnieni technicy i robotnicy nasi zmuszeni są tułać się zagranicą, a w kraju przepłacani są wysortowani fuszerzy niemieccy, którzy w swéj ojczyźnie chleba znaleść nie mogli.

Gdy sprawa tak stoi, jasném jest, że początek reformy w tym względzie musi wyjść od publiczności. Niech ona, pod wpływem obrażonych przez Prusaków uczuć narodowych, porzuci dawne upodobania, niech od kupców domaga się stale wyrobów firm krajowych i, o ile możności polskich, a przemysłowcy napewno zaczną się przesadzać jeden przez drugiego w dowodach swych uczuć obywatelskich, nauczą się cenić robotników miejscowych i postarają wychować ich sobie ilość dostateczną.

Ta ostatnia potrzeba ze swéj strony wskazuje nam na nieodzowną konieczność powiększenia w kraju liczby zakładów, mających na celu kształcenie fachowo uzdolnionych rzemieślników. Zakładów tego rodzaju mamy dotąd bardzo mało, bo zaliczyć tutaj można zaledwie kilka szkół technicznych, utrzymywanych przez nasze drogi żelazne, i jedną właściwą szkołę rzemiosł przy ulicy Jasnéj, bardzo ubogą i nie dość przez społeczeństwo, a zwłaszcza przez najbliżéj interesowaną jego klasę, przemysłowców, wspieraną i popieraną. W tych dniach właśnie otwarta została druga taka szkoła, założona z zapisu ś. p. Michała Konarskiego. Czcigodny ten imiennik znakomitego reformatora szkół polskich z zeszłego wieku zmarł jeszcze r. 1861, w Odesie, lecz rozmaite trudności i przeszkody niezależne od wykonawców testamentu, nie pozwoliły na wcześniejsze zadośćuczynienie woli zapisodawcy. Nareszcie d. 13 marca r. z. projekt szkoły rzemiosł ostatecznie przez władzę zatwierdzony został na zasadzie ogólnych przepisów z d. 31 maja 1872 r. Przez ten czas, pozostawiony pod zarządem Towarzystwa kredytowego ziemskiego, legat wzrósł do poważnéj sumy rs. 256.588. Szkoła, utrzymywana z procentów od tego kapitału, zostawać będzie pod kierunkiem inspektora i nauczycieli, mianowanych zwykłym trybem, oraz pod opieką komitetu, wybieranego co lat 6 przez kuratora okręgu naukowego, w porozumieniu z prezesem komitetu przemysłowego. Dokonany w ten sposób, wybór winien być jeszcze zatwierdzony przez naczelnika kraju. Do pierwszego, funkcyonującego obecnie komitetu opiekuńczego weszli: przewodniczący, b. dziekan uniwersytetu, Stanisław Przystański, radca kom. tow. kr. z. Aleksander Golc, rz. r. st. Aleksander Blumenfeld, inż. Edmund Diehl i inż. technolog Maciéj Paszkowski.

Ciało nauczycielskie szkoły stanowić mają: inspektor, z pensyą 700 rs., ksiądz katolicki (300 rs.), duchowny prawosławny i trzech nauczycieli (po 550 rs.), wreszcie dwóch pomocników nauczycieli (po 200 rs.). Pozatém na naukę języka polskiego przeznaczono 325 rs., śpiewu—75 rs., rzemiosł—po 300 rs., w końcu na drobne wydatki szkoły 100 rs. Inspektorem jest p. Mazureńko; nauczycielami, mia-

nowanymi dotąd: pp. Esmanowskij, Archangelskij i Rutkowski. Szkoła dzieli się na 3 klasy z kursem dwuletnim, uczniowie jednak odznaczający się postępem, będą mogli przechodzić do klasy wyższéj po roku. Kandydaci do klasy pierwszéj winni umieć czytać i pisać po rosyjsku, oraz znać 4 działania arytmetyczne. Opłata wpisowa wynosi rs. 5 półrocznie, lecz ubodzy, a dobrzy uczniowie będą od niéj uwalniani.

Nauka właściwych rzemiosł zacznie się w szkole dopiero po wybudowaniu odpowiedniego na ten cel domu, gdyż w lokalu obecnym, wynajętym na Nowém mieście, brak na to miejsca. W r. b. obok nauki przedmiotów wykształcenia ogólnego wszyscy uczniowie zajmować się będą robotami ręcznemi, mającemi na celu wyrobienie dobrego gustu, bystrości wzroku i gibkości ręki. Do robót tych należą: lepienie z gliny, klejenie figur z tektury, rzeźbienie z drzewa, plecenie koszyków itp. Dla bliższego zapoznania się z metodą prowadzenia téj nauki, na wniosek komitetu opiekuńczego, ma być wysłany kosztem szkoły p. Jerzy Kühn, inspektor szkoły rzemiosł przy ulicy Jasnéj, do Finlandyi i Szwecyi, gdzie tego rodzaju system kształcenia w pracy ręcznéj zastosowano po raz pierwszy w szkołach ludowych.

Czy ostatecznie szkoła Konarskiego spełnił te oczekiwania, jakie na niéj społeczeństwo nasze pokłada?—przesądzać dziś trudno. Poczekajmy cierpliwie lat parę, a czas na to pytanie odpowie.

Z dziedziny ekonomicznéj zanotować nam wypada doniosły dla kraju naszego fakt reformy Banku Polskiego. Ponieważ sprawę tę ma bliżéj rozebrać w oddzielnym artykule kompetentniejsze od mojego pióro, poprzestanę przeto tutaj na obiektywném jedynie zaznaczeniu kilku wiadomości faktycznych. I tak, mający wystąpić na miejsce dawnego Banku Polskiego kantor Banku Państwa w Warszawie i jego oddziały na prowincyi zaczną funkcyonować najdaléj z początkiem nowego roku; termin zaś istnienia specyalnéj w banku komisyi likwidacyjnéj, do uregulowania rachunków dawnych wyznaczony nie został. Upłynie on zapewne sam przez się z chwilą załatwienia tych rachunków. Etat oddziałów na prowincyi wynosi po 8 osób na każdy oddział, za wyjątkiem Łodzi, dla któréj wyznaczono osób 10. Obowiązki prezesa kantoru pełni dotychczasowy dyrektor filii w Kiszyniewie. Po ukończeniu rewizyi raz jeszcze zjedzie komisya likwidacyjna z Petersburga w całkowitym komplecie, dla ostatecznego wygotowania instrukcyi. Co do zmian, jakie mają zajść w atrybucyach kredytowych dawnego banku z chwilą stanowczego przeistoczenia go na kantor Banku Państwa,—nic pewnego dotąd niewiadomo, gdyż w postanowieniu rządowém o tém przeistoczeniu jest

wzmianka, iż jakkolwiek nowy kantor prowadzić ma główną swą działalność na podstawie ogólnéj ustawy dla kantorów i oddziałów Banku Państwa, to jednakże mogą w nim być wprowadzone takie zmiany w warunkach i przebiegu czynności, jakie p. minister skarbu uzna za konieczne ze względu na potrzeby miejscowe. Do takich koniecznych dla naszego kraju zmian należy przedewszystkiém potrzeba obniżenia *minimum* kredytu wekslowego, przyjętego przez Bank Państwa, oraz danie możności, czy to w sposób dotychczasowy, czy w jakiś inny, korzystania z tego kredytu rolnikom, którzy inaczéj staliby się bardziéj jeszcze niż dotąd pastwą lichwiarzy małomiasteczkowych.

Gorszy los czeka z nadejściem zimy, niekorzystających z żadnych źródeł kredytu, robotników pozbawionych zajęcia. W przewidywaniu, że liczba ich będzie w tym roku większa jeszcze, niż w zeszłym, gazeta „Wiek“ w N rze 29-tym podnosi ich sprawę i projektuje wczesne utworzenie delegacyi statystycznéj z ramienia komitetu reprezentantów kupiectwa, jak to miało miejsce na początku r. b., celem sporządzenia ankiety robotniczéj i dokładnego zbadania rozmiarów grożącego niebezpieczeństwa. Dla doraźnego zażegnania go radzi wzmiankowany dziennik sformowanie komitetu pomocy, któryby zawczasu pomyślał o zgromadzeniu potrzebnych środków. Ponieważ źródłem bezrobocia w Warszawie jest nietylko zastój w przemyśle, lecz zarazem nadmierny, a ciągły napływ sił roboczych z prowincyi, przeto uważa „Wiek“ za potrzebne z jednéj strony obostrzenie przepisów policyjnych przeciwko osobom, przybywającym do Warszawy i nie posiadającym dostatecznych środków do życia, z drugiéj zaś utworzenie, przy sekcyi rękodzieł Towarzystwa popierania przemysłu i handlu, biura pośrednictwa pracy, któreby opierając się na wynikach wzmiankowanéj wyżéj ankiety robotniczéj, postawiło sobie za zadanie przeciwdziałać nadmiernéj centralizacyi życia przemysłowego w mieście naszém. Gdyby można było liczyć na to, że we wspomnianém Towarzystwie znajdą się ludzie gotowi ciężar ten podjąć i nieść wytrwale, projektowane biuro mogłoby rzeczywiście przynieść społeczeństwu, a zwłaszcza klasie robotniczéj, pożytek niemały. Prasa nasza tyle już obowiązków na to nieszczęsne Towarzystwo włożyła, iż niepodobna przypuszczać, żeby ono wszystkim podołać zdołało. Jakakolwiekbądź nowa zjawi się w kraju potrzeba zawsze jéj kozłem ofiarnym w życzeniach prasy staje się Towarzystwo popierania przemysłu i handlu i nikt inny. Alež litości, panowie!..

Na zakończenie zawiadamiamy czytelników, iż z d. 1 października ujrzeć ma światło dzienne na bruku naszym nowe pismo. Tytuł:

Chwila, dziennik polityczny, literacki i społeczny. Redaktor: p. Walery Przyborowski. Numer okazowy prezentuje się bardzo okazale, króciutki zaś prospekt zapowiada zerwanie zarówno z „polityką serca,“ jak „pracy organicznéj,“ a natomiast uprawianie na gruncie „wzajemności słowiańskiéj“ polityki rozumu, szerokich horyzontów, wzniosłych dążeń itp. wspaniałych... ogólników. W przyszłéj kronice może będziemy mogli powiedziéć o nowym polityku coś dokładniejszego.

W téj chwili odbieramy jeszcze pierwszy numer innego nowonarodzonego organu. Jest nim „Zdrowie“, miesięcznik „poświęcony higienie publicznéj i prywatnéj,“ redagowany przez znanego z licznych prac popularno-lekarskich, dr. J. Polaka. Bogata i urozmaicona treść pierwszego numeru, oraz poważne nazwiska współpracowników, zalecają go dobrze, a niska cena prenumeraty (4 rs. rocznie w Warszawie i 5 rs. na prowincyi) czyni go dostępnym dla szerokiéj publiczności. Pożytecznemu wydawnictwu życzymy powodzenia.

Trzeciém nakoniec pismem, którego numer okazowy świeżo wypuszczony został, jest „Gazeta losowań papierów publicznych,“ mająca wychodzić co sobotę, za tanią cenę, bo rocznie w Warszawie tylko rubla, a na prowincyi dwa ruble wynoszącą. Redaktor p. Adolf Peretz podawać w niéj zamierza wykazy wylosowanych papierów krajowych oraz tych rosyjskich i zagranicznych, które największy u nas mają obieg; daléj cedułę giełdową, przegląd rynków pieniężnych, i ruchu ekonomicznego w kraju i zagranicą, podając zarazem wskazówki, co w danéj chwili kupować a co sprzedawać jest korzystném. Gazeta jeśli spełniać będzie dokładnie powyższy program, powinna przynieść pożytek kapitalistom. *Strzemieńczyk*.

---

† Dnia 20 września zmarł w Warszawie **Zygmunt Leszczyc Sumiński,** mając zaledwie lat czterdzieści. Był-to człowiek silnego charakteru i wyrobionych przekonań. Wiele wycierpiał w krótkiém swém życiu a cierpienia znosił mężnie i nie upadał na duchu. Jako dziennikarz należał on do zachowawców i artykułami swojemi a więcéj jeszcze żywą propagandą wspierał głównie „Niwę“ „Wiek“ i „Słowo.“ Oddzielnie ogłosił w Warszawie r. 1875 przekład „Statystyki Moralności“ Drobischa (str. 125).

Sprostowanie omyłki druku w zeszycie sierpniowym 1885 r. Na str. 376, w artykule „*Przyczynek do krytyki statystyki współczesnéj,*“ zamiast 70% winno być 55%.

Wydawca, **W. Spasowicz.** — Redaktor, **Piotr Chmielowski**.

NOWE KSIĄŻKI
nadesłane do redakcyi „Ateneum“
w ciągu m. Września 1885 r.

---

1. *Alfred Daniell.* **Zasady fizyki.** Podręcznik z 257 drzeworytami w tekście. Przełożył z upoważnienia autora, podług najnowszego wydania angielskiego *J. J. Boguski.* — Warszawa, nakł. księgarni T. Paprockiego i S-ki, 8-o Zeszyt I (str. 160). Prenumerata za całość, złożoną z 6 zeszytów rs. 6 w Warszawie, 7 rs. na prowincyi.
2. **O sposobach uratowania naszych gospodarstw rolnych.** Przez *Konstantego Przeciszewskiego.* Warszawa. 1885. 8-vo, str. 80.
3. **Zarysy stanu moralnego naszego społeczeństwa** przez *Romana Buczyńskiego.* Część I. Czarna księga czynów, wypadków i zjawisk społecznych, z dodaniem 35 tablic statystycznych i 4 map kryminalistycznych. Warszawa, 1885.
4. **Hrabina Sylwja.** Sztuka w 3-ch aktach przez *Alfreda Konara.* Warszawa, nakład A. Lesmana, 1885, 8-vo, str. 94.
5. **Wilcze plemię.** Powieść przez *Włodzimierza Zagórskiego.* Warsz., Nakład T. Paprockiego i S-ki, 1885, 8-vo, str. 343.
6. *Wanda z Dowgiałłów Trzcińska:* **Jurek.** Powieść społeczna. Kraków, nakł. K. Bartoszewicza, 1885, 8-vo. str. 256.
7. **Jasne i ciemne obrazki** naszkicował *Michał Wołowski.* Warszawa nakł. S. Lewentala, 1885, 8-o, str. 205.
8. *Michał Bałucki.* **Byle wyżej.** Powieść. Warszawa. nakł. S. Lewentala, 1885, 8-o, str. 322.
9. **Der Text der Gnesener Predigten kritisch beleuchtet.** Einleitung zur Abhandlung „Die Sprache der Gnesener Predigten“. Inaugural-Dissertation... zur Erlangung der Doctorwürde. Napisał *Bolesław Erzepki.* Poznań 1885, 8-vo, str. 52.
10. **Złota przędza poetów i prozaików polskich.** Tomu III zeszyt 6. (ogólnego zbioru zesz. 30) od str. 401—480. Warsz. 1885 nakł. Wład. Maleszewskiego i Teod. Paprockiego i S-ki.
11. **Lira Polska.** VII: Deklamator.—Warsz. nakład wydawnictwa A. Lesmana. 1886, str. 175, cena kop. 30.
12. **Geschichte der jüdischen Literatur** von *Gustaw Karpeles.* Erste Lieferung (str. 64) Berlin, Verlag von Robert Oppenheim. 1886.
13. **Mikołaj Rej z Nagłowic na sejmach.** W nowém opracowaniu skreślił *Wiktor Czajewski.* Warsz. Nakł. T. Paprockiego. 1885 str. 24.
14. **T. Ribot. Choroby woli.** Przekład *J. K. Potockiego.* Warsz. 1885. Nakł. A. Gruszeckiego, str. 165.
15. **T. Ribot. Choroby osobowości.** Przekład *J. K. Potockiego.* Nakł. A. Gruszeckiego. Warszawa. 1885. str. 185.

Дозволено Цензурою, Варшава. 20 Сентября 1885 г.